

TAKI KLIMAT
Walka o wodę,
walka o życie

BOŻE CIAŁO
Dywan z kwiatów
w Spycimierzu

BIAŁY KOŃ I POLITYKA
Na co czekać nie warto
i czego nie warto wspominać

KRWAWY ŻĄDZE
Sumienie w grach
komputerowych

FESTIWAL CONRADA
Ogłaszamy program
tegorocznej edycji

Kraków 23 czerwca 2019 nr 25 (3650)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

TERESA BUDZISZ- -KRZYŻANOWSKA Postanowiłam żyć

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl



weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”

W PRENUMERACIE

4 wydania* **wraz z dostawą do domu**

za **69 zł**



* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez
internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

KS. ADAM

Boniecki: Woda

PUSTYNIA NAUCZY CIĘ JEDNEGO (...), ŻE JEST COŚ, czego można pragnąć i kochać bardziej niż kobietę. To jest woda. Cień i woda – dwie płynne, niepewne rzeczy, które zjawiają się, a potem znikają nie wiadomo gdzie”. To zdanie Ryszarda Kapuścińskiego z książki „Heban” pobudza do myślenia. Dwie płynne i niepewne rzeczy?

Bo w nas wciąż trwa to przemożne poczucie, że się tego uczyć nie musimy. Że nas to nie dotyczy. Oczywiście wiemy, że wody może zabraknąć, jak teraz i w latach 70. zabrakło jej w Skierniewicach, jak zabrakło jej w zeszłym roku w Płocku. Ktoś jednak nam wytłumaczył, dlaczego zabrakło: bo wysiadły trzy studnie, a wysiadły, bo nie były prawidłowo czyszczone. Ale skoro w naszym mieście studnie działają, skoro są czyszczone prawidłowo, to bez paniki. Woda w kranach jest i będzie. W internecie wzajemnie się pocieszamy, że wody jest dużo, wszystko jest i będzie, byle umiejętnie o nią dbać i ją pompować. Chór optymistów jednak zakłócają głosy specjalistów, takie jak Jacka Pełki, prezesa skierniewickiego Zakładu Wodociągów i Kanalizacji „WOD-KAN”, który ostrzega, że „Polacy w końcu będą musieli przyjąć do wiadomości postępujące zmiany klimatyczne i uznać wodę za dobro luksusowe”. Albo głos rozwiewający złudne przekonanie, że nasz kraj obfituje w wodę, dr Anny Traut-Seligi z Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Skierniewicach: „Polska – stwierdza pani doktor – ma, statystycznie rzecz ujmując, niższe zasoby wodne niż... Egipt”.

Człowiek ma dziwną skłonność do wierzenia, że to, co jest teraz, będzie zawsze trwało. Informacje o postępujących zmianach klimatycznych i ich konsekwencjach przyjmujemy jako straszenie i coś, co nas nie dotyczy. W głowie nam się nie mieści, że obecne upały mogłyby u nas zagościć na stałe. To przypisywanie trwałości temu, do czego przywykliśmy, odnosi się nie tylko do zjawisk przyrody, ale także do ładu stworzonego przez człowieka. Względnie czyste ulice Rzymu są dla spacerującego po Wiecznym Mieście turysty czymś normalnym i oczy-



wistym. Ma szczęście, bo nie widział, czym w tym mieście może być kilkudniowy strajk „śmieciarzy”. Ale jeżeli trafi na taki strajk i zobaczy zwały cieknych foliowych worków z cuchnącymi odpadkami, zrozumie, że „normalność” nie jest „z automatu”, ale jest efektem gigantycznej logistyki i codziennej pracy. Przywykamy jako do czegoś oczywistego do funkcjonowania miejskiej komunikacji według wyświełanych na przystankach rozkładów, do stałej dostawy prądu, do sklepów, w których można kupić wszystko, jesteśmy spokojni o złożone w banku pieniądze i z kartą płatniczą w kieszeni wyruszamy na codzienne zakupy.

A przecież większa część świata tak nie wygląda. W Jaounde (Kamerun) od kilku miesięcy brakuje wody, w krajach, w których toczą się wojny, bombardowania obracają kwitnące miasta w ruinę. Ale czy da się o tym wszystkim nieustannie pamiętać i od tego nie oszaleć? Tak, da się. Jarosław Mikołajewski opisał, jak Ryszard Kapuściński, który lubił Włochy, włoskie buty i Rzym, kiedyś patrzył na to miasto „bez śmiechu, a nawet ze łzami”: „Było to na Piazza Navona, placu, który w tamtej chwili był wyjątkowo piękny, rozświetlony i pełen ludzi we włoskich butach. »Boże, przecież oni mają tu wszystko«, załkał. Przyznał potem, że w myślach przepyszna, rozświetlona Piazza Navona nałożyła mu się na Afrykę, gdzie nie ma prawie nic”.

Warto sobie od czasu do czasu uświadomić, jak bardzo kruche jest to, co uważamy za normalność. Warto choćby po to, żeby się cieszyć tym, co mamy: klimatem, w którym (jeszcze) żyjemy, i nawet niedoskonałą organizacją życia, w której funkcjonujemy. Warto sobie to uświadomić także po to, by chronić te nadzwyczajne dobra, które zwykliśmy traktować jako zwyczajne i należące się nam nie wiadomo dlaczego. A nade wszystko warto po to, żeby odkryć, jak niewiele trzeba, byśmy dołączyli do tych niezliczonych nomadów, którzy gnani pragnieniem i miłością większą niż miłość do kobiety przemierzają kontynenty w poszukiwaniu wody i cienia. ©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOOK'S NOT DEAD – TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi

Dyskutuj o ulubionych autorach

Zacznij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca

Dziel się emocjami

Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na powszech.net/bnd

ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE



TYGODNIK
POWSZECHNY

Book's
not dead

TEMAT „TYGODNIKA”

12 I tak popłyniemy

MAREK RABIJ

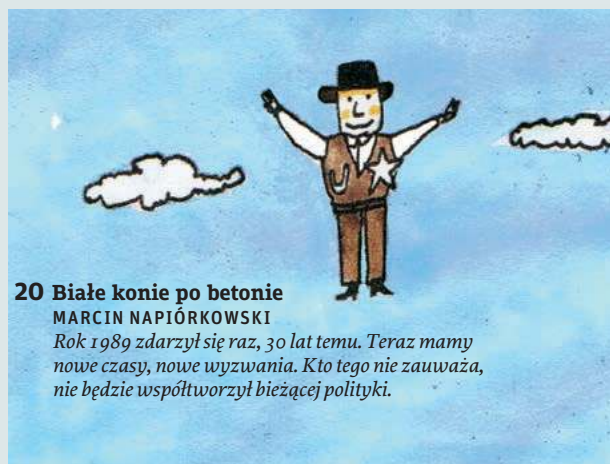
Polska nie jest drugim Egiptem i w najbliższych latach raczej nie braknie nam wody pitnej. Co nie oznacza, że tym, co mamy, gospodarujemy z rozwagą i susze nam niestraszne.



32 Piękno ulotne

MARCIN CHODUŃ

W Spycimierzu koło Uniejowa procesja Bożego Ciała znów przejdzie po wielobarwnym, dwukilometrowym dywanie z kwiatów.



20 Białe konie po betonie

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Rok 1989 zdarzył się raz, 30 lat temu. Teraz mamy nowe czasy, nowe wyzwania. Kto tego nie zauważa, nie będzie współtworzył bieżącej polityki.



42 Pomiędzy Moskwą i Pekinem

MARCIN KACZMARSKI
Z GLASGOW

„Strategiczne partnerstwo nowej ery” ogłosili w minionym tygodniu Władimir Putin i Xi Jinping.

*Czy Zachodowi grozi sojusz rosyjsko-
-chiński?*



68 Być! Być!! Być!!!

Z TERESĄ BUDZISZ-KRZYŻANOWSKĄ, AKTORKĄ,
ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA:

Ten zawód bywa terapeutyczny. Bo zazwyczaj to rzemiosło, a tylko czasem coś więcej, coś, czego nie doświadczaliśmy, a nawet nie przeczuwaliśmy.



84 Krwawe żądze

ŁUKASZ KWIATEK

Zdarza mi się robić rzeczy moralnie odrażające. Kiedyś nawet usiekłem bratanka i wykastrowałem kuzyna. Czuję się z tym okropnie, mimo że dzieje się to tylko w grach komputerowych.

6 Abp Charles Scicluna w Polsce EDWARD AUGUSTYN

6-11 Wiadomości Komentarze

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
/ PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Białe konie po betonie
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

24 Przeciąganie liny
JAROSŁAW FLIS: *Nasze życie polityczne jest nieprzewidywalne*

26 Za życiem MAŁGORZATA
NOCUŃ: *W tym kraju każda matka niepełnosprawnego dziecka jest skazana na kombinowanie*

■ ■ WIARA

32 Piękno ulotne MARCIN CHODUŃ

36 Francja się oczyszcza
ANDRZEJ STANISŁAW CHANKOWSKI:
Episkopat francuski powołał niezależną od biskupów komisję do badania nadużyć seksualnych

38 Jak nie obrzydzić sobie wiary
ROZMOWA Z KS. STANISŁAWEM
TOKARSKIM, PSYCHOTERAPEUTĄ

■ ■ ŚWIAT

42 Pomiędzy Moskwą i Pekinem
MARCIN KACZMARSKI

46 Rdzewiejąca Ameryka
ROZMOWA Z CHARLIE M LEDUFFEM,
DZIENNIKARZEM I AUTOREM
KSIĄŻEK O KONDYCJI USA

50 Tam, gdzie nic nie ma DARIUSZ
KAŁAN: *W słowackim Svidniku widać, co napędza populistów*



MAREK ZALEJSKI // GETTY IMAGES / BETTMANN

89 Conrad Festival 2019 - Rzeczywistość

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI:

Literatura przekonuje nas, że rzeczywistość jest tym, co stawia się nam przed oczami, co się za pomocą słów wystawia na pokaz, co bez słów pozostałoby niezauważone.

GRZEGORZ JANKOWICZ:

Tytuły poszczególnych dni Festiwalu – Rzeczy, Słowa, Obrazy, Idee, Relacje, Miejsca i Postaci – odnoszą się do najważniejszych według nas elementów rzeczywistości. Myślimy o nich również jako o pasmach, które łączą ze sobą przestrzenie.

■ DODATEK ■

66 Festiwal Kultury Żydowskiej

■ FELIETONY ■

30 ANNA DZIEWIT-MELLER 17 SZYMON HOŁOWNIA
53 WOJCIECH BONOWICZ 82 JAN KLATA
83 PAWEŁ BRAVO 88 STANISŁAW MANCEWICZ
88 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktadka: TERESA BUDZISZ-KRZYŻANOWSKA
Fotografia: GRAŻYNA MAKARA
Redaktor prowadzący: PIOTR MUCHARSKI

■ ■ HISTORIA

54 Wersal się nie skończył
ANDRZEJ KRAWCZYK: *Przed stu laty podpisano traktat kończący Wielką Wojnę*

57 Alternatywna historia Polski
WOJCIECH PIĘCIAK: *o książce „Zwrotnice dziejów”*

■ ■ Z ODDECHEM

58 Szaleni jeźdźcy świata
BARTOSZ HLEBOWICZ: *113 lat temu do Galicji zawitał Buffalo Bill ze spektaklem o Dzikim Zachodzie*

■ ■ NAUKA

62 Skąd się wzięły wieloryby
ŁUKASZ SAKOWSKI

■ ■ KULTURA

68 Być! Być! Być!!!
ROZMOWA Z TERESĄ
BUDZISZ-KRZYŻANOWSKĄ

73 Nagrania na grani
JAN BŁASZCZAK: *W odludnych Górach Bystrzyckich działa studio Monochrom, do którego pielgrzymują muzycy*

76 Kolory chwili
JAN MARIA KŁOCZOWSKI:
Kłopoty z Pierre'em Bonnardem

80 Gdzie diabeł nie może
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Kobieta idzie na wojnę”

82 Przyjaciel, którego brakuje
LEKTOR o książce „Album
Albrechta”

■ ■ ZMYŚŁY

84 Krwawe żądze
ŁUKASZ KWIATEK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata: Kazachstan

Kazachowie wybrali w zeszłą niedzielę nowego przywódcę. Na swojego następcę namaścił go poprzednik, Nursułtan Nazarbajew, pierwszy prezydent i ojciec założyciel państwa – o polityce stepowej republiki pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Na pożegnanie zwykłego piłkarza

8 czerwca 2019 roku, w wieku 49 lat, zmarł Justin Edinburgh. Nieważne, czy był wielkim piłkarzem, albo czy mógłby być wielkim trenerem. Ważne, z czym zostają ci, którzy go pamiętali – wspomina **MICHAŁ OKOŃSKI** powszech.net/zwykly-pilkarz

WOŚ SIĘ JEŻY wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



Z DUŻEJ CHMURY MAŁY DESZCZ

Niespełnione nadzieje – tak można podsumować wizytę w Polsce watykańskiego specjalisty od tropienia pedofilii w Kościele.

EDWARD AUGUSTYN

Spodziewano się burzy, a tu trochę pogrzmiąło, parę razy błysnęło i ledwo co pokropiło. Jednodniowa wizyta abp. Charlesa Scicluny, specjalnego sekretarza watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary, specjalisty od ścigania seksualnych przestępców w sutanach, zapowiadana była niemal jako początek rewolucji w polskim Kościele. Maltański hierarcha, który rok temu doprowadził do grupowej dymisji episkopatu chilijskiego, wziął udział w obradach Episkopatu Polski w Wałbrzychu. Przyjechał na jeden dzień – w piątek przed południem wygłosił prelekcję do biskupów, potem spotkał się z dziennikarzami, a po południu poprowadził we Wrocławiu warsztaty dla diecezjalnych i zakonnych delegatów ds. ochrony dzieci i młodzieży.

Atmosferę podgrzewano od tygodni. Sami biskupi nie wiedzieli, czego się spodziewać. Niektórzy zapobiegawczo informowali media, jaki jest stan rzeczy w najbardziej głośnych sprawach, które im podlegają, i dlaczego tak niewiele się dzieje. Abp Scicluna przyznał, że nie jest specjalnym papieskim wysłannikiem, tylko gościem polskich biskupów, i że w swoim wystąpieniu instruował ich o nowych przepisach, obowiązujących od początku czerwca: poszerzeniu katalogu przestępstw, które obowiązkowo należy zgłosić Watykanowi (nie tylko seksualne wykorzystanie nieletnich, ale też osób dorosłych – „bezbronnych” czy podległych służbowo) i ustaleniu procedur w przypadku oskarżeń pod adresem biskupów czy metropolitów.

Konferencja prasowa z udziałem abp. Charlesa Scicluny (trzeci od prawej). Wałbrzych, 14 czerwca 2019 r.

Scenariusz chilijski się nie powtórzył, bo nie mógł. Tam protesty wiernych przeciwko nominacji biskupa oskarżanego o ukrywanie przestępców trwały trzy lata. A sam Scicluna, jadąc do Chile, dysponował nie tylko papieskim mandatem, ale i czasem: dwa tygodnie poświęcił na spotkania z ofiarami i świadkami przestępczych działań, potem – przez ponad miesiąc – przygotowywał raport dla papieża (blisko 2,3 tys. stron).

Podczas jednodniowej wizyty w Polsce nie miał czasu nawet na symboliczne spotkanie z ofiarami, co wytknęła mu podczas konferencji prasowej przedstawicielka Fundacji Nie Lękajcie Się. Arcybiskup tłumaczył, że nie on ustalał program wizyty. Zapewniał też, że raportu, który Fundacja przekazała w lutym papieżowi, nie czytał, żadnych zarzutów wobec konkretnych biskupów nie badał, a sytuację polskiego Kościoła zna jedynie z filmu „Tylko nie mów nikomu” i komentarzy w mediach.

Przyznał jednak – odpowiadając na pytanie „Tygodnika” – że coraz trudniej będzie uwierzyć, iż polski Kościół sam poradzi sobie z przestępstwami i ich tuszowaniem. Przykłady z Chile czy USA pokazują, że biskupi, wyjaśniający sprawy podległych im księży czy kolegów w episkopacie, często popadają w konflikt interesów, że ich decyzje bywają nieobiektywne, a powoływane wewnętrzne komisje niewiarygodne. – To musi się skończyć – mówił Scicluna, apelując, by do wyjaśniania zarzutów angażować niezależnych ekspertów. – Być może w przyszłości zewnętrzny audyt będzie potrzebny – dodał na koniec, odnosząc się do naszego pytania. – Ale pierwszym krokiem jest realizacja tego, co już zostało zapisane w prawie. Jeżeli zaś będą potrzebne dalsze zmiany, to papież Franciszek na pewno je wprowadzi.

Ta wizyta wiele osób rozczarowała. Policjny szpaler odgrodził kilku manifestujących przed budynkiem przedstawicieli Fundacji Nie Lękajcie Się od hierarchy, którego tuż po konferencji organizatorzy tylnym wejściem zaprowadzili do samochodu. Kilka postawionych pytań zostało bez odpowiedzi.

Ala – przypomnijmy – burza w Chile też zaczęła się od pytań, zadanych Franciszkowi przez dziennikarzy w samolocie. Tyle że zbierało się na nią aż trzy lata. ©P

KOŚCIOŁ W SKRÓCIE

POMNIK USUNIĘTY. Pomnik znajdujący się przed bazyliką liceńską, przedstawiający Jana Pawła II i oskarżonego o gwałty na nieletnim ks. Eugeniusza Makulskiego, został usunięty. Zakon (jak się można domyślać, w porozumieniu z autorem pomnika – prof. Marianem Koniecznym) podjął decyzję o jego modyfikacji – będzie przedstawiał samego papieża. Zmieniony pomnik powróci na swoje miejsce prawdopodobnie jesienią. Nie ma już także wyeksponowanych wizerunków ks. Makulskiego w bazylice.

NOSOWSKI WYRÓŻNIONY. Redaktor naczelny kwartalnika „Więź” Zbigniew Nosowski otrzymał 13 czerwca doktorat honoris causa Uniwersytetu Szczecińskiego. Wyróżnienie zostało nadane „w uznaniu licznych zasług dla wolnego dziennikarstwa w Polsce, dla budowy społeczeństwa obywatelskiego, dla dialogu polsko-żydowskiego i ekumenicznego, a także za obronę prawdy w dyskursie publicznym oraz działania na rzecz innego”. Naczelnemu zaprzyjaźnionej redakcji „Więzi”, a także naszemu Autorowi serdecznie gratulujemy!

DIABEŁ PRZYPOMNIANY. Amerykańscy biskupi zachęcają do zgłębiania papieskiego nauczania o... diable. Staraniem episkopatu USA ukazał się wybór tekstów Franciszka na ten temat. Biskupi przypominają, że papież potwierdza realne istnienie diabła, ale podkreśla, że trzeba przede wszystkim pamiętać, iż to Jezus Chrystus jest Panem.



ŁUKASZ SAKOWSKI

opowie o tym,

skąd się wzięły wieloryby (s. 62),
Grzegorzowi Chłascie w środę
19 czerwca o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można
odstuchać także w podcastach
na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz.
87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka
100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce
103,4 FM oraz na Mazowszu
i w Warszawie – www.rdc.pl

Unik w sprawie gender



ARTUR SPORNIAK

KONGREGACJA DS. EDUKACJI KATOLICKIEJ OPUBLIKOWAŁA dokument „Mężczyzną i kobietą ich stworzył. Z myślą o drodze dialogu o kwestii gender w edukacji”, w którym deklaruje otwarcie na dyskusję na temat znaczenia płci. Jednocześnie upomina się o prawo krytyki skrajnych ujęć, które płęć deprecjonują. Dokument ma charakter studyjny, a nie doktrynalny – jest skierowany przede wszystkim do nauczycieli szkół katolickich, ale także do rodziców i wszystkich zainteresowanych.

Jego zaletą jest zastosowanie trójstopniowej metody papieża Franciszka (rozeznanie – rozumienie – rozwiązanie), która pozwala m.in. docenić temat dyskryminacji ze względu na płęć, poruszany przez studia genderowe. Posiada jednak wady. Po pierwsze, nie traktuje poważnie osób rozpoznających się jako LGBTQ+. Po drugie, ignoruje wyniki nauk empirycznych wskazujące, że zróżnicowanie ludzkiej natury wykracza poza prosty schemat biblijny: „mężczyzną i niewiastą ich stworzył”.

Wygląda na to, że ciągle (łatwa) krytyka skrajnych ujęć w humanistyce służy za alibi niepodjęcia rzeczywistej (trudnej) reformy chrześcijańskiej antropologii. Stawką nie jest bowiem pokonanie jakiegokolwiek ideologii, tylko pomoc w odnalezieniu się w społeczeństwie i w przestrzeni wiary ludziom, którzy swoją płęć czują inaczej niż większość z nas. ©P

Francja: ataki na kościoły i cmentarze

PONAD STO ZNISZCZONYCH GROBÓW znalazł strażnik rankiem w Zielone Świątki na cmentarzu Terre-Cabade w Tuluzie. Sprawcy połamali lub odwrócili krzyże, potłukli donice i płyty nagrobne. Mer Tuluzy Jean-Luc Moudenc poinformował, że uszkodzono jedynie groby chrześcijańskie.

We Francji od kilkunastu lat mnożą się ataki na świątynie i cmentarze. Tylko w lutym tego roku policja odnotowała 47 takich przypadków. Włamania do kościołów kończą się profanacją Najświętszego Sakramentu, wysmarowaniem ścian ekskrementami, zniszczeniami obrazów, rzeźb i organów, wybijaniem witraży (jak w marcu w katedrze Saint-Denis), ale też podpaleniami (jak w lutym w katedrze Saint-Alain w Lavaur).

„To akty popełniane z premedytacją, w których nie chodzi jedynie o wandalizm, lecz o profanację” – ocenił bp Robert Wattebled z Nîmes. Abp Pascal Wintzer z archidiecezji Poitiers, gdzie w ostatnim kwartale doszło do kilkunastu profanacji, powiedział: „Nie chciałbym, by na ich skutek zamknięto kościoły, bo doprowadziło by to do wymazania chrześcijańskiej obecności”.

©P MACIEJ MÜLLER

Falenta szantażuje PiS

ANDRZEJ STANKIEWICZ



BOHATER AFERY TAŚMOWEJ MAREK FALENTA SUGERUJE, że jest w stanie obalić kolejny rząd. Na razie jego listy nie są dla PiS groźne. Ale przecież biznesmen może mieć śmiercionośne taśmy.

Z tej strony Falenty nie znaliśmy – okazał się miłośnikiem twórczości epistolarnej. Przez ostatnie miesiące pisał do Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, a w finale do Andrzeja Dudy. Im bardziej palił mu się grunt pod nogami, tym bardziej otwarcie domagał się od PiS pomocy. List do prezydenta – który prawnicy Dudy uznali za trzeci już wniosek o ulaskawienie – brzmi jak ultimatum podlane groźbami: „Proszę potraktować ten list jako ostatnią szansę na porozumienie się ze mną. Nie zamierzam umierać w samotności. Ujawnię zleceniodawców i wszystkie szczegóły”.

Falenta nie chce spędzić w więzieniu 2,5 roku. Taki wyrok usłyszał za zlecenie kelnerom nagrywania polityków PO w restauracjach. Ujawnienie przez media nagrań pięć lat temu przyczyniło się do spadku notowań PO i zwycięstwa PiS w 2015 r. Przez lata jedną z największych zagadek było to, czy liderzy PiS maczali palce w aferze taśmowej. Poszlaki, strzępki dokumentów z sądowych akt, a także nieoficjalne źródła wskazywały, że wierzuszka PiS wiedziała o nagraniach, zanim zostały upublicznione. Niby niewiele, ale przecież brak powiadomienia prokuratury o nielegalnym nagrywaniu jest przestępstwem.

W tym sensie listy Falenty nie muszą być bajdurzeniem desperata. Informacje, które w nich padają, potwierdzają bowiem to, co nieoficjalnie wiadomo było wcześniej. Falentę do PiS przyprowadził wiosną 2014 r. – na ok. 2 miesiące przed wybuchem skandalu – ówczesny skarbnik partii Stanisław Kostrzewski, zaufany Kaczyńskiego. Przyprowadził go jako posiadacza taśm. Dziś Falenta przypomina politykom PiS dawną znajomość i sypie Kostrzewskiego. Ale nie ma dowodów na popularną po stronie opozycji tezę, że to PiS kazał Falencie nagrywać polityków PO. Falenta miał zwyczaj nagrywać wszystkich, nawet menadżerów swoich spółek. Taki miał sposób działania – PiS nie musiał go do niczego inspirować.

Na razie w obozie władzy panuje spokój. Dopóki Falenta posługuje się piórem, to PiS nie musi się obawiać. Gorzej, jeśli uzna, że nie ma szans na porozumienie z władzą. Wtedy może sięgnąć po broń atomową – nieznane dotąd taśmy. Już zapowiada uderzenie w słaby punkt – Mateusza Morawieckiego, który jako prezes banku dał się nagrać w „Sowie”. Nawet w PiS panuje obawa, że premier może pierwszy dostać taśmami. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

KRAJ W SKRÓCIE

WYROK ZA SMOLEŃSK. Tomasz Arabski, b. szef Kancelarii Premiera w rządzie Donalda Tuska, został skazany na 10 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu w związku z nieprawidłowościami dotyczącymi organizacji lotu rządowego samolotu 10 kwietnia 2010 r. na niespełniające standardów bezpieczeństwa lotnisko w Smoleńsku. Wyrok jest nieprawomocny.

MNIEJ DOWODÓW. Trudniej będzie o werdykt w sprawie pamiętnego wypadku limuzyny wiozącej ówczesną premier Beatę Szydło przez Oświęcim w lutym 2017 r.: TVN 24 poinformował o uszkodzeniu płyt CD, na których znajdował się zapis monitoringu dokumentującego przejazd rządowej kolumny przez miasto.

KOLEJ W KOLEINACH. Jeżdżenie przez Polskę w ogóle staje się coraz trudniejsze. PKP np. rezygnuje z dodatkowych pociągów, które woziły młodzież na organizowany przez Jerzego Owsiaka w Kostrzynie festiwal rockowy. Argumentem kolei są straty finansowe, ale większość komentatorów widzi tu kolejną szukanę wobec nielubianego przez władzę lidera WOŚP.

CZOŁGISTA NA GAZIE. Mieszkańcy Pajęczna utrudnili z kolei nocną przejażdżkę po mieście czołgu T-55, składając skargę na hałas pod oknami. Niezależnie od hałasów, po interwencji funkcjonariuszy okazało się, że prowadzący pojazd jest nietrzeźwy.

STRZAŁ W STOPE. Nie dokonano badań trzeźwości odpowiedzialnych za media społecznościami Polskiego Związku Piłki Nożnej, które w trakcie meczu z Izraelem po czwartej bramce dla Polski napisały, że to jest pogrom. Trzeźwością wykazał się natomiast napastnik Krzysztof Piątek, który zrezygnował z tradycyjnej celebracji gola, polegającej w jego wykonaniu na geście strzelania z rewolwerów.

LICZBA TYGODNIA

1 bilion

złotych: tę symboliczną wartość przekroczył właśnie polski dług publiczny. Zadłużenie całego państwa w relacji do jego PKB jednak spada. W ub.r. było to 48,9 proc. W tym dług ma stanowić 47,9 proc. PKB.

Magister mimo wszystko

ĆWIERĆ WIEKU TEMU Janusz Świtaj wsiadł na motocykl. Wypadek, zmiażdżony rdzeń, perspektywa czterech ścian do końca. Ponad dekadę temu poprosił o eutanazję. Cała Polska zobaczyła leżącego, mówiącego z pomocą respiratora młodego mężczyznę. Zobaczyła go też Anna Dymna, szefowa Fundacji „Mimo Wszystko”, rozpoznając w nim byłego podopiecznego. „Gdy się zorientowałam, że to Janusz (...), zadzwoniłam i opieprzyłam go z góry na dół. »Nudzi ci się chyba – krzyczałam – może byś się do roboty wziął«” – wspominała w wywiadzie dla „TP” w 2013 r. Zatrudniła Świtaję w fundacji. W tym samym roku zdał maturę.

W zeszłym tygodniu odebrał dyplom magistra psychologii. Jego sukces to nie tylko efekt determinacji i pomocy innych – także znak zmian na uczelniach. Choć niedawny raport NIK wykazał istnienie barier (np. architektonicznych), odsetek osób niepełnosprawnych wśród studentów wzrósł w ciągu niecałych dwóch dekad z 0,08 do niemal 2 procent. © PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Dożywocie bez nadziei

GŁOSAMI ZJEDNOCZONEJ PRAWICY parlament przyjął reformę zastraszającą prawo karne, która wprowadza też nowe rozwiązanie: bezwzględne dożywocie bez możliwości warunkowego zwolnienia. W poprzednim „Tygodniku” (nr 24) opublikowaliśmy rozmowę z jezuitą George’em Williamsem, który w więzieniu San Quentin w Kalifornii prowadzi posługę skazanych na śmierć. Na egzekucję czeka tam 737 osób. Williams mówił, że gdy w 2012 r. w Kalifornii zapowiedziano referendum w sprawie zniesienia kary śmierci, część skazanych zaprotestowała: bali się, że w razie pozytywnego wyniku głosowania ich wyroki zostaną automatycznie zamienione na bezwarunkowe dożywocie. „Ze względu na towarzyszące referendum ryzyko samobójstw, w San Quentin podwyższono środki bezpieczeństwa” – mówił Williams. Dodał: „Jestem przeciwnikiem kary śmierci, ale uważam, że skazywanie kogoś na dożywocie bez nadziei na zwolnienie warunkowe jest jeszcze gorsze”. © WP

Cały wywiad: powszech.net/williams

Mołdawia: powolny upadek oligarchy

PIOTR OLEKSY



KOŃCZY SIĘ ERA VLADA PLAHOTNIUCA – OLIGARCHY, który od kilku lat niepodzielnie rządzi Mołdawią. Sojusz przeciw niemu zawarły prorosyjska Partia Socjalistów i prozachodni blok Teraz. Ale Partia Demokratyczna, której liderem jest Plahotniuc, nie uznała nowego rządu. W czasie, gdy powstawała nowa koalicja, zależny od oligarchy Sąd Konstytucyjny stwierdził, że parlament powinien zostać rozwiązany dzień wcześniej, więc jego decyzje są nielegalne. Następnie Sąd zawiesił prezydenta Igora Dodona (realnego lidera socjalistów) w wykonywaniu jego funkcji, a policja otoczyła budynki ministerstw, by uniemożliwić ich przejęcie przez nowych ministrów. W chwili zamykania tego

numeru „TP” mieliśmy do czynienia z faktyczną dwuwładzą w tym kraju.

Szeroka koalicja, idąca w poprzek fundamentalnych podziałów ideologicznych, powstała dzięki politycznej interwencji Rosji, UE i USA. Mimo geopolitycznej rywalizacji, trzech najważniejszych graczy w regionie połączyli siły, co jest zjawiskiem bezprecedensowym. Tymczasem Plahotniuc stworzył swój system rządów właśnie w oparciu o tożsamościowe pęknięcie społeczeństwa, a prozachodni kurs był dla niego głównym narzędziem legitymizacji władzy.

Pytanie, czy sojusz Moskwy, Brukseli i Waszyngtonu był w tym przypadku chwilowy, czy może jest zapowiedzią większej zmiany? ©

Ebola przekracza granice

PIĘCIOLEJNI CHŁOPIEC I JEGO BABCIA to pierwsze śmiertelne ofiary wirusa Ebola w Ugandzie. Zmarli w minionym tygodniu w mieście Bwera na zachodzie kraju, tuż po przyjeździe z sąsiedniej Demokratycznej Republiki Konga, gdzie w rejonach przygranicznych trwa epidemia choroby wywołanej wirusem Ebola – najgorsza od czasu tej w Afryce Zachodniej (2013–16). Od jej początku, w sierpniu 2018 r., zmarło już 1405 osób.

Uganda przygotowywała się na taką ewentualność; szczepionkę (wciąż w fazie tekstów) podano ok. 4 tysiącom pracowników służby zdrowia. Ekspertów WHO martwi jednak, że wirus wydostał się z izolowanych rejonów wschodniego Konga, gdzie – mimo toczących się tu walk, które pochłonęły więcej ofiar niż choroba – łatwiej było go zatrzymać. Uganda jest dobrze skomunikowana m.in. z Tanzanią i Kenią, a w pierwszych dniach walki z Ebolą nie udało się opanować chaosu – np. troje pacjentów, u których podejrzewano obecność wirusa, uciekło ze szpitala. © P. MARCIN ŻYŁA



KIN CHEUNG / AP / EAST NEWS

MIESZKAŃCY HONGKONGU MAJĄ DOŚĆ ograniczenia ich wolności. Od kilku dni w mieście – należącym do Chin, ale mającym status autonomii – trwają wielkie protesty. Iskłą do buntu był projekt ustawy umożliwiającej ekstradycję mieszkańców władzom ChRL. Lokalny rząd, uzależniony od Pekinu, wystąpił na ulice policję, która używa gazu i armatek wodnych. Dzień w dzień dochodzi do starć, są liczni ranni. Obecni na miejscu dziennikarze donoszą o determinacji protestujących. Poprzedni bunt przeciw ograniczaniu autonomii Hongkongu miał miejsce w 2014 r. i został zdławiony przez władze. © P. WP / NZZ

„Fort Trump” staje się faktem

240: tyle ukraińskich dzieci zabiły rosyjskie pociski przez pięć lat wojny w Donbasie. Ile odniosło rany, także duchowe, straciło bliskich? A to tylko część bilansu rosyjskiej agresji. Ów bilans to śmierć 5 tys. ukraińskich żołnierzy i 3 tys. cywilów; ponad 20 tys. rannych; półtora miliona uchodźców, 40 tys. zniszczonych domów. To 330 tys. weteranów, wielu „z wojną w głowie”. Ofiary represji, także na Krymie. I nie jest to historia zamknięta. Wojna – dusząca kraj, wypychająca w apatię lub emigrację – trwa: w maju poległo 15 Ukraińców. I jeszcze perspektywa, że ten stan może trwać kolejne lata, jeśli Putin uzna, że ma interes w takim wyniszczaniu sąsiada, który nie zdążył uciec z „szarej strefy” między NATO a Rosją.

Co los Ukrainy ma wspólnego z deklaracją o współpracy obronnej, którą podpisali Donald Trump i Andrzej Duda? Wszystko: to najprostsza odpowiedź na pytanie, czemu – w realiach globalnego chaosu i niepewności – Polska powinna inwestować w sojusz z USA. Choć nie jedyna, są też inne powody – jak niestabilność (gdy idzie o stosunek do Rosji) i niesłowność najbliższego europejskiego sojusznika, który woli, by jego płacone za gaz miliardy finansowały zbrojenia rosyjskie, a nie modernizację Bundeswehry.

Deklaracja prezydentów Trumpa i Dudy – przewidująca długi katalog działań, które zakotwiczą Amerykanów w Polsce, na wielu obszarach (także zwiadu elektronicznego: być może będziemy głównym „okiem” na posowiecki Wschód) – to jakościowy przełom. Wart swej ceny, także politycznej.

Trzeba to przyznać: politycy PiS znaleźli klucz do serca i umysłu Donalda Trumpa. A cokolwiek o nim sądzić, to on decyduje. Możliwe, że także przez drugą kadencję w Białym Domu. © P. WOJCIECH PIĘCIAK

Syria: życie i śmierć „bramkarza rewolucji”



SNHR

ABDUL BASSET AL SAROUT marzył, by stać się najlepszym piłkarskim bramkarzem świata. Został rewolucjonistą, potem partyzantem. Jego krótkie, burzliwe życie może być alegorią najnowszych dziejów Syrii.

Miał 19 lat, gdy w 2011 r. nastąpiła

Arabska Wiosna i Syryjczycy wyszli na ulice, by protestować przeciw tyranii prezydenta Asada. Wcześniej Sarout grał w młodzieżowej reprezentacji kraju, uchodził za wyjątkowo zdolnego bramkarza. Gdy w jego rodzinnym Homs zaczęły się protesty, zawiesił – tak sądził – sportową karierę i przystał do demonstrantów. Znany i lubiany, stał się twarzą rewolucji. Sławę przyniosły mu rewolucyjne pieśni, które jak gwiazda rocka śpiewał podczas wieców.

Asad posłał wojsko przeciw demonstrantom, zaczęła się trwająca do dziś wojna. Sarout, który w walkach o Homs stracił ojca i czterech braci, zaciągnął się do partyzantki. Wstąpił do oddziału Armii Chwały, sprzymierzonej z Wolną Armią Syryjską. W Damaszku, twierdzy Asada, plotkowano, że znany bramkarz przystał do dżihadystów z samozwańczego kalifatu. Nie była to prawda: choć Sarout przez moment to rozważał, nie został towarzyszem broni dżihadystów. A był nawet czas, gdy ci uznawali go za wroga; wściekli, że krytykuje ich metody walki, w 2017 r. wzięli go chwilowo do niewoli.

W 2014 r. oblegająca Homs armia Asada zawarła z obłożonymi rozejm, który zezwalał tym drugim, partyzantom i cywilom, na bezpieczną ewakuację. Bramkarz wraz z setkami tysięcy towarzyszy niedoli opuścił miasto i przedostał się na północny zachód, na tereny kontrolowane przez powstańców.

Dziś Asad, wspierany przez Rosję, Iran i libański Hezbollah, jest coraz bliżej tego, by wygrać wojnę. Od kwietnia jego armia prowadzi ofensywę w prowincjach Idlib i Hama. To ostatni przyczółek powstańców (głównie dżihadystów, ale schronili się tu także partyzanci z Wolnej Armii). Trwają walki, najcięższe od ponad roku. Zginęło w nich też kilkuset cywilów. Rosjanie bombardują szpitale i szkoły. Kolejne pół miliona ludzi uciekło z domów, chroniąc się na tureckiej granicy.

W minionym tygodniu partyzanci spróbowali kontrataku w Hamie. W bitwie o wioskę Tal Maleh, Sarout został ciężko ranny; wkrótce zmarł. Przeżył 27 lat. „Bramkarz rewolucji i strażnik wolności, bohater Homs i trubadur z rewolucyjnych wieców, zginął śmiercią męczeńską” – napisał działacz syryjskiej opozycji Ahmad Abazid.

©© WOJCIECH JAGIELSKI

Więcej w serwisie „Strona świata”

– www.tygodnikpowszechny.pl/strona.swiata

KULTURA W SKRÓCIE

AI W ANGLII. Swoich sił w sztukach plastycznych próbuje Ai-Da – pierwsza ultrarealistyczna robot-artystka. Ai-Da maluje obrazy inspirowane zdarzeniami zarejestrowanymi przez zamieszczone w jej oczach kamery. Opracowany przez naukowców algorytm przekłada wrażenia na odpowiednie ruchy umieszczonego „w dłoni” robota ołówka lub pędzla. Obrazy można oglądać w Galerii Barn na Uniwersytecie Oxfordzkim.

TEATR W IZRAELU. Z kolei izraelska publiczność będzie miała okazję obejrzeć „Pieśni Leara” wrocławskiego Teatru Pieśń Kozła i dwa septykale teatru Gardzienice. Wszystko w ramach czerwcowego Israel Festival w Jerozolimie i Tel Awiwie.

NASZ PLAKAT W JAPONII. W ramach obchodów stulecia nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską a Japonią w Muzeum Kyoto Institute of Technology zostanie otwarta wystawa prezentująca polski plakat współczesny. Obok prac Eryka Lipińskiego czy Henryka Tomaszewskiego wystawione zostaną plakaty artystów młodego pokolenia – Jana Bajtlika (na zdjęciu), Patryka Mogilnickiego czy Aleksandry Niepsuj.



MUZYKA W MALAWI. Tymczasem do Malawi wybiera się antropolog i muzyk Piotr Cichocki. Badacz analizuje związki muzyki z religijnością. Wytwórnia Cichockiego 1000Hz Record w ciągu trzech lat wydała już 6 płyt z oryginalną muzyką nagrałą w Malawi i Tanzanii.

Buty, ból i bunt



EWELINA BURDA

#KuToo – wokół tego hasła gromadzą się kobiety w Japonii, by walczyć z obowiązkiem noszenia butów na wysokich obcasach w pracy. I apelują w tej sprawie do władz.

Nazwa akcji to gra japońskich słów: *kutsu*, czyli „buty”, i *kutsuu* – „ból”; i jasno nawiązuje do akcji #MeToo. Rozpoczęła ją Yumi Ishikawa z Tokio, aktorka i pisarka, która kilka miesięcy temu napisała na Twitterze o zmuszaniu kobiet do noszenia szpilek w pracy. Post udostępniono kilkadziesiąt tysięcy razy, a pod hasztagiem #KuToo kobiety dzielą się swoimi historiami – a każdy, kto choć raz nosił wysokie obcasy, wie, że nie jest to przyjemne doświadczenie. Zwłaszcza gdy robi się to z przymusu.

Na początku czerwca Yumi Ishikawa złożyła petycję do ministerstwa pracy, w której apeluje o zakaz obowiązku noszenia przez kobiety butów na wysokich obcasach w pracy (podpisało ją w sieci ponad 28 tys. osób). Ishikawa podkreśla, że zbyt częste noszenie szpilek prowadzi do problemów ze zdrowiem (jak liczne choroby i zwyrodnienia stóp, problemy z kręgosłupem). Takumi Nemoto, japoński minister zdrowia, pracy i opieki społecznej, uznał jednak, że taki rodzaj ubioru jest „konieczny i odpowiedni” w miejscu pracy. Ale zastrzegł, że zmuszanie pracowników do noszenia wysokich obcasów, jeśli te zgłaszają urazy, będzie uznawane za nękanie przez pracodawcę. Szpilki traktowane są w biznesowym dress code jako odpowiednik męskiego krawata i mają symbolizować profesjonalizm – jednak japońscy mężczyźni od 2005 r. zostali z obowiązku noszenia krawatów zwolnieni.

W wielu środowiskach wysokie obcasy przez lata były uznawane za symbol wyzwolenia i emancypacji. Akcja #KuToo obnaża smutną rzeczywistość: jak łatwo symbol wyzwolenia może stać się symbolem zniewolenia.

©©



ROŚLINOŻERNY DRAPIEŹNIK. Pandy wielkie zaliczane są do rzędu ssaków drapieżnych (podobnie jak psy, koty czy niedźwiedzie), choć ich dieta jest roślinna, a dłonie, czaszki i szczęki tych zwierząt zawierają liczne adaptacje ułatwiające żerowanie na bambusach. Jednak ich układ pokarmowy i flora bakteryjna zbliżone są do tych występujących u drapieżników. Yonggang Nie i współpracownicy przekonują na łamach „Current Biology”, że ma to związek z ich sposobem żerowania. Pandy są wybredne, wybierają gałązki bambusa, które zawierają najwięcej białka, dzięki czemu uzyskują z nich podobną ilość składników odżywczych do tej, którą uzyskują drapieżniki z mięsa. Typowi roślinożercy muszą przetrawić o wiele większe ilości pokarmu, by osiągnąć porównywalny wynik.

© P Ł K

Wiedźmin pobity

16 KWIETNIA 2020 ROKU: tego dnia oczekują miliony na całym świecie. To wtedy w sprzedaży pojawi się najnowsza gra firmy CD Projekt RED, znanej z sagi o Wiedźminie.

Mimo że do premiery „Cyberpunka 2077” – bo właśnie tę grę przedstawiał na E3 w Los Angeles, największych targach rozrywki elektronicznej świata, aktor Keanu Reeves (wystąpi też w grze) – zostało wiele miesięcy, już teraz w niektórych krajach wyprzedano wszystkie kolekcjonerskie zestawy gry dostępne w przedsprzedaży (w Polsce za bagatelną kwotę 750 zł). Gra momentalnie stała się też najlepiej sprzedającym się tytułem na największej internetowej platformie sprzedaży gier na świecie Steam.

Co jednak najważniejsze, polskiej firmie udało się przebić sukces „Wiedźmina” – szef grupy CD Projekt Marcin Iwiński zdradził, że „Cyberpunk 2077” sprzedaje się „znacznie lepiej niż Wiedźmin 3”. Dzięki temu najważniejszy polski deweloper z impetem wyskakuje z szuflady z napisem „Wiedźmin”.

Zadowoleni są także inwestorzy. W dniu ogłoszenia daty wydania „Cyberpunka 2077” akcje grupy CD Projekt podrożały o blisko 1,5 mld zł, osiągając wartość 22,5 mld zł – to więcej, niż warte są Tauron, PGE i Energa łącznie.

Polska jest ważnym punktem odniesienia w branży wartą więcej niż kino, muzyka i książka razem wzięte. Już nie tylko promujemy własne tytuły („Wiedźmin”), ale zaczynamy przejmować globalne marki: „Cyberpunk” jako papierowa gra fabularna powstał w Stanach, a podczas tych samych targów E3 inna polska firma, Bloober Team, ogłosiła powstanie gry na podstawie klasycznego horroru „Blair Witch Project” – również ta informacja wzbudziła zainteresowanie największych mediów (m.in. „Los Angeles Times”, „Washington Post”). Także ten deweloper zatrudniał aktora o globalnej rozpoznawalności – w grze „Observer” wystąpił sam Rutger Hauer, legenda... cyberpunkowego „Łowcy androidów”.

© P PATRYK STANIK

Starożytna marihuana

KONOPIE SĄ JEDNĄ Z NAJSTARSZYCH uprawianych roślin na terenie dzisiejszych Chin – już 4 tys. lat temu pozyskiwano z nich olej i włókna. Początkowo używano jednak roślin o niewielkiej zawartości substancji psychoaktywnej THC, odpowiedzialnej za narkotyczne efekty marihu-

any. W najnowszym numerze „Science Advances” Meng Ren i współpracownicy przedstawili dowody na to, że 2,5 tys. lat temu konopie używano także w celach rytualnych podczas obrzędów pogrzebowych. Badacze odnaleźli ślady odmiany tej rośliny o wysokiej zawartości THC w drewnianych kadzielnicach na starożytnym cmentarzu Jirzankal w zachodnich Chinach.

© P Ł K

Co sześć palców, to nie pięć

JEDNO NA PIĘCSET DZIECI RODZI SIĘ z sześcioma palcami u ręki lub nogi. Przypadłość ta – określana jako polidaktylia – uznawana jest za wrodzoną wadę, a „nadliczbowe” palce najczęściej są amputowane. Ma to niekiedy medyczne uzasadnienie, gdyż mogą być zdeformowane, ale u części osób funkcjonują zupełnie normalnie. Carsten Mehring i współpracownicy z Uniwersytetu we Fryburgu postanowili sprawdzić, jak dodatkowe palce (znajdujące się pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki) wpływają na wykonywanie różnych zadań u dwójki osób – 52-letniej kobiety i jej 17-letniego syna. Wyniki eksperymentu opisane zostały w „Nature”.

W przypadku tej dwójki okazało się, że „nadliczbowe” palce obsługiwane są przez dodatkowe mięśnie i nerwy – posiadają też specyficzne reprezentacje neuronalne w korze ruchowej. Badani byli w stanie poruszać nimi niezależnie od pozostałych palców. To wszystko przełożyło się na świetne wyniki uzyskane w testach sprawnościowych. Na przykład w grze komputerowej, która wymagała kontrolowania sześciu przycisków przez graczy, osoby badane uzyskały takie same wyniki grając jedną ręką, jak gracze, którzy używali obu rąk.

Już teraz eksperymentuje się z wyposażeniem ludzi w dodatkowe, sztuczne palce. Opisane badanie może pomóc w zrozumieniu, jak mózg radzi sobie z takimi sytuacjami. Autorzy publikacji są optymistami. Wygląda na to, że przyszłość ma sześć palców – albo więcej.

© P Ł K

I TAK POPŁYNIEMY

Polska nie jest drugim Egiptem i w najbliższych latach
raczej nie braknie nam wody pitnej.
Co jednak nie oznacza, że tym, co mamy, gospodarujemy z rozwagą
i susze w ogóle nam niestraszne.

MAREK RABIJ



ZA DNIA TEMPERATURA NAWET W CIENIU nie spada poniżej 30 stopni Celsjusza. Do tego nagle okazało się, że noc tropikalna to już nie cytat z prozy Kiplinga, lecz meteorologiczny opis tego, co po zmroku nęka nieprzyzwyczajonych do duchoty mieszkańców większości polskich miast. Noce z temperaturą minimalną powyżej 20 stopni były dotąd w Polsce rzadkością. W latach 1961-90 Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej notował je średnio tylko w 31 miejscach w kraju rocznie; w tym roku już jeden czerwcowy tydzień wyczerpałby tamten limit.

Trudno zasnąć bez klimatyzacji lub przynajmniej wentylatora, elektrownie przestawiły się więc na maksymalne obroty i zachłannie zasysają wodę z rzek, by zmienić ją w parę wodną, która napędzi turbiny generatorów.

W Dobroszycach na Dolnym Śląsku władze miasta grożą 500 zł mandatu każdemu, kto się odważy podlewać ogródek w sytuacji, gdy miejskie ujęcia wody nie wystarczają na zaspokojenie pilniejszych potrzeb mieszkańców. W Skierniewicach, gdzie magistrat musiał już dowozić wodę do domów cysternami, do zakazów dołożono karę za mycie samochodu. W telewizji powtarzają na okrągło, że klimat się zmienia i w przeliczeniu na mieszkańca Polska ma dziś już tyle samo wody pitnej, co Egipt.

Źródła podziemne

– Rzeczywiście doszło z tym Egiptem do małego *qui pro quo* – uśmiecha się prof. Artur Magnuszewski, hydrolog z Uniwersytetu Warszawskiego. – Z metodologicznego punktu widzenia takie porównanie jest uzasadnione, ale przecież i pan, i ja widzimy, że nie mieszkamy pośrodku pustyni.

Nieporozumienie, jak mówi hydrolog, wynika z zastosowanej metody obliczeń, która ilość wody odpływającej z obszaru kraju do mórz po prostu dzieli przez liczbę mieszkańców. Oszacowany w ten sposób wskaźnik dostępności wody pitnej dla Polski sięga ok. 1,6-1,8 tys. metrów sześciennych rocznie na mieszkańca. A w trakcie suszy poniżej tysiąca. Licząc wedle tej metody, Polska faktycznie znajduje się w grupie krajów europejskich najbardziej zagrożonych deficytem wody. Średnia na jednego mieszkańca Europy jest bowiem dwa →

*Happening „Siostry Rzeki”,
Warszawa, 13 października 2018 r.*

→ i pół raza większa i wynosi ok. 4,5 tys. metrów sześciennych rocznie.

– Tylko że w Polsce już około 70 proc. zaopatrzenia na wodę pokrywają źródła podziemne, najczęściej zapewniające wodę dobrej lub bardzo dobrej jakości – podkreśla prof. Magnuszewski. – Jedynie w dużych miastach, np. w Warszawie, wodociągi korzystają także z wody rzecznej.

Tzw. dyspozycyjne zasoby wód podziemnych, czyli zidentyfikowane i nadające się do eksploatacji źródła, które są też w stanie się odnawiać, liczą w Polsce łącznie około 14 kilometrów sześciennych.

– Aktualnie wykorzystujemy je w około 13 proc., bo mniej więcej tyle potrzebujemy, poza okresowymi, letnimi wzrostami, kiedy eksploatacja skacze do około 17 proc. – wylicza prof. Ewa Krogulec, dziekan Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizująca się w hydrogeologii. – Trzeba przy tym pamiętać, że rzeczywiste zasoby wód podziemnych w Polsce są o wiele większe od tych zidentyfikowanych już 14 kilometrów sześciennych. Około 30 proc. globalnych zasobów wody słodkiej spoczywa właśnie tam; na powierzchni mamy jej zaledwie trzy procent.

Czyżby zatem media ogłosiły fałszywy alarm? Prof. Ewa Krogulec: – To nie takie proste. Wody podziemne, zwłaszcza te w głębiej położonych złożach, są odporne na okresowe zmiany wielkości opadu i na razie nie notujemy zmiany ich zasobów. Niepokoją natomiast spore zakłócenia procesów hydrologicznych na powierzchni, które częściowo wspomagają odbudowę wód podziemnych.

Klimat już nie taki

Państwowy Instytut Geologiczny w kwartalnym raporcie o sytuacji hydrologicznej w Polsce nie pozostawia złudzeń: ostatnia jesień i zima nie pozwoliły wodom przygruntowym (złoża na głębokości kilku, kilkunastu metrów) na pełną regenerację. W prognozie sytuacji hydrologicznej dla kraju w okresie wakacji eksperci Instytutu twierdzą więc, że istnieje duże prawdopodobieństwo wystąpienia tzw. niżów hydrogeologicznych na terenie województwa wielkopolskiego, lubuskiego, opolskiego i śląskiego, a miejscami także w małopolskim. Niżówka, czyli poziom lustra wód gruntowych poniżej pewnej normy, może w tych miejscach utrudnić wegetację roślin i uniemożliwić korzystanie ze studzien gospodarskich, z których

Wody będzie brakować.

Problemem nie jest wielkość opadów nad Polską, lecz ich rozłożenie w kalendarzu na poszczególne pory roku.

wodę czerpie większość mieszkańców wsi i wielu posiadaczy domów jednorodzinnych. Nazywając rzecz bardziej dosadnie – spowoduje suszę.

Jak to możliwe, skoro jeszcze przed miesiącem kraj żył zagrożeniem potencjalną powodzią po kilkudniowych ulewach? Wiosenno-letnie burze i oberwania chmur, z apogeum w okresie od czerwca do sierpnia, przynoszą rzeczywiście nad Polskę mnóstwo wody. Wysokie temperatury i bujna o tej porze roku wegetacja roślinna sprawiają jednak, że większość szybko wyparuje. Zasoby wód gruntowych odnawiały się dotychczas jesienią i zimą, kiedy niskie temperatury ograniczają znacząco parowanie, a przyroda zapada w sen.

Szkopuł w tym, że w dużej części kraju zimy mamy dziś beżśnieżne, bo typową dla tej pory roku cyrkulację powietrza w osi zachód-wschód zastępuje coraz częściej południkowa, z północy lub południa kontynentu. Klimat właściwie nie zna już pór przejściowych. Hydrologów martwi zwłaszcza skrócenie przedwiosnia z typowymi dla tego okresu długotrwałymi, powolnymi roztopami. Ocieplenie z dnia na dzień, jakie coraz częściej daje się zaobserwować na przełomie zimy i wiosny, sprawia, że śniegi topnieją błyskawicznie, ale uwolniona woda równie szybko spływa następnie wysoką falą do morza.

Złożoność procesów odpowiedzialnych za zmiany klimatyczne budzi często nieufność empiryków, którzy z osobistych obserwacji wyciągają wnioski dokładnie odwrotne. Ocieplenie klimatu? To skąd w takim razie te gwałtowne śnieżycy i narciarze świętujący kolejną rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja na stokach Kasprowego? Problemy z wodą? Jeżeli już – to z jej nadmiarem, który praktycznie każdej wiosny daje znać o sobie kolejnymi oberwaniami chmur, powodziami i podtopieniami.

Problem sprowadzony wyłącznie do rocznego bilansu opadów rzeczywiście

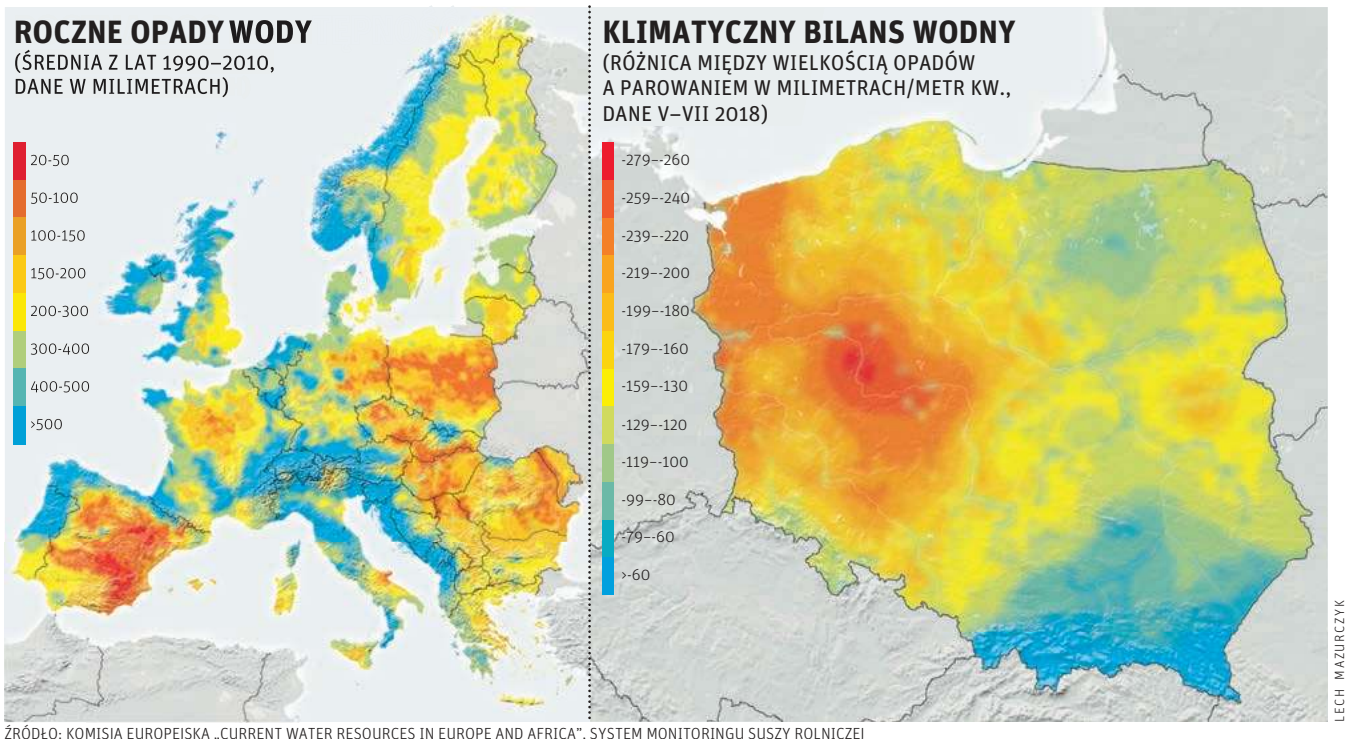
przestaje nim być. Owszem, zdarzają się lata wyjątkowo suche, choćby rok ubiegły, kiedy wiele stacji pomiarowych notowało opady na poziomie najniższym od połowy lat 90. Gwałtownie cofnęła się linia brzegowa jezior Pojezierza Gnieźnieńskiego. Kilka mniejszych zbiorników i kilkaset niewielkich stawów wyschło całkowicie, a rzeki w wielu miejscach odsłoniły dna swoich koryt.

W polskim meteokalendarzu takie okresy nadal przeplatają się jednak gęsto z latami, gdy suma opadów wychodzi wysoko ponad średnią wieloletnią, oscylującą wokół 600 milimetrów. I tak wyjątkowo suchy rok 2015 i 2018 oddziela od siebie 2017, kiedy suma opadów w wielu stacjach pomiarowych przekroczyła 1000 milimetrów! Problemem nie jest zatem wielkość opadów nad Polską, lecz ich inne rozłożenie w kalendarzu na poszczególne pory roku. Oraz to, że nic nie zapowiada zatrzymania tej zmiany. Symulacje klimatologów z Uniwersytetu Jagiellońskiego wskazują wręcz, że w latach 2041-70 na terenie Polski liczba dni z temperaturą maksymalną powyżej 25 stopni Celsjusza wzrośnie w porównaniu ze stanem obecnym od 6-12 na Wybrzeżu aż do 27 na Podkarpaciu.

Prof. Magnuszewski: – Wzrost temperatur oznacza zapewne dalsze obniżanie się lustra wód podziemnych oraz niższe stany wód powierzchniowych. Niektóre wsie, pozbawione instalacji wodociągowych, po prostu się wyludnią. Problemy czekają też polski sektor energetyczny i te gałęzie przemysłu, które potrzebują wody rzecznej do produkcji, np. do chłodzenia. To samo dotyczy rolnictwa wielkopowierzchniowego, które już teraz przy wielu uprawach nie potrafi obejść się bez systematycznego nawadniania.

Na szczęście, jak zauważa naukowiec, w polskim bilansie hydrologicznym tzw. wody zielone, niezbędne do produkcji rolnej i przemysłowej, stanowią obecnie jakieś 20 proc. zużywanych zasobów. Jesteśmy więc w lepszej sytuacji od Hiszpanii, która musi wspomagać swoje rolnictwo magazynowaniem niemal 50 proc. opadów atmosferycznych w zbiornikach retencyjnych. Na razie nie grozi nam również reglamentowanie dostępu do wody obywatelom dla podtrzymania produkcji lub odwrotnie – zakręcanie kurków biznesowi.

– Warto jednak pamiętać, że to, co wlewamy na pola lub tłoczmy do tur-



bin elektrociepłowni, już nie wraca do gruntu, bo paruje i wędruje niesione wiatrem w inne miejsca. Przydałoby się zatem kilka dużych zbiorników retencyjnych, które nie tylko usprawniłyby zapobieganie powodziom, ale też stanowiłyby zapas na wypadek wyjątkowo upalnych i suchych lat – podkreśla Magnuszewski.

Prawo czy produkt?

Spór o pierwszeństwo w dostępie do wody między społeczeństwem a biznesem na pierwszy rzut oka może się wydać dyskusją akademicką. Nic bardziej mylnego.

„Obawiam się, że jesteśmy już na drodze ku wielkiej światowej wojnie o wodę” – stwierdził Franciszek podczas seminarium poświęconego problemom z dostępem do tego surowca, zorganizowanego w 2017 r. w Watykanie. Sporo miejsca tej problematyce papież poświęcił dwa lata wcześniej w encyklice „Laudato si”, w której przestrzega m.in. przed próbami regulowania dostępu do wody metodami czysto rynkowymi, co jego zdaniem doprowadzi z jednej strony do „prywatyzacji” jej zasobów, z drugiej zaś do eksplozji niepokojów społecznych. „Kontrola wody przez wielkie światowe korporacje stanie się głównym źródłem konfliktów w tym wieku” – konkluduje Franciszek.

Magisterium Kościoła w tym przypadku podążyło za wyrażanymi często wąt-

pliwościami, czy egzekucję prawa człowieka, za jakie w 2010 r. ONZ uznała dostęp do wody pitnej (nota bene Polska była w grupie 41 państw, które wstrzymały się wtedy od głosu) można powierzyć niewidzialnej ręce rynku. Prywatne firmy od lat wprost rwą się do tego zadania. W 2005 r. Peter Brabeck-Letmathe, były szef Nestlé, wówczas największego producenta żywności na świecie, nawoływał do uznania wody za jeszcze jeden surowiec spożywczy. Tylko w ten sposób, dowodził prezes, można przypisać jej określoną wartość i w efekcie – to już logiczne rozwinięcie toku jego rozumowania – wycenić usługę, jaką powinno stać się dostarczenie wody tym, którzy jej nie mają.

Nestlé do dziś zaprzecza, jakoby w tej wypowiedzi Brabeck-Letmathe opowiedział się za komercjalizacją światowych zasobów wody pitnej, ale do tego w gruncie rzeczy sprowadza się jego stanowisko. Woda stałaby się jeszcze jednym produktem, za który ktoś musiałby uiścić rachunek: jeśli nie konsumenci, nie zawsze zdolni do poniesienia takich kosztów, to państwo lub społeczność międzynarodowa w ramach pomocy humanitarnej.

W niektórych miejscach globu to neoliberalne słowo stało się ciałem. Francja całkowicie sprywatyzowała usługi wodociągowe, ale z zachowaniem nadzoru państwa nad działaniem rynku. Gorzej

jest tam, gdzie nadzór szwankuje lub go brak. Dostawcy wody w Detroit od 2014 r. po prostu odcinają dostęp do wody zalegającym z rachunkami; tylko w pierwszym roku po wprowadzeniu tych przepisów potraktowano w taki sposób ponad 5 tys. gospodarstw domowych. W Polsce Sąd Ochrony Konkurencji i Konsumentów dopiero w 2011 r. wpisał na listę klauzul zakazanych paragrafy umów z wodociągami, w których dostawcy zastrzegali sobie odcięcie klientów od wody w przypadku kilkumiesięcznych zaległości. We wsi Plachimada na południu Indii, gdzie Coca-Cola uruchomiła rozlewnię swoich napojów i w efekcie niemal osuszyła okoliczne źródła, które od wieków zapewniały wodę okolicznym mieszkańcom, dopiero zamieszki uliczne skłoniły władze koncernu do zamknięcia zakładu.

Presja na komercjalizację zasobów wody pitnej nie zniknie, bo zgodnie z regułami gry podaży i popytu ich wartość może tylko rosnąć. Do 2050 r. liczba mieszkańców kuli ziemskiej wzrosnąć ma, jak twierdzi ONZ, z 7 do 9,5 mld. Tych ludzi trzeba będzie nie tylko napoić, ale także nakarmić, co oznacza z kolei nieuchronny wzrost zapotrzebowania rolnictwa i przemysłu na wodę. Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju OECD w wydanym dwa lata temu raporcie ostrzega, że zapotrzebowanie na wodę wzrośnie do

→ 2050 r. aż o 55 proc. i do tego czasu ponad 40 proc. światowej populacji może odczuć jej niedobór.

Dla części może to oznaczać po prostu brak wody do picia, większość odczuje je jednak pośrednio, borykając się z brakami innego rodzaju. Kilogram pszenicy wymaga zużycia około 1,5 tys. litrów wody w procesie uprawowym. Jedno jajko – 200 litrów. Bochenek chleba – 462. Kilogram mięsa drobiowego to już około 4,3 tys. litrów zużytej wody. W przypadku wieprzowiny zużycie wzrośnie już do niemal 6 tys. litrów na kilogram wyprodukowanego mięsa. Gdy mowa o wołowinie, do 14,5 tys. litrów na kilogram. Przemysł też ma wielkie pragnienia. Około 379 tys. litrów wody zużywa się w trakcie produkcji jednego samochodu. Jakies 15 tys. litrów pochłania proces rafinacji litra ropy naftowej. Nawet zwykłego T-shirta nie da się już wyprodukować bez zużycia około 8 tys. litrów wody – licząc od początku procesu produkcyjnego, który w tym przypadku zaczyna się na wielkopowierzchniowej plantacji bawełny.

Spragnieni wojny

ONZ szacuje, że około 783 mln ludzi na świecie – statystycznie co dziesiąty mieszkaniec globu – nadal nie ma dostępu do czystej wody pitnej. Prawdziwa skala związanego z tym wyzwania staje się jednak widoczna dopiero po nałożeniu na te dane prognoz klimatycznych (m.in. autorstwa klimatologów NASA), zgodnie z którymi już za około 50 lat rozległe obszary subkontynentu indyjskiego i Afryki subsaharyjskiej przestaną się nadawać do stałego zasiedlenia. Mówiąc wprost, woda już w perspektywie kilku najbliższych dekad stanie się na globalną skalę surowcem o znaczeniu strategicznym, a jej brak – nawet zarzewiem konfliktów zbrojnych.

W Afryce od pięciu lat narasta spór pomiędzy Egiptem, którego gospodarka nadal uzależniona jest od wód Nilu, a Etiopią, która w górnym biegu tej rzeki przegrodzi ją wielką tamą mieszczącą największą elektrownię wodną na tym kontynencie. „Wielka Tama Etiopskiego Odrodzenia”, jak nazywają inwestycję tamtejsi politycy, pozwoli liczącej już blisko sto milionów mieszkańców Etiopii zaspokoić rosnące gwałtownie zapotrzebowanie na prąd.

Etiopskie nadzieje w Egipcie, który już Herodot nazywał „darem Nilu”, wywołują jednak panikę. Rzecz rozbija się o tempo, z jakim Etiopia będzie napełniać zbiornik

zaporowy przy tamie. Jeśli potrwa to siedem lat, wtedy do Egiptu docierać będzie w tym czasie o jedną czwartą wody mniej niż zwykle. Kair domaga się, by proces rozciągnąć aż na 12 lat. Addis Abeba odpowiada, że czas nagli, i upiera się, by napełnić zbiornik w niecałe dwa lata, co w Egipcie spowoduje ponowne spustynnienie obszarów nadrzecznych, które Egipcjanom przez tysiąclecia z trudem udało się odebrać Saharze. Kair zapowiada więc, że jeśli nie dogada się z sąsiadem, bez wahania wyśle nad tamę myśliwce.

Eksperci ONZ z niepokojem zerkają także w stronę subkontynentu indyjskiego, gdzie sąsiadują ze sobą dwa zwaśnione mocarstwa nuklearne, które będą wkrótce narażone na wzrost temperatur do ekstremalnych poziomów przy jednoczesnym szybkim wzroście populacji. Jeszcze pół wieku temu w Indiach na mieszkańca przypadało 5 tys. metrów sześciennych wody rocznie. W latach 90. XX w. zasoby skurczyły się do 2 tys. metrów sześciennych na osobę, a według prognoz do 2025 r. zmaleją do zaledwie 1,5 tys. metrów sześciennych na mieszkańca. Już dziś braki wody pitnej wywołują masowe migracje mieszkańców z północy na południe. Rząd premiera Narendry Modiego rozważa nawet import 45 mld litrów wody z rezerwuaru Blue Lake na Alasce.

W obliczu tych trudności Delhi od lat szuka pretekstu do zerwania tzw. Indus Waters Treaty, traktatu z 1960 r., określającego zasady korzystania z wód Indusu i jego głównych dopływów przez Indie i Pakistan. Na mocy tego porozumienia Indie korzystające z wód lewych dopływów Indusu mogą również pobierać co roku stałą ilość wody z dopływów przyznanych Pakistanowi. W lutym, po zamachu w Kaszmirze, w którym zginęło 44 członków indyjskich sił paramilitarnych, indyjski minister ds. zasobów wodnych Nitin Gadkari zapowiedział jednak, że jego kraj odwróci bieg trzech rzek płynących dotychczas w przygranicznym stanie Uttar Pradeś w stronę Pakistanu. W reakcji na wystąpienie indyjskiego polityka premier Pakistanu Imran Khan upoważnił siły zbrojne, aby „odpowiedziały zdecydowanie i kompleksowo na jakąkolwiek agresję czy incydenty” ze strony sąsiada.

Czy Indie i Pakistan w rywalizacji o wodę posuną się do użycia swoich arsenałów jądrowych? Najpewniej skończy się na przygranicznym prężeniu muskułów, zwłaszcza że rządząca Indiami par-

tia BJP ponownie wygrała wybory parlamentarne i premier Modi może na chwilę wyjść z roli szeryfa. Symboliczny wydaje się jednak już fakt, że scenariusz wojny atomowej o wodę, jeszcze dekadę temu traktowany jako temat na tandetną dystopię, dziś na poważnie ćwiczą wojskowi i dyplomaci największych mocarstw. A to nie wszystko, bo stratedzy indyjskiego think tanku Strategic Foresight Group w opracowaniu sprzed kilku lat wskazują aż 45 miejsc kuli ziemskiej, gdzie niebawem może wybuchnąć konflikt militarny o zasoby wodne.

Klimatyczne dinozaury

Tymczasem polityka klimatyczna Polski tkwi nadal w XX-wiecznym paradygmacie pełnego podporządkowania przyrody interesom gospodarczym, ściślej – rolnictwu i przemysłowi. Owszem, Ministerstwo Środowiska pracuje nad dokumentem „Polityka ekologiczna państwa 2030”, którego autorzy podkreślają konieczność szybkiego przygotowania państwa na skutki zmian klimatu, postępującą konkurencję o zasoby naturalne (w tym wodę) i coraz groźniejsze konsekwencje zmian klimatycznych dla zdrowia obywateli. Mowa nawet o realizacji „potrzeb obecnego pokolenia bez umniejszania szans przyszłych pokoleń”.

Ów zrównoważony wzrost, o którym piszą autorzy strategii, nadal zakłada przede wszystkim wzrost PKB, a więc produkcji i konsumpcji. Tymczasem – jak piszą w komentarzu do projektu naukowcy prowadzący blog „Nauka o klimacie” – „oddzielenie wzrostu gospodarczego od konsumpcji energii i zasobów wciąż pozostaje nieosiągalne (...) przez co redukcja emisji jest tak trudna do pogodzenia z wykładniczym wzrostem gospodarczym”. Słowem, rząd mówi zdecydowane „tak” polityce ograniczającej zmiany klimatyczne, o ile tylko nie szkodzi ona różnym interesom gospodarczym kraju.

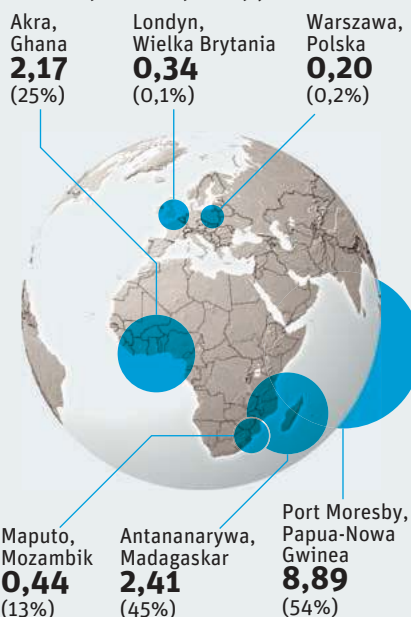
Tę dychotomię – by uniknąć mocniejszych sformułowań – widać jeszcze wyraźniej w konkretnych posunięciach. PiS jest za ograniczeniem emisji gazów cieplarnianych, ale też za energetyką opartą na węglu. Powołał również do życia spółkę Wody Polskie, która w statucie ma wpisany m.in. obowiązek zarządzania środowiskiem wodnym, ale wypowiedzi polityków partii rządzącej nie pozostawiają wątpliwości, na czym to zarządzanie ma polegać.

Sztandarowy projekt wodny PiS nadal zakłada regulację największych polskich rzek i budowę kaskady stopni, które umożliwią po nich żeglugę, ale też pozbawią rzeki naturalnych rezerwuarów retencyjnych w postaci rozlewisk i starorzeczy. Rząd chlubi się także wsparciem dla rolnictwa, ale wśród elementów strategicznej układanki dla polskiej wsi nie pojawia się poprawa zaopatrzenia w wodę – jak gdyby ten problem w ogóle nie występował.

W rzeczywistości już niemal co czwarta gmina w Polsce zmagą się z brakiem dostatecznej ilości wody. W 2017 r. Fundacja na rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa przeprowadziła ankietę wśród 510 gmin wiejskich i miejsko-wiejskich. Przeszło co piąta (23 proc.) sygnalizowała, że wiosną i latem cyklicznie wraca problem suchych studzien i przerw w dostawie wody do gospodarstw. Aż 34 proc. badanych gmin zmagalo się z zanieczyszczeniami wód powierzchniowych, które czyniły je niezdatnymi nawet do produkcji rolnej. Winowajcami – jak wynika z ankiet – były najczęściej nieszczelne przydomowe szamba i przestarzałe przydomowe oczyszczalnie ścieków. Autorzy analizy wskazywali też na inne praktyki polskiej wsi, które przyspieszają jej wysychanie: osuszanie stawów i bagien dla zwiększenia arealu upraw lub terenów pod budowę, wycinka drzew, a nade wszystko niemal całkowite odejście od metod tzw. małej retencji, czyli zatrzymywania wody w rowach i zbiornikach opadowych. Dopiero kilka dni temu, gdy cała Polska odmieniała przez wszystkie przypadki słowo „pustynnienie”, Ministerstwo Rolnictwa ogłosiło plan dopłat

CENA 50 LITRÓW WODY

(W ZŁ, W NAWIASIE PODANO ODSETEK ŚREDNIEJ DZIENNEJ PENSJI)



ŹRÓDŁO: WATERAID

dla rolników, którzy wprowadzą w gospodarstwach małą retencję.

Trzeba jednak uczciwie zaznaczyć, że od lat PiS lekceważy tę kwestię w doborowym towarzystwie niemal wszystkich partii opozycyjnych. Climate Action Network, międzynarodowy sojusz organizacji broniących klimatu, przed majowymi wyborami opublikował zestawienie programów ekologicznych najważniejszych ugrupowań politycznych w 28 krajach członkowskich UE. Badanych podzielono

następnie na trzy kategorie, według ich ideologicznych skłonności: obrońców klimatu, hamulcowych i wreszcie „dinozaurów”, czyli partii lekceważących problem. Polska okazała się jedynym krajem Unii, w którym wszystkie partie obecne w Parlamencie Europejskim zakwalifikowano właśnie do „dinozaurów”. Więcej, żadnej nie udało się nawet zbliżyć do progu 25 proc., który zapewniłby im awans do grupy „hamulcowych”. Najwyżej oceniony SLD uzyskał zaledwie 7,3 proc. Platforma Obywatelska dostała 3,8 proc., natomiast PiS – 2 proc.

– Myślę jednak, że tegoroczne wybory są w Polsce ostatnimi, w których politycy mogą pozwolić sobie na tak ostentacyjne lekceważenie problemów klimatycznych – uważa prof. Antoni Dudek, politolog i analityk polityczny. – Gwałtowne zjawiska pogodowe, ceny żywności wywołane przez suszę, niskie poziomy rzek, przez które elektrownie będą zmuszone zmniejszyć dostawy prądu, to wszystko przestaje być hipotetycznym zagrożeniem z przyszłości, niewartym uwzględnienia w bieżącej politycznej agendzie.

To, że wyborcy mogą oczekiwać od rządzących, by na serio wzięli się do walki ze zmianami klimatycznymi, dla wielu przedstawicieli klasy politycznej wydaje się dziś abstrakcją. Częściej spotkać można postawy bliskie deklaracjom posła PiS Arkadiusza Mularczyka, który na antenie Radia Kraków mówił: „Z rozbawieniem słyszę, że powodzie są wynikiem ocieplenia klimatu. W Małopolsce co dekadę mamy jakieś podtopienia”.

Ale to się zmienia. © P MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioto, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdat, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kucmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydawniczy Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziwilt-Meller, Szymon Hołownia, Jan Kłata, Stanisław Manciewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Rys, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kucmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad
Graphics

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Trzy dni



JONASZ NA TRZY DNI I TRZY NOCE UTKWIŁ w brzuchu wielkiej ryby. Na trzy dni modlitw i medytacji, nim został wypłuty i znalazł się w Niniwie. Trzy dni trwała wędrówka Abrahama i Izaaka do góry Moria, gdzie syn miał zostać złożony w ofierze całopalnej.

Nic nie wiemy o tej wyprawie „poza tym, że trwała trzy dni, przy czym również ta informacja została dodana w sposób zagadkowy. Na trzeci dzień Abraham spojrzawszy, dostrzegł z daleka ową miejscowość. Podniesienie oczu jest tutaj jedynym gestem, ba, po prostu jedyną informacją, jakiej dostarczono nam w związku z podróżą”. Tak Eric Auerbach w pierwszym rozdziale genialnego dzieła „Mimesis” komentował ową milczącą podróż wśród pustki. „W ten sposób podróż staje się jak gdyby milczącym pochodem poprzez coś nieokreślonego i tymczasowego, zatrzymaniem oddechu, wydarzeniem, które nie ma teraźniejszości i wprowadzone jest pomiędzy przeszłość i przyszłość jak jakieś trwanie niczym nie wypełnione, a jednak wymierzalne: trzy dni! Tego rodzaju »trzy dni« wręcz domagają się wykładni symbolicznej (...) Ma ona wyrazić punktualność, gorliwość i skrupulatność, jakie w swym posłuszeństwie wykazuje tak ciężko doświadczony Abraham” – pisał Auerbach.

Nie wiemy, jakie Abraham i Izaak wzięli sprzęty, co jedli po drodze, co czuli bohaterowie zdarzeń. Podobnie rzecz się ma w przypadku Jonasza. Nie wiemy, jak wyglądał brzuch wielkiej ryby. Nie mamy pojęcia, co czuł Jonasz. Czy miał wrażenie, że znalazł się we wnętrzu ryby na wieki, czy miał nadzieję na dalsze życie. Czy strach odjął od niego głód i pragnienie wody. Trzy dni otacza mgła niepewności i nieoznaczoności. Jonasz nie mógł wiedzieć, gdzie się znajduje i dokąd go zabiera morski stwór. Nic nie było jasne. Te trzy dni mogłyby trwać jak wieki poza pocuciem czasu i miejsca.

Trzy dni powracają w Biblii. Kolejny taki przypadek wiąże Labana i Jakuba. Ten pierwszy dowiedział się o ucieczce swego pasterza i zięcia dnia trzeciego. Trzy dni pojawiają się kilkakrotnie w historii Józefa. W więzieniu usłyszał sny piekarza i podczaszego. Jednemu zapowiedział ostatnie trzy dni życia, drugiemu trzy dni w zamknięciu, a potem powrót na dwór faraona. Trzy dni każdego z nich musiały wywoływać drżenie. Jeden żył w trwodze przed śmiercią, drugi lękając się o swoje powodzenie. Te trzy dni czekania musiały być bardzo intensywne. Tylko trzy dni dzieliły ich od wyroków przeznaczenia. Józef trzy dni trzymał swoich braci w więzieniu, gdy ci przybyli do Egiptu, prosząc o ziarno. Wezryr zatrzymał ich oskarżając o szpiegostwo, a dowodem ich niewinności miało być przybycie Benjamina. Jakże niespokojne musiały być dla tej jedenastki owe dni. Ile razy przegadali oni w zamknięciu o swoich wyborach. Ile razy wspomnieli los Jakuba i swoją zbrodnię na Józefie. Trzy dni trwał ich strach i niepewność. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Zgubna pobożność



KALENDARZ LITURGICZNY KOŚCIOŁA TO wielki spis zmarłych nazywanych błogosławionymi lub świętymi. Wspominamy ich w dniu ich śmierci. Ale 8 września obchodzimy narodziny Maryi, Matki Jezusa, a 20 czerwca Jana Chrzciciela. To drugie

wspomnienie to istna żywa skamielina przedchrześcijańskich wierzeń i obrzędów.

Paweł Apostoł w Liście do Galatów pisze: „Wszyscy przecież dzięki wierze w Jezusa Chrystusa jesteście synami Bożymi. Wy zatem, którzy w Chrystusie zostaliście ochrzczeni, przodzialiście się w Chrystusa. Nie ma już Żyda ani Greka, nie ma niewolnika ani wolnego, nie ma mężczyzny ani kobiety, ponieważ wszyscy jesteście jedno w Chrystusie Jezusie”. Z tego jednak nie wynika, że znamy już całą prawdę o Bogu i Jego planach. Mówiąc za Pawłem, warto pamiętać, że nie tylko Grecy czcili Nieznanego Boga, nasz Bóg też jest nieznan, niepoznawalny, a jeśli już poznawalny, to tylko częściowo. O Bogu mówimy, że jest On naj-, naj-, że jest jak to czy tamto, i wreszcie że nie jest ani taki, ani inny. Co znaczy, że każdy portret Boga jest przede wszystkim ostrzeżeniem: Imieniem Boga jest czasownik! Anioł Ślăzak w wierszu „Niepoznany Bóg” pisze tak:

*Czym Bóg jest, nie wiadomo; nie światłem, duchem nie
Jednością nie, ni tym, co się boskością zwie,
Mądrością nie, rozumem, miłością, dobrem, wolą,
Ni rzeczą, ni nierzeczą, umysłem ni istotą:
Tym, czego ja ni ty, ni też stworzenie żadne,
Nim będziem jako On, nie zgadło i nie zgadnie.*

Św. Łukasz pisze: „Pewnego razu, gdy Jezus modlił się na ustroniu, a byli przy Nim uczniowie, zadał im pytanie: »Kim Ja, zdaniem ludzi, jestem?«. Uczniowie odpowiedzieli, że jedni mają Jezusa za wskrzeszonego z martwych Jana Chrzciciela, inni za Eliasza, którego przyjście miało sygnalizować bliskie już zjawienie się Mesjasza, jeszcze inni za jakiegoś innego proroka. Wtedy Jezus zapytał: „A według was, kim jestem?”. Piotr odpowiedział: „Chrystusem, Synem Boga”.

To pytanie „A według was, kim jestem?” Jezus zadaje każdemu człowiekowi, który twierdzi, że jest uczniem Chrystusa, że Go zna i kocha. Może się więc zdarzyć, że pocujemy się nie-swojo. Jak to, czyżby Jezus wątpił w prawdziwość i szczerość mojej wiary w Niego? Ten niepokój, który zaczyna nas trawić, nie musi jednak pochodzić od złego ducha, może pochodzić od Bożego Ducha, który chce nas ostrzec przed popełnieniem błędu, jaki przydarzył się słuchaczom Jezusa. Nie mogli uwierzyć Jezusowi, że jest Synem Boga, gdyż oni sami i ówczesna opinia publiczna całkiem inaczej Go sobie wyobrażali. Jezus po prostu nie mieścił się w ramach ich religijnych i społecznych wyobrażeń o Bogu. Gubiła ich pobożność. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Sumienie odsyłającego

Światło i ciemność,
życie i śmierć, prawo i lewo
– to bliźnieta
i nie da się ich rozdzielić.

EWANGELIA FILIPA



Logos poucza,
że boskość jest wszędzie
i całkowicie obecna.

PORFIRIUSZ Z TYRUT



Wybrał PIOTR SIKORA



CZYTAMY AKTUALNIE w liturgii Kazanie na Górze; ostatnio przyniosło nam ono następujące pouczenie: „Każdy, kto oddał swoją żonę – poza wypadkiem nierządu – naraża ją na cudzołóstwo; a kto by oddaloną wziął za żonę, dopuszcza się cudzołóstwa” (Mt 5, 31-32).

Podczas medytacji nad tym tekstem zatrzymało mnie słowo „naraża” – a stało się to za przyczyną św. Hieronima, który ów fragment tłumaczy o wiele mocniej: „*facit eam moechari*”, tzn. „sprawia, że ona popełnia cudzołóstwo” (wiele angielskich przekładów ujmując rzecz jeszcze mocniej: „staje się przyczyną jej cudzołóstwa”). Hieronim idzie tu wiernie i dosłownie za oryginalnym tekstem Mateusza, w którym występuje greckie słowo *poiéo* – uczynić, zrobić; co uprawomocnia przekład: „czyni ją cudzołożącą”.

Nietrudno wyobrazić sobie protest. Jak to? Przecież ja nie każę jej grzeszyć. Ja ją tylko odsyłam, korzystam z tego, na co zezwala mi Prawo. Więc jestem w porządku. Jak mogę odpowiadać za decyzje i postępowanie kogoś, z kim się rozstałem i więcej nie utrzymuję kontaktu? Wszystko to są pytania, które, jak myślę, Jezus chce sprowokować; w konfrontacji z nimi może nam być bowiem dane właściwe rozumienie moralności.

Czy moralność jest jedynie odpowiedzialnością wobec prawa? Czy nie jest raczej odpowiedzialnością za drugiego człowieka? Czy prawo nie tego właśnie dotyczy? – odpowiedzialnych i właściwych relacji między ludźmi? OK. Jesteś w porządku wobec

prawa... Co do litery zapewne tak, ale czy co do jego ducha (dla nas: Ducha!) również?

Czy osoba odesłana, z którą prawnie się rozstałeś, w żaden sposób już cię nie obchodzi? Czy drugi człowiek to jedynie problem, którego się wreszcie mogłeś pozbyć? A może jest problemem, który ty sam przez lata współ-stworzyłeś?

A samo rozejście się? Odbyło się tak, by nie pogłębić jeszcze bardziej owego problemu? Myślisz, że nie zostawiło śladów: w emocjach, we władzy podejmowania decyzji, w percepcji dobra i zła, w konsekwentnym przekonaniu co do ich obowiązywalności?

A wiesz, co się z tą osobą dzieje? Czy stała na własnych nogach? Czy ma środki do życia? Czy otrzymała drugą szansę? A jeśli nie?

Wszystko to rodzi w sumieniu, nie w paragrafach „kodeksu”, pytanie: ile mojego sprawstwa jest w czynach kogoś, kogo bezpowrotnie odesłałem od siebie? Prawdą jest, że takie decyzje niekiedy w życiu są nie tylko usprawiedliwione, ale wręcz konieczne. Bez konfrontacji z Jezusowym pouczeniem nie zdajemy sobie jednak do końca sprawy z ich znaczenia. Można np. zapytać, czy Kościół (diecezja, zakon), którego ksiądz został „przeniesiony do stanu świeckiego”, już w żaden sposób nie odpowiada za niego i jego czyny? *De iure* zapewne nie. Ale *de Spiritu*?

Czy społeczeństwo, które odsyła człowieka do więzienia, zwalnia się z jakiegokolwiek odpowiedzialności za niego? Czy w żaden sposób nie odpowiada za niego także wtedy, gdy on wyjdzie z więzienia?

Pytań wiele... Powtórzmy: właściwe odpowiedzi są w sumieniu, nie wyłącznie w paragrafach. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (23 – 30 VI)

12. niedziela zwykła: Za 12, 10-11; 13, 1;
Ps 63; Ga 3, 26-29; Łk 9, 18-24;
Uroczystość narodzenia św. Jana Chrzciciela: Iz 49,
1-6; Ps 139; Dz 13, 22-26; Łk 1, 57-66. 80;
Wtorek: Rdz 13, 2. 5-18; Ps 15; Mt 7, 6. 12-14;
Środa: Rdz 15, 1-12. 17-18; Ps 105; Mt 7, 15-20;

Czwartek: Rdz 16, 1-12. 15-16; Ps 106; Mt 7, 21-29;
Uroczystość Najświętszego Serca Pana Jezusa:
Ez 34, 11-16; Ps 23; Rz 5, 5b-11; Łk 15, 3-7;
Sobota: Dz 3, 1-10; Ps 19; Ga 1, 11-20; J 21, 15-19;
13. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 16b. 19-21;
Ps 16; Ga 5, 1. 13-18; Łk 9, 51-62.

BIAŁE KONIE PO BETONIE

Historia wcale się nie powtarza. Rok 1989 zdarzył się raz, 30 lat temu.

Teraz mamy nowe czasy, nowe wyzwania.

Kto tego nie zauważa, nie będzie współtworzył bieżącej polityki.

TEKST **MARCIN NAPIÓRKOWSKI** ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

BARDZO LUBIĘ BOVSKĄ, CZYLI MAGDĘ GRABOWSKĄ-WACŁAWEK. Także osobiście – to moja dawna koleżanka ze szkoły. Dlatego bardzo się ucieszyłem, że to właśnie ona będzie gwiazdą przygotowywanego przez Warszawę spotu z okazji trzydziestolecia 4 czerwca 1989 r. W ramach celebracji Bovska zrealizowała własną wersję piosenki „Wolność” zespołu Chłopcy z Placu Broni. Oszczędna interpretacja z surowym, elektronicznym bitem w tle wpada w ucho. W wystetyzowanym teledysku oglądamy plejadę mieszkańców stolicy. Brodaci hipsterzy, uśmiechnięci robotnicy budowlani, studenci i starsze małżeństwo. Wszyscy tańczą na tle ikonicznych budynków stolicy. Ładni ludzie w ładnych miejscach.

Na ekranie w ogóle nie ukazano przeszłości. To trochę zaskakujące w rocznicowym teledysku, prawda? Jedynym akcentem w jakikolwiek sposób upamiętniającym historię jest widoczne w ostatnim ujęciu eleganckie logo obchodów – data 2019 zapisana charakterystyczną solidarycą.

Oczywiście, jeżeli dobrze zna się Warszawę, można teledysk Bovskiej oglądać też jako opowieść o tym, jak miasto zmieniło się w ostatnich trzech de-

kadach. Teraz jest tak fajnie i ładnie, wszyscy cieszą się i tańczą, ale przecież kiedyś było inaczej... Tyle że w kadrze nie pojawia się cokolwiek, co mogłoby to „kiedyś” sugerować. Ale może to kwestia Warszawy? Może w Gdańsku, kolebce Solidarności, będzie inaczej?

Jest inaczej. Gorzej. Brak Bovskiej, brak dobrego pomysłu. W ramach zagospodarowywania rocznicowego budżetu na-

kręcono spot z gadającymi głowami. Kolejne osoby czytają na ekranie fragmenty tekstu, który nie układa się w żadną sensowną całość. „4 czerwca, 30 lat temu chcieliśmy inaczej myśleć i lepiej żyć. Dokonałiśmy czegoś niemożliwego. Dokonałiśmy ważnego wyboru. Pokazaliśmy światu. 30 lat temu zapragnęliśmy wolności. 4 czerwca to nasze święto. Święto wolności i solidarności. Bądźmy razem. 4 czerwca spotkajmy się w Gdańsku”.

Po co w tak krótkim tekście aż trzy razy powtarzać datę (a dwa razy informację o rocznicy)? Może po to, by zamaskować, że poza tym niewiele mamy do powiedzenia. Chcieliśmy inaczej myśleć? Naprawdę? Logika tego tekstu sprawia, że „ważny wybór” okazuje się „czymś niemożli-



[1.]

wym". „Pokazaliśmy światu”, ale co? „Nasze święto”, czyli czyje? „Bądźmy razem” sugeruje raczej jakieś obwarowanie, konsolidację przeciw wrogom niż rzeczywistą inkluzywność... Dlaczego pan z bananem na koszulce (przypadek?) tak dziwnie gestykuluje przy słowie „wolność”? Jakby chciał pokazać, że taaaakiego pstrąga złowił.

Wątpliwości wobec tego dziwnego filmu łatwo mnożyć. Ale jedno budzi zaskoczenie. Każdy z mówiących widoczny jest w kadrze oddzielnie. Opowieść o byciu razem jest tu kompletnie niewiarygodna, bo zestawiona z obrazami izolacji.

Zofia Leszczyńska pracująca w moim macierzystym Instytucie Kultury Polskiej nad doktoratem poświęconym historii polskiego plakatu wyborczego zwróciła mi kiedyś uwagę, że materiały Solidarności mogły z łatwością pokazywać solidarność (jako wartość) poprzez obrazy tłumu złączonego wspólną ideą. Jeżeli komuniści chcieli mieć na plakatach wiarygodny tłum, musieli go sobie narysować. Solidarność w pojedynkę to żadna solidarność. „Bądźmy razem” wygłaszane drewnianym tonem, w pustym pokoju, wprost w obiektyw kamery zawsze będzie odbijać się fałszywą nutą.

Te dwa klipy stanowią fascynujący materiał. Dobór postaci, miejsc, gestów, cały repertuar środków audiowizualnych wszystko to układa się w kod, którym – przynajmniej w warstwie oficjalnej – myślimy i mówimy dziś o naszej pamięci. I co się okazuje? Jest to opowieść o teraźniejszości. Przeszłość jest zbyt niejasna lub zbyt kontrowersyjna, by pokazać ją wprost.

Niby przez poprzednie dekady dorobiliśmy się zestawu rozpoznawalnych symboli – zomowcy przy koksownikach, Okrągły Stół, Lech Wałęsa i Tadeusz Mazowiecki unoszący palce w geście zwycięstwa... Ale 30. rocznica to moment kontestacji utrwalaonych znaków. Kto stoi tu, gdzie ZOMO? Co się wydarzyło przy Okrągłym Stole? Kim właściwie był Lech Wałęsa?

Są urodziny. Jest składkowy budżet. Trzeba coś z nim zrobić, kupić tort i prezent. Ale gdy próbujemy ugryźć tort, odkrywamy, że jest ze styropianu. Zaglądamy do pięknego opakowania, a tam czai się tylko pustka. Gdy przychodzi pora złożenia życzeń jubilatce, okazuje się, że nie mamy do powiedzenia nic poza frazesami. „Wszystkiego najlepszego, Polsko. Dużo zdrowia”.

Zasada 60:30

Powstanie warszawskie w roku 2004, Zagłada w pierwszej dekadzie XXI wieku, ale też powstanie styczniowe w początkach II Rzeczypospolitej. 60. rocznica to idealny czas na celebrację. Nad pamięcią unosi się silny imperatyw moralny: to ostatni moment, wkrótce będzie za późno.

Ci, którzy doświadczyli wydarzenia historycznego jako zryw pokoleniowego, mieli wtedy mniej więcej po 20 lat.



Należą do generacji, na której upamiętniana dziś historia wywarła największe piętno. Stawiali jej czoło jeszcze nieukształtowani, wychodzili z niej – o ile w ogóle przeżyli – naznaczeni na całe życie. Dziś, jak łatwo policzyć, mają po 80 lat.

To ostatnia okazja, żeby z nimi porozmawiać, żeby otrzymać opowieść z pierwszej ręki, nim w procesie wielkiego przepisywania mitów stanie się ostatecznie częścią Historii. Nim umrze, przywalona ciężarem akademickich dociekań, unieruchomiona w muzeum, strywalizowana w podręczniku, odlana z brązu czy wykuta z marmuru. Stąd dojmujące poczucie pilności, któremu ulegają politycy, historycy i szeroka publiczność. Trzeba spisać lub nagrać wywiady, skatalogować archiwa, oddać hołd bohaterom.

Starzy weterani czy ocalańcy są doskonałymi partnerami dla młodych, którzy zarządzają polityką pamięci. Można ich usadzać na publiczności w krótszych każdego roku rządach krzeseł, przemawiać w ich imieniu, przywoływać ich na świadków dowolnych interpretacji przeszłości, wzywać na żyrantów własnych politycznych programów.

Tam, gdzie niewiele zostało już przyszłości, przeszłość staje się szczególnie istotna. Po 60 latach weterani stali się strażnikami pamięci, dowodami na prawdziwość tego, co się wydarzyło, wciąż jeszcze żywymi na przekór dawnej dramatycznej historii i kolejnym 60 zimom i latom. I zwykle pełnią tę rolę z oddaniem. Jak starcy w przedsięwzięciach społecznych, którzy rozumieją, że to od nich zależy ocalenie dla wspólnoty pewnej mądrości.

Zbyt wiele przyszłości

Trzydziestka jest w tym kontekście przeciwieństwem sześćdziesiątki. Odeszli ci, którzy – już wówczas w słusznym wieku – odgrywali rolę mentorów, wprowadzając pierwiastek spokoju i pojednania. Inni, którzy wtedy mieli lat 20, 30, a nawet i 40, dziś wciąż jeszcze są głodni władzy. W zasadzie dopiero teraz osiągnęli wiek, gdy w polityce można najwięcej – o ile akurat nie jest się Aleksandrem Macedońskim.

Zamiast wezwania do utrwalenia pamięci, dostajemy więc pokusę rewizji przeszłości związaną z bieżącymi konfliktami i podziałem zaszczytów. Kto był bohaterem, a kto zdrajcą? Czyje dokonania są największe, a kto zasługuje na to, by wymazać go z annałów? Historię piszą zwycięzcy, ale po 30 latach wcale jeszcze nie wiadomo, kto właściwie zwyciężył. Jest tylko jeden sędzia, który rozstrzyga takie spory, ostatecznie jednając wszystkie zwaśnione frakcje. Ale dziś jest jeszcze daleko. Wróci za 30 lat, by upomnieć się o swoje.

A na razie trwa życie. Kręci się karuzela konkurencyjnych interpretacji. Jeżeli słowem →

→ kluczem dla liczby 60 była konsolidacja, to 30 wiąże się właśnie z konkurencją. Opowieść o przeszłości staje się tak wielogłosowa, że zamienia się w kakofonię niezestrojonych melodii. Z jednej strony nikt nie chce dać się zamienić w pomnik, z drugiej – bohaterowie tamtych lat na wyścigi wskakują na cokoły, licytując się w rzeczywistych i wymaginowanych dokonaniach.

Nie potrzebują nikogo, kto opowiedziałby ich historię. Sami chętnie to robią. Nie dadzą usadzić się na widowni, bo wcale nie chcą jeszcze przechodzić do historii. Nawet jeśli spisują memuary, to wcale nie z nastawieniem na przeszłość, nie po to, by przy kominku wspominać dawne dzieje. Przeciwnie! Dziś, o 30 lat mądrzejsi, planują nowe sojusze i nowe podboje. Opisanie dawnych bohaterskich czynów także związane jest z tymi planami na przyszłość. Pozwala zdobyć nowych sojuszników, poniżyć wrogów, napiętnować nie dość odważnych... Zbyt wiele jeszcze przyszłości przed nimi, by mogli w pełni oddać się temu, co minione.

Dlatego trudno upamiętniać to, co wydarzyło się 30 lat temu. Dziś zmusza nas do tego nie historia, lecz matematyka. Byłoby dziwne, gdybyśmy nie świętowali, ale w zasadzie nie bardzo wiemy, kto i co miałby z tej okazji zrobić. Dlatego właśnie tak wiele upamiętnień przybrało kształt pustych pudełek. Z zewnątrz dostajemy zapowiedź czegoś wyjątkowego, ale w środku nie ma nic, bo nie bardzo mamy pomysł, co mogłoby się tam znaleźć. To częściowo dlatego, że sama transformacja ufundowana była na micie pudełka niespodzianki.

Transformacja Schrödingera

30 lat to niewralgiczny moment. Idealna pora, by dokonać oceny. I to nie historycznej, jak po 60 latach („bić się czy nie bić?”), ale właśnie publicystycznej. To także trudny moment dla mitów. Język słów i obrazów, którym dotychczas opowiadaliśmy o transformacji ustrojowej, może nie wytrzymać próby czasu. Rok 1989 był przede wszystkim obietnicą. Jego symbole – stoczniove żurawie, solidaryca, Okrągły Stół, nawet słowa, że „skończył się w Polsce komunizm” – były znakami oporu (odrzućenia tego, co dawne) i nadziei (na to, że nowe przyniesie zmianę). Ale obietnice mają to do siebie, że przychodzi dla nich w końcu czas rozliczeń.

Daliśmy marzeniom dość czasu, by zmieniły się w rzeczywistość. Po 15 latach zaczęliśmy mówić „sprawdzam”. Przez kolejne 15 wielu z nas wyrobiło już sobie zdanie. Jesteśmy gotowi, by zagłosować w plebiscycie „1989 – hit czy kit”. Chętnych, by go ogłosić, nie brakuje.

Problem polega na tym, że to nie jedna z odpowiedzi – ta negatywna – obala dawne mity

roku 1989. Obala je jakakolwiek ocena transformacji, a nawet samo sformułowanie pytania o jej ocenę. Nawiązując do klasycznego eksperymentu myślowego, można powiedzieć, że to akt zajrzenia do pudełka i sprawdzenia sprawy, że kot będzie żywy lub martwy. Dotychczas jego los był nierozstrzygnięty i to właśnie na tym nierozstrzygnięciu – nadzieja dla każdego, szansa na zmianę, obietnica lepszej przyszłości – opierały się najważniejsze znaki roku 1989.

Mity transformacji nie wieszczyły bogactwa dla każdego, lecz powszechną szansę na zdobycie tegoż. To, na ile faktycznie stała się ona powszechna, jest dziś także przedmiotem sporu, ale sam fakt, że po 30 latach jedni stali się bogaci, a inni nie, można porównać do otwarcia pudełka z nieszczęsnym kotem Schrödingera. Albo raczej trzydziestu kilku milionów pudełek, których los nie jest już dłużej nierozstrzygniętą obietnicą – supozycją wszystkich możliwych stanów.

To samo dotyczy nie tylko gospodarki (plan Balcerowicza), lecz także polityki historycznej (swoboda prowadzenia badań nad przeszłością), kultury (zniesienie cenzury), parlamentarnych sporów (demokracja, system wielopartyjny). Wszystko to były obietnice wolności, a nie rezultatów. Nikt nie przyrzekał literatury na miarę Nobla ani lepszej, bardziej chlubnej przeszłości, ani doskonałych polityków. Obiecaliśmy sobie tylko, że nareszcie będziemy mieli takie książki, jakie sobie napiszemy, taką przeszłość, jaką wskażą rzetelne badania, takich polityków, jakich wybierzemy.

Na białym koniu

Ale po wydmuszkach w rodzaju rocznicowych teledysków i szkolnych apeli nie spodziewaliśmy się wiele. To nie setna rocznica odzyskania niepodległości, po której można było oczekiwać spektakularnych gestów, pomników albo muzeów. Uwaga gości zaproszonych na urodziny III Rzeczypospolitej od początku skierowana była gdzie indziej.

Co powiedzą oni – jasno świecące gwiazdy bieżącej polityki, których podróż ku wielkości zaczęła się właśnie wtedy? Czy Donald Tusk wyznaczy opozycji nowy kierunek? Czy Jarosław Kaczyński ostatecznie skonsoliduje władzę?

Już nawet nie pamiętam, kiedy i od kogo usłyszałem to po raz pierwszy. Jeszcze zanim zrobiło się modne, zanim spekulowały o tym wszystkie gazety.

Wtedy miało trochę posmak wiedzy sekretnej, ściśle tajnego przecieku, czegoś, co wiedzą tylko uprzywilejowani. 4 czerwca Donald Tusk zjednoczył opozycję. Uratuje nas wszystkich, przyjechawszy na białym koniu wziętym wprost z pamiętnej okładki „Newsweeka”.



To właśnie pod tym kątem wszyscy wsłuchiwali się w jego przemówienie. „Donald Tusk nie porzucił opozycji po dotkliwej przegranej w eurowyborach ze Zjednoczoną Prawicą – pisał Łukasz Rogojśz dla *Gazeta.pl*. – Podczas swojego przemówienia w Gdańsku wskazał jej drogę, którą powinna podążać, żeby pokonać »dobrą zmianę«. Wciąż nie zdradził jednak, czy sam na bitwę z PiS-em wyruszy”. „Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że Donald Tusk w Gdańsku zaproponował zjednoczenie PO z PO – z przekąsem zauważał prof. Rafał Chwedoruk na łamach *WPolityce.pl*. – W tym aspekcie cudu nad Motławą 4 czerwca nie było”.

Ale tym, którzy liczyli, że „coś się wydarzy”, chciałbym zadać proste pytanie: co właściwie miało się wydarzyć? Tusk miałby rozwiązać istniejące w Polsce struktury partyjne? Odwrócić poparcie wyborców? Dokonać przewrotu i zmienić ustrój na monarchię?

Ten, kto naprawdę oczekiwał, że obchody 4 czerwca będą punktem przełomowym w bieżącej polityce, nie odrobił lekcji z teorii pamięci zbiorowej. Owszem, polityka pamięci pełni dziś kluczową rolę, impuls musi jednak wyjść z istniejących już struktur mitycznych. Na powierzchni potężny mit przeszłego wydarzenia będzie przyciągał ku sobie wyobraźnię i kształtował bieżącą politykę, w głębi, poza wzrokiem publiczności – bieżąca polityka będzie powoli, krok po kroku przepisywać historię. Ramy interpretacyjne poprzedzają gesty polityczne i wyznaczają program dla polityków. Nigdy odwrotnie! (Dlatego właśnie 60. rocznica to znacznie lepszy moment na budowanie polityki pamięci niż 30.).

Fantazja o Ruchu 4 czerwca to w gruncie rzeczy propozycja bezwstydnego posłużenia się polityką historycznych analogii. Oto znowu mamy w Polsce komunizm, oto znów opozycja oznacza sojusz ponad ideologicznymi podziałami w obronie najwyższej wartości, jaką jest wolność. Mimo wszystkich towarzyszących jej haseł, trzeba zauważyć, że jest to fantazja jawnie antydemokratyczna, odrzucająca możliwość pokonania PiS w normalnych wyborach, przekonania jego dotychczasowych wyborców, a także tych niezdecydowanych, że ma się dla nich atrakcyjniejszą propozycję.

W dodatku ta fantazja o powrocie do przeszłości jest osobliwie niepociągająca dla wszystkich, którzy nie mają osobistych wspomnień z protestów lat 80. Dlatego, że w 1989 r. jeszcze nie było ich na świecie, albo dlatego, że wtedy nie protestowali. Komatancka retoryka, która po 60 latach może inspirować i budować nadpokoleniowe mosty, po 30 raczej alienuje.

Niestety, nie da się raz jeszcze przeżyć swojej młodości. Historia może nas czegoś nauczyć (choć nie tak często,

jak się zwykle myśli), ale wbrew popularnemu powiedzeniu wcale się nie powtarza. Rok 1989 zdarzył się raz, 30 lat temu. Teraz mamy rok 2019 – nowe czasy, nowe wyzwania. Kto tego nie zauważa, nie będzie współtworzył bieżącej polityki.

Odurzeni, oburzeni

Bieżąca polityka to trucizna. Silnie uzależniający narkotyk, który dawkować trzeba bardzo ostrożnie. Inaczej rozpuszcza szpalty tygodników i mózgi komentatorów, rozkłada więzi społeczne i rodzinne, roztopia i podporządkowuje sobie nowe i stare media. Wiem, wiem. Już o tym pisałem. Mam świadomość, że to jeden z tematów, do których w kółko powracam, ale naprawdę sędzę, że to ważne.

To, co zazwyczaj rozumiemy pod pojęciem „polityki” – polityka partyjna i polityka charyzmatycznych liderów – z punktu widzenia semiotyki okazuje się poręcznym zestawem skrótów poznawczych. Spór polityczny opiera się na uproszczeniu rzeczywistości, często skrajnym, i sprowadzeniu jej do prostych, najlepiej binarnych wyborów. W ten sposób mnogość kwestii, które są i powinny być polityczne – wszystko, o co możemy się spierać, nad czym chcielibyśmy debatować – zostaje zredukowane do pojedynczej decyzji. Tusk czy Kaczyński? Opozycja czy koalicja? Jedni mają monopol na rację, drudzy stają się uosobieniem błędu. Tak rozumiana polityka karmi się nie racjami, ale emocjami. A najsilniejszą z nich staje się w dobie mediów społecznościowych oburzenie. To ono trzyma nas przy ekranach, to ono skłania do prenumerowania czasopism, klikania i komentowania. Oburzenie konsoliduje elektorat partii politycznych, oburzenie najlepiej sprzedaje reklamy. Bieżąca polityka dzierży rząd dusz, rozbudzając właśnie tę emocję.

Przeciwieństwem oburzenia nie jest apatia, lecz refleksja. To właśnie refleksja sprawia, że wycofujemy się z oburzenia, także po to, by „przeciwnika” lepiej poznać i zrozumieć. Refleksja buduje dystans, dystans sprzyja refleksji. Następuje sprzężenie zwrotne.

Dlatego bieżąca polityka boi się dystansu. Także dystansu historycznego. Wcale nie chce, byśmy wydarzenia sprzed 30 lat spróbowali zrozumieć. Woli zakrzyczeć je albo zamilczeć, przykryć sporami o to, kto komu nie podał ręki, ukryć w cieniu wyników ostatnich wyborów.

Ale nie ma się co martwić. Przeszłość jeszcze nas dopadnie. Jeszcze wygra z bieżącą polityką. Dostaniemy obchody, pomniki i muzealne ekspozycje. Pewnego dnia kurier z logo „1989” zapuka do naszych drzwi z paczką, która nie będzie pusta. Przepis na to jest prosty. Wystarczy pocze-
kać kolejnych 30 lat. ©

MARCIN NAPIÓRKOWSKI



Przeciąganie liny

JAROSŁAW FLIS

Nasze życie polityczne jest nieprzewidywalne. Z prognoz przedstawianych przed czterema laty mało która się sprawdziła. Podobnie będzie z wynikiem jesiennych wyborów i tym, co nastąpi przez kolejne cztery lata.

NOWY PODZIAŁ, KTÓREGO ZARYS UKSZTAŁTOWAŁ SIĘ W Polsce przed 12 laty, a dla którego ten rok jest przez wielu postrzegany jako ukoronowanie, również wydaje się trudny w opisie. Bez wątplenia rzuca się w oczy polaryzacja, ale rozważenie jej źródeł trzeba poprzedzić anegdotą. Kiedyś na prowadzonych przeze mnie ćwiczeniach z konfliktów społecznych student, któremu przypadła rola mediatora, podsumował swoje doświadczenie zdaniem: „Nie da się dogodzić wszystkim, ale da się wszystkich wkurzyć”. Z tym zastrzeżeniem warto podejść również do poniższego tekstu. Wszystkie próby opisu podziału wymagają uproszczeń, a te zawsze będą dla kogoś krzywdzące.

Rozpłątany elektorat

To, że aktorzy życia politycznego potrzebują i dostarczają prostych identyfikacji, w postaci sztyldów partyjnych, ich liderów oraz ich osobowości, wynika najwyraźniej z głębszych i nieusuwalnych potrzeb człowieka. Nie powinno to jednak przysłaniać faktu, że niezależnie od tego, jak bardzo przeciwnicy postrzegają poszczególne ugrupowania jako monolity, nie jest to nigdy zgodne z prawdą. W rzeczywistości partie zawsze są splotem co najmniej dwóch, a zwykle i większej liczby, nurtów – cały zaś ich sukces polega na umiejętnym połączeniu tych nurtów. Najwyraźniej w tej kampanii splot, który stworzył PiS, był silniejszy niż ten, który tak mozolnie tworzył Grzegorz Schetyna.

Nowa polityczna „lina” Schetyny okazała się bowiem słabsza od tej, która kiedyś była jedną z tworzących ją nici. Obecny lider PO mówił, że Donald Tusk nie potrafił stworzyć tak szerokiej koalicji. To prawda, ale nawet bez niej Tusk miał w dwóch wyborach (a wliczając w to wybory europejskie, w trzech) większe poparcie dla swojej partii. Mógł przy tym liczyć na znacznie

silniejszych sojuszników, podczas gdy sytuacja Schetyny jest taka, że gdyby nawet do jego bloku dołączyć jedynego potencjalnego, choć przecież problematycznego sojusznika, jakim jest Wiosna, to i tak zsumowane poparcie tych ugrupowań jest mniejsze niż poparcie dla PiS. A przecież sama perspektywa takiego sojuszu już doprowadziła do poprucia tego, co udało się zapleść, bo ostatnie deklaracje PSL trzeba rozumieć następująco: my z lewicą nie pójdziemy na pewno.

Dołączenie PSL do Koalicji Europejskiej odniosło zresztą paradoksalny skutek – rozplątanie elektoratów, które do tej pory jakoś się trzymały. Istotna część starych wyborców PSL przeniosła przecież swoje poparcie na PiS. Oczywiście nie jest to wcale nowa sytuacja: w taki sam sposób wyglądały zwykłe wybory prezydenckie. Jednak w 2010 r. głosy wyborców PSL, które udało się pozyskać Jarosławowi Kaczyńskiemu, nie były wystarczające w obliczu mobilizacji i zjednoczenia drugiej strony. A w 2015 r., gdy Jarosława Kaczyńskiego zastąpił Andrzej Duda, równowaga delikatnie przesunęła się w stronę PiS.

Lewica–prawica, góra–dół

Tak czy inaczej, znów wyostrzył się podział funkcjonujący już od 2007 r. i stało się to w sposób wyjątkowo korzystny dla PiS.

Z jednej strony mamy kwestie ideowe. Różnica pomiędzy starą lewicą a starą prawicą dotyczyła podejścia do wspólnoty, ucieleśnianej przez państwo i jego instytucje. Stara prawica mówiła, że wspólnota jest dobra w sprawach obyczajów i tożsamości – i tych wartości powinno strzec państwo, jednak w przypadku ekonomii państwowa kontrola jest czymś marnotrawnym, nieskutecznym i demobilizującym do wysiłku. Stara lewica głosiła odwrotne poglądy: wspólnota tak, ale tylko w eko-

nomii, nie zaś w obyczajach. Odrzucała tradycyjne wzory i wartości rodzinne, ale chciała, by państwo i jego instytucje troszczyły się o zasobność obywateli.

Ten stary podział po stu latach ulega przekształceniu i nigdzie nie widać tego tak wyraźnie jak w Polsce. Zamiast partii po lewej i po prawej stronie, mamy partie, które wypada nazwać (przy całej świadomości negatywnych konotacji) partiami górnymi i dolnymi. Pierwsze uważają, że wspólnota zarówno w obszarze ekonomii, jak i obyczajów jest raczej balastem niż nadzieją, chciałyby poszerzać indywidualną wolność, także kosztem zobowiązań wobec wspólnoty. Można nazwać te ugrupowania „górnymi” również dlatego, że wpisują się istotnie w podziały społeczne. Głoszony przez nie wachlarz poglądów jest częściej podzielany przez osoby bogatsze, lepiej wykształcone, które lepiej poradziły sobie w życiu. Takich osób więcej jest w większych miastach, gdzie normy społeczne są już słabsze, ale wydaje się, że można sobie bez nich poradzić. Jak poka-





Władysław Kosiniak-Kamysz
i Grzegorz Schetyna, Warszawa 2019 r.

Jeszcze gorzej poszło w przypadku splotu będącego racją istnienia PSL. Składała się na niego część lokalnych elit, które z różnych powodów biograficznych i społecznych funkcjonowały legalnie w czasach PRL, ale mogły się potem zdystansować od PZPR i tradycji komunistycznej. W oparciu o to środowisko powstała demokratyczna organizacja, ale i sieć rekrutacji kadr, z wyraźną nutą nepotyzmu. Drugi nurt w PSL stanowiła ta część społeczności wiejskiej, która chociaż nie darzyła szczególnym sentymentem czasów komunizmu, to jednak lata 90. odczuwała jako czas wielu zmian na gorsze – w tym doświadczenia poczucia niższości i spadku w hierarchii ważności. Ta część wyborców nie była skłonna głosować na partie solidarnościowe, postrzegane jako sprawcy tej degradacji.

Możliwą alternatywą dla takich osób była lewica, ale ona z kolei była spleciona ze środowiskami jednoznacznie utożsamiającymi się z ideą postępu, traktowaną raczej jako sceptycyzm wobec zastanych form tożsamości i obyczajów. Jednocześnie środowiska, które tworzyły niegdyś SLD, stopniowo słabły. Nie powiodły się próby przekazania pałeczki nowemu pokoleniu. Coraz większa liczba działaczy Sojuszu zaczęła grawitować w stronę PO, która starała się utrzymać na powierzchni poprzez poszerzenie skrzydeł. Opisana przeze mnie już na łamach „Tygodnika” sytuacja, że na listach do Parlamentu Europejskiego ci, którzy byli po stronie rządu Leszka Millera, przeważali nad tymi, którzy byli wówczas przeciwko niemu, była naturalną konsekwencją tego trendu. W tym czasie z prawego skrzydła PO wypchnięto wielu polityków, na czele z Jarosławem Gowinem, którzy – choć nie bez trudności – zaadaptowali się w obozie PiS. Miejsce po nich miało być wypełnione przez młodą generację polityków PSL, a w tym samym czasie ściągnięcie niedobitków SLD miało zminimalizować konkurencję ze strony innych nurtów przeciwnych PiS. Ani jedno, ani drugie nie poszło dobrze: istotna część wyborców wyciekła do konkurencji – czy to PiS, czy Wiosny – część zaś została w domu.

Polska góra Fuji

Koalicja Europejska może i jest wciąż zdolna wygrywać w Warszawie, lecz na ➔

zały polskie badania, takie osoby z większą niechęcią – żeby nie powiedzieć: z góry – patrzą na tych, którzy mają odmienne poglądy i starają się bronić znaczenia wspólnoty.

Po drugiej stronie mamy partie „dolne”. Widzą one rolę państwa jako strażnika obyczajów i tożsamości oraz jako istotnego gracza ekonomicznego, który dokonuje redystrybucji dochodów na rzecz tych, którzy mają mniej. Wydaje się, że w obliczu takiego podziału trudno utrzymać równowagę, gdyż jest oczywiste, że z tych na dole jest więcej. Jednak doświadczenia krajów, gdzie pojawiały się partie aspirujące do reprezentacji uboższej części społeczeństwa, wskazują, że zwykle ich problemem jest sprawność działania. Jeśli poglądy górne są podzielane przez większość osób wykształconych i operatywnych, to dla reprezentantów partii dolnych brakuje odpowiednich zasobów kompetencji. Poza tym zasobność ich potencjalnych sponsorów także jest mniejsza.

Gdzie Platforma z tamtych lat

Rzecz w tym, że jeśli spojrzymy na organizacyjną sprawność czy nawet poziom formalnego wykształcenia głównych klubów parlamentarnych w Polsce, nie wiadać skokowej różnicy. Owszem, była ona widoczna przed 10 czy 12 laty, kiedy PO była u szczytu swoich kolosalnych możliwości sięgania po osoby, które trzymały się zwykle z dala od polityki, ale w razie czego pierwszym wyborem dla kierunku ich wsparcia była właśnie Platforma. Teraz te możliwości się skończyły. Lata polityki bonsai, prowadzonej najpierw przez Donalda Tuska, a potem rozwiniętej przez Grzegorza Schetynę, sprawiły, że politycy o jako-takiej pozycji i potencjale znaleźli się albo na marginesie, albo byli zastępowani przez osoby o znacznie gorszych predyspozycjach. W PO, którą tworzył splot z jednej strony bardziej liberalnej części społeczeństwa, a z drugiej politycznej sprawności i odpowiedzialności, te dwie nici zaczęły się od siebie oddalać.

→ pozostałym obszarze kraju zaszły bardzo znaczące zmiany. W 2007 r. PiS wygrał w powiecie nowotarskim zdobywając 51%, ale PO była tuż za nim, mając poparcie 37%. W tych wyborach połączenie sił doprowadziło do tego, że PiS wygrał z Koalicją Europejską 70% do 17%. Zaczął też zwyciężać w miejscach, w których wydawało się, że ścieżki są dla niego zamknięte: w gminach wiejskich zachodniego Pomorza, które wcześniej trzymały się jak najdalej od „kościółkowych solidaruchów”.

Wydaje się, że na wielu obszarach transfery socjalne przeważały nad niechęcią do strażników tradycyjności. Tradycjonalistów znacznie wzmocniło to, że ich przeciwnicy zaczęli, prawdopodobnie pod wpływem swojego zaplecza medialnego, ustawiać relacje tradycja–postęp jako podział wieś–miasto (ze szczególnym uwzględnieniem różnic wieś–metropolie). Świadczy to o zupełnym braku świadomości, jak wygląda struktura społeczna Polski i jak zmieniają się w jej ramach po-

zaraz za stołecznymi rogatkami czyha ciemna czerń.

Gdy wśród opozycji nurt wyższości zaczął wygrywać, dodatkowe transfery socjalne uwiarygodniły w oczach istotnej części Polaków pakiet PiS. Wyborcy ci uznali, że ów pakiet wymaga zaakceptowania w całości. Wszystkie indywidualne opowieści i badania pokazują, że obywatele nie głosują na partię rządzącą dlatego, że dopuszcza się nadużyć władzy, stawia chybione diagnozy i łamie standardy, które ją samą broniły przez wiele lat przed nieprzychylnymi działaniami konkurentów. To poparcie jest udzielane pomimo tego typu działań, w ramach oporu przed tymi, którzy nie odbudowali swojego wizerunku i trudno ich uznać za kompetentnych strażników dobra wspólnego.

Ostatnia szansa PSL

W tej układance PSL jest kluczowym czynnikiem. Najpewniej tylko on może odzyskać wspólnotowych, „dolnych” wyborców – uruchamiając swoje kadry i własny szyld (ewentualnie w miastach może się podeprzeć konserwatywnym skrzydłem PO, czującym się coraz gorzej, gdy czołowe postaci partii maszerują na czele parad równości). To jednak gra obarczona dużym ryzykiem. Strategia wspólnego startu oznacza nieomal pewne zdobycie pewnej liczby mandatów, będącą jednak z dużym prawdopodobieństwem (choć wcale nie z pewnością) mandaty w ławach opozycji. Pójście samodzielnie może skończyć się wyładowaniem pod progiem wyborczym, ale także pozycją jęczyczka u wagi. A to pozwalałoby stawiać partnerom warunki i może zmniejszyć polaryzację pomiędzy zwalczającymi się obozami.

Na pewno nie brakuje w Polsce osób, które kibicowałyby przedsięwzięciu nieprzyczyniającemu się do zwiększenia napięcia w wyborczym przeciągnięciu liny. Z drugiej strony warto pytać, co się stanie, jeśli taki zamiar skończy się niepowodzeniem. Jeżeli strony dominujące pochowają swoich radykałów tylko po to, by znów ich wyciągnąć po rozstrzygnięciu wyborów, w kraju może zabraknąć miejsca dla zinstytucjonalizowanego, politycznego umiaru. Przez najbliższe tygodnie, kiedy rzecz musi się rozstrzygnąć, politycy opozycji będą mieli o czym dyskutować.

© JAROSŁAW FLIS

Za życiem

MAŁGORZATA NOCŃ

Matka dziecka cierpiącego na mózgowie porażenie dziecięce: – Wstyd mi, ale musiałam nauczyć się kombinować. W tym kraju każda matka niepełnosprawnego dziecka jest na to skazana.

NIE POMAGA CI UCHWALONA PRZEZ PiS ustawa „Za życiem”?

– Chyba żartujesz? Ona istnieje tylko na papierze.

A., matka chłopca cierpiącego na rzadką chorobę genetyczną: – Ta ustawa w ogóle nie działa. Kiedy o niej słyszę, rzucam mięsem i mam ochotę rozwalić telewizor. Nasze „dobre państwo” gardzi niepełnosprawnymi dziećmi, bo one nie pójda głoszować.

Ministerstwo pisze maila

Ustawa „Za życiem” wiąże się z kwestią wrażliwą politycznie i społecznie: przerywaniem ciąży. Została uchwalona w listopadzie 2016 r. PiS obiecywał swoim radykalnym sojusznikom, że zaostrzy przepisy (czyli *de facto* wprowadzi całkowity zakaz aborcji), a przy okazji pomoże rodzinom, w których na świat przychodzi nieodwracalnie chore dziecko.

Nowe prawo wydawało się od początku dwuznaczne moralnie: nazywano je „trumienkowym”, podkreślając, że rodzina decydująca się na niedokonywanie aborcji i sprowadzenie na świat dziecka z wadą letalną (umrze w niedługim czasie po porodzie) albo ciężko i nieodwracalnie upośledzonego, otrzyma jednorazowy zasiłek: 4 tysiące zł.

W myśl ustawy dziecko mogło liczyć także na: rehabilitację (fizjoterapia, zajęcia z neurologopedą czy psychologiem) i opiekę lekarzy-specjalistów (dostęp do nich winien być zapewniony w terminie nie dłuższym niż tydzień). Rodzina dotknięta niepełnosprawnością miała otrzymać „asystenta” – osobę pomagającą w załatwianiu formalności. Obietnic było wiele.

Dodatkowe transfery socjalne uwiarygodniły PiS w oczach wielu Polaków.

Ludzie nie głosują na jakąś partię dlatego, że dopuszcza się nadużyć władzy i łamie standardy. Popierają ją pomimo tego typu działań, bo oferuje coś jeszcze.

głądy. Polska nie jest jak Góry Stołowe, gdzie są metropolie, później przepaść i długo, długo nic. Polska jest jak góra Fuji o równo nachylonych stokach. Wiadomo, że inaczej wyglądają wybory mieszkańców metropolii, a inaczej wyborców wiejskich, ale nie ma pomiędzy nimi nagłego uskoku. Napotkamy za to strefy pośrednie, wyznaczane przez większe gminy, miasteczka, średnie miasta i te trochę większe. W tej analogii na czubku góry Fuji znajduje się krater – warszawski grądołek, któremu wydaje się, że gdzieś



IVAN JERIC / GETTY IMAGES

Tyle że pracownicy Ośrodka Koordynacyjno-Rehabilitacyjno-Opiekuńczego w Krakowie (OKRO w ramach ustawy „Za życiem” prowadzi m.in. zajęcia z fizjoterapii) otrzymali niedawno maila z Ministerstwa Edukacji. Czytamy w nim, że: „nastąpiła konieczność dokonania zmian w formach i liczbie prowadzonych zajęć terapeutycznych”. I dalej: „Wstrzymana zostaje realizacja wszystkich innych zajęć [m.in. gimnastyka korekcyjna, terapia ręki, arteterapia, muzykoterapia, dogoterapia, hipoterapia, terapia SI, czyli integracji sensorycznej – red.], zajęć grupowych oraz zajęć dla rodziców. Ilość zajęć realizowanych w ramach OKRO przez jedno dziecko w placówkach przedszkolnych zostaje ograniczona do 8 godzin w miesiącu”.

Co to oznacza w praktyce?

– Po prostu chcą skasować tę rehabilitację i tyle – mówi A.

Rodzice korzystający z programu byli oburzeni, zwłaszcza że w rozmowach z nimi przedstawiciele ministerstwa tłumaczyli, że „za dużo dzieci zostało objętych programem i cięcia są konieczne”. Po pewnym czasie resort wysłał wprawdzie do OKRO jeszcze jednego maila, z informacją, że zajęcia dla dzieci prowadzone będą na „starych zasadach” – ale tylko do 15 czerwca. A kiedy do Ośrodka przyszła kolejna matka, która postanowiła skorzystać z dobrodziejstw programu, usłyszała, że „brakuje miejsc”.

Ci, którzy już z niego korzystają, pytają: co z rehabilitacją w okresie wakacyjnym? I co ze wszystkimi „przywilejami”, które miała gwarantować ustawa?

Złamaliśmy statystyki

Kinga Szypuła, matka przedwcześnie urodzonych bliźniąt (syn po wylewach doko-

morowych, córka z zastawką mózgowo-otrzewnową, przeszła cztery interwencje neurochirurgiczne), długo opowiada, jak łączy różnego rodzaju programy (realizowane przez NFZ, PFRON, MEN), jak pisze podania, prosi o pomoc, zbiera pieniądze. Sama ustawa „Za życiem” niewiele jej daje. Jej dzieci – Filip i Marysia – zostali w jej ramach objęci opieką specjalistów we wrześniu 2018 r., ale zajęcia rozpisano jedynie na rok.

Kinga Szypuła: – 29 marca otrzymałam informację, że z dniem 1 kwietnia wszystko zostaje wstrzymane. Dlaczego? Ministerstwo Edukacji, które zobowiązane jest uiszczać opłaty za zajęcia, nie robi tego. Teraz się dowiaduję, że moje dzieci mogą korzystać z rehabilitacji do 15 czerwca. Co będzie dalej? Nikt nie umie powiedzieć. Wielu rodziców, których nie stać na prywatną rehabilitację, zostanie po prostu na lodzie.

O sobie i swoich dzieciach Szypuła mówi: „złamaliśmy statystyki”. Bliźnięta urodzone w 24. tygodniu ciąży mają niewielkie szanse na przeżycie. Jej dzieci borykają się z problemami zdrowotnymi, ale dzięki intensywnej rehabilitacji udaje się je stopniowo pokonywać.

Głównie dzięki prywatnym środkom – pomoc państwa Szypuła ocenia jako niedostateczną.

Kamienie milowe

Na stronie internetowej Narodowego Funduszu Zdrowia umieszczono „informator »Za życiem«”, przeznaczony dla rodziców korzystających ze świadczenia. Jeden z pierwszych punktów wyjaśnia, jak skorzystać z uprawnień. Konieczne jest: „zaświadczenie, które potwierdza ciężkie i nieodwracalne upośledzenie, albo nieuleczalną chorobę zagrażającą życiu”.

Kinga Szypuła: – I tu zaczynają się problemy. Wielu rodzicom nikt nie chciał takiego zaświadczenia wystawić. Pediatra odsyłał do neurologa, neurolog do lekarza rehabilitacji, lekarz rehabilitacji do lekarza rodzinnego. Czas mijał, frustracja rosła. Dopiero po kilkunastu wizytach udawało się załatwić potrzebne dokumenty.

Krystyna Gut, matka bliźniaków urodzonych w 29. tygodniu ciąży: – Lekarz wystawił zaświadczenie, ale dzieci zdążyły już skończyć rok i okazało się, że nie możemy z tego powodu otrzymać jednorazowego zasiłku w wysokości 4 tysięcy dla każdego z chłopców. A przecież stan ich ➔

→ zdrowia był niezmiennie taki sam – czyli zły, i potrzebowaliśmy tych środków.

Przez pierwsze tygodnie życia lekarze określali stan dzieci Krystyny jako „krytyczny”: chłopcy mają zdiagnozowaną ciężką formę mózgowego porażenia dziecięcego, które najprawdopodobniej jest efektem niedotlenienia wewnątrzmacicznego. Dziś są już trzylatkami i wciąż nie siedzą samodzielnie, nie chodzą, uczą się mówić. Kiedy ogląda się filmy, na których Stefek i Ignas ćwiczą, widać jednak, jak duże robią postępy: lepiej kontrolują głowę, przewracają się z boku na bok. Każdy z tych „kamieni milowych” w rozwoju osiągnęli mozolną pracą. Jeśli dalej będą intensywnie rehabilitowani (czyli będą ćwiczyć codziennie), mają szansę nauczyć się chodzić przy pomocy balkonika i jeździć elektrycznym wózkiem, czyli mogą być w przyszłości samodzielni.

Kogo wyrzucić z kolejki?

W jakim stopniu Krystynie Gut pomogła ustawa „Za życiem”?

– Zgłosiłam się do ośrodka i poprosiłam o objęcie dzieci rehabilitacją. Dyrektor powiedział: „Musi pani czekać rok”. „Rok? Jak to?” – zdziwiłam się. – Przecież dzieci objęte są ustawą „Za życiem”. Na co dyrektor odpowiedział pytaniem: „Więc kogo mam wyrzucić z kolejki, by przyjąć pani dzieci?” – opowiada kobieta.

Na objęcie synów rehabilitacją czekała więc dwanaście miesięcy. Czas, na którego stratę nie mogła się zgodzić, ponieważ właśnie przez pierwsze miesiące życia mózg dziecka jest najbardziej plastyczny. Jeśli doszło do jego uszkodzenia w życiu płodowym, okołoporodowym albo na wczesnym etapie życia, dzięki intensywnej rehabilitacji może stworzyć nowe połączenia neuronowe. Ten organ się nie „odbudowuje”, ale zdrowa jego część może przejąć funkcję części uszkodzonej. Często potrzeba na to lat pracy. Wiele jest „cudownych” historii o dzieciach, które miały „nie siedzieć”, „nie chodzić”, „nie mówić”, a po latach ćwiczeń rozwijają się prawidłowo, albo są niepełnosprawne w małym stopniu. Dlatego istnieje kategoria dzieci „zagrożonych niepełnosprawnością”, które – jeśli terapia się powiedzie – swoją sprawność, bądź częściową sprawność, sobie wypracują. Tylko że to nie cuda, lecz fizjoterapia wspomagana wieloma innymi zajęciami terapeutycznymi. I wyścig z czasem.

A także – niestety – pieniądze. Ogromne pieniądze.

Poniża.

Nie pozwala planować.
Ma wymiar propagandowy
– mówią rodzice korzystający
z ustawy „Za życiem”.

Gut przez pierwszy rok musiała płacić za rehabilitację synów z własnych funduszy. A po jego upływie państwo nadal nie zapewnia jej dzieciom pomocy w stu procentach.

Żebrzemy zawodowo

Dzieci Kingi Szypuły i Krystyny Gut posiadają orzeczenie o niepełnosprawności, objęte są ustawą „Za życiem” oraz programem Wczesnego Wspomagania Rozwoju. Dzięki NFZ, Państwowemu Funduszowi Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, Ministerstwu Edukacji winny mieć zapewnione: leczenie, rehabilitację, zakup sprzętu rehabilitacyjnego i ortopedycznego.

O rehabilitacji w ramach NFZ rodzice dzieci z niepełnosprawnościami mówią zgodnie: „To się nie opłaca”. Zajęcia trwają pół godziny, dojazd i powrót zajmują prawie dwie. Fizjoterapeuta to najczęściej osoba po studiach, ucząca się zawodu.

W ramach innych programów przypadają dwie godziny rehabilitacji w tygodniu, podczas gdy dzieci z niepełnosprawnością muszą ćwiczyć codziennie. Matki powtarzają: „Zajmujemy się zawodowo żebraniem”, bowiem mało która rodzina ma tak duży dochód, by udźwignąć koszty leczenia i rehabilitacji. Pomaga nie państwo, a osoby prywatne (choćby wpłacając 1 procent podatku albo zbierając plastikowe nakrętki z napojów).

Matka Mikołaja podsumowuje na profilu facebookowym „Mikołaja walka o sprawność” swój ostatni pobyt w ośrodku rehabilitacyjnym w Warszawie:

„– zajęcia, konsultacje i zakup dynamicznej ortozy/kombinezonu – 7240 zł;
– wynajem mieszkania na wolnym runku – 2500 zł;
– badanie EEG – 600 zł;
– dojazdy – 400 zł;
– wyżywienie z uwzględnieniem diety i inne niezbędne rzeczy i zakupy, w tym leki, do przetrwania – na oko 1000 zł (uści-

śle po dokładnym przeliczeniu). Razem ok. 12000 zł”.

Matka dziecka niepełnosprawnego otrzymuje zasiłek w wysokości 1583 zł miesięcznie i nie może wykonywać żadnych dodatkowych prac, ponieważ straci prawo do świadczenia.

To nie przesada

Czy wyjazdy do Warszawy nie są przesadą? Ekstrawagancją? To naprawdę jedyne miasto w Polsce, gdzie można dziecku zapewnić pomoc?

Weronika Lasek, matka czteroletniej Wiktorii z mózgowym porażeniem dziecięcym, szybko ucina: – Nie, to nie przesada.

U Wiktorii zdiagnozowano leukomalację okołokomorową – to ubytki w istocie białej mózgu. Mogą wpłynąć na rozwój motoryczny i intelektualny. Dziewczynka robi postępy motoryczne, uczy się mówić, jest inteligentna, ale wymaga ciągłej rehabilitacji.

Weronika Lasek: – Pochodzę z Wadowic, w naszym mieście program OKRO w ogóle nie był realizowany. Mogłam prowadzić fizjoterapię córki w Krakowie, ale zajęcia były krótkie i nie przynosiły efektów. Wciąż jeżdżę na turnusy rehabilitacyjne do Warszawy, dla mnie to jedyne wyjście.

W Wadowicach Wiktorია korzystała z zajęć w ramach Wczesnego Wspomagania Rozwoju, ale ten jeden program nie mógł zapewnić dziecku całościowej rehabilitacji.

– Byłam z córką w różnych ośrodkach, przekonałam się, że tylko pod okiem warszawskich specjalistów idziemy do przodu – mówi Lasek.

Kobieta opłaca rehabilitację córki w 95 procentach. Ich dzień to ciężka harówka. Pobudka, śniadanie, wyjazd na rehabilitację (w zimie zawsze zajmuje więcej czasu), 2-3 godziny spędzane w ośrodku, powrót do domu, obiad, drzemka, powrót do ośrodka – kolejne ćwiczenia, powrót do domu, stanie w pionizatorze (specjalnym przyrządzie pomagającym utrzymać postawę), spacer, chodzenie w innowalku (specjalnym przyrządzie stymulującym ruchy nogami), masaż twarzy, czytanie bajek.

Rozmawiałam z wieloma rodzicami korzystającymi z ustawy „Za życiem”. Od wszystkich słyszę, że ma przede wszystkim wymiar propagandowy. Obecnie aktualne jest przede wszystkim pytanie, jak

wyglądać będzie rehabilitacja dzieci w wakacje. I ile godzin rehabilitacji oraz innych zajęć zostanie dzieciom przydzielone od września.

Zabójcze przerwy

Pracująca w państwowej placówce fizjoterapeutka opowiada, że rodzice, z którymi ma kontakt, często mówią: „Ta ustawa nas poniża”. Część wskazuje także na plusy: m.in. ułatwiony dostęp do lekarzy-specjalistów, możliwość otrzymywania darmowych pampersów. Większość jednak uważa, że najgorsza jest niepewność: w ramach ustawy można rozplanować rehabilitację jedynie na kilkanaście miesięcy, w okresie wakacyjnym zajęcia się kończą.

Czy dziecko cierpiące np. na ciężką postać mózgowego porażenia dziecięcego może mieć ponad dwumiesięczną przerwę w ćwiczeniach?

– Ależ skąd – mówi fizjoterapeutka. – Po takim czasie zaczynają się przykurcze mięśni, pacjenci odczuwają ból. Dzieci zaczynają cierpieć na infekcję dróg oddechowych, ponieważ układ oddechowy nie może pozostawać w bezruchu, to samo

dotyczy układu trawiennego – zostaje zaburzona przemiana materii. Aby rehabilitacja przynosiła efekty, dziecko musi ćwiczyć trzy, czasem cztery razy w tygodniu.

Moja rozmówczyni zwraca też uwagę na fakt, że dzieci rehabilitowane są w specjalistycznych ośrodkach, natomiast specjaliści od rehabilitacji nie mają możliwości odwiedzić pacjentów i ich rodziców w domu.

– A takie kontrole są koniecznością – mówi. – Tylko w domu, gdzie dziecko spędza 90 procent czasu, możemy skontrolować, czy posiada odpowiednie siedzisko, czy w prawidłowy sposób umieszczane jest w pionizatorze, czy rodzice w odpowiedni sposób je podnoszą, pielęgnują.

W gąszczu przepisów

– Cierpliwość, cierpliwość i jeszcze raz cierpliwość jest potrzebna, by połapać się w gąszczu przepisów, regulacji i programów dotyczących dzieci z niepełnosprawnościami – mówi Kinga Szypuła. – To dziesiątki godzin spędzonych w internecie w poszukiwaniu informacji, to rozmowy z innymi, bardziej doświadczonymi rodzicami.

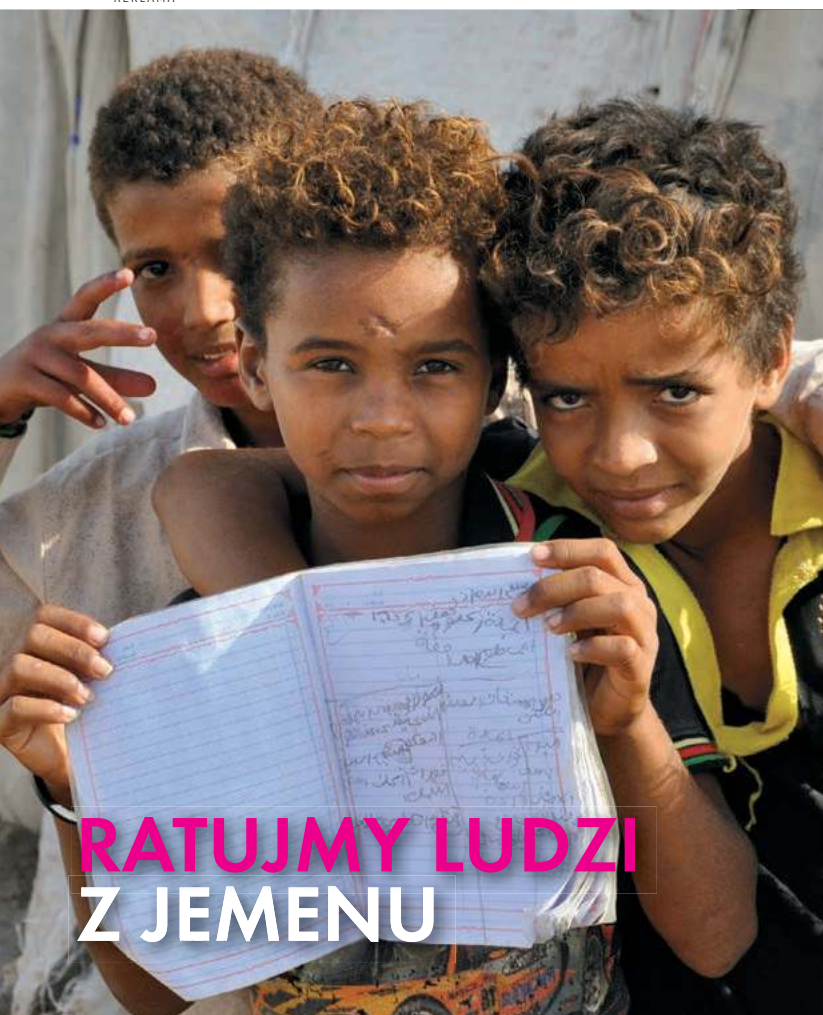
Nie ma więc jednego, spójnego programu zapewniającego opiekę nad chorym dzieckiem. Brakuje informacji. To nie państwo pomaga rodzicowi w walce o zdrowie i większy komfort życia dziecka z niepełnosprawnością – to rodzic walczy z systemem. I musi być przy tym kreatywny: w ramach jednego programu zapewnić dziecku fizjoterapię, w ramach innego np. neurologopedę i psychologa. Musi też liczyć, że urzędnik nie będzie formalistą i na coś przychyli oko. Zresztą w przepisach gubią się sami urzędnicy: kiedy dziecko z niepełnosprawnością otrzymuje zlecenie na nowe ortezy, urzędniczka nie wie, z jakiego programu można je rozliczyć. Wyciąga grubą książkę i wertuje: „może to”, „nie, może to”... Nie każdy umie sobie w takich warunkach poradzić. Na przegranej pozycji są rodziny mieszkające na prowincji.

– Wiesz, co mi się marzy? – pyta Kinga Szypuła. – Asystent rodziny. Osoba, która zna te wszystkie przepisy, regulacje i potrafi pomóc.

Teoretycznie istnienie takiej osoby zapewnia ustawa „Za życiem”. Teoretycznie.

© MAŁGORZATA NOCŮN

REKLAMA



**RATUJMY LUDZI
Z JEMENU**

pah

Polska Akcja Humanitarna

**SĄ DZIECI, KTÓRE
NIE ZNAJĄ LITER
DOBRE ZNAJĄ
TYLKO WOJNĘ**

WPŁAĆ:

02 2490 0005 0000 4600 8316 8772

www.pah.org.pl/wpplac

ANNA

Dziewit-Meller:

Czerwony pasek (na życiu)



NIE WIEM, JAK TO MOŻLIWE, ALE WSZYSTKIE moje świadectwa szkolne – co do jednego, przyrzekam! – miały czerwony pasek. Przejrzałam je sobie nawet ostatnio na fali czerwcowej nostalgii. Jak to się stało? – myślałam, pochylona nad teczką podpisaną wiele lat temu ręką mojej mamy „Ania: świadectwa szkolne”. Jak to możliwe, że byłam bardzo dobra we wszystkim? Przecież to jest niemożliwe. I niepotrzebne. I przerażające, bo dziś dobrze wiem, że tak naprawdę interesowałam się na głębszym poziomie kilkoma tylko rzeczami: historią, językami obcymi, literaturą, pisanie i muzyką, po jakie licha zatem tak morderczo żyłowałam osiągi w dziedzinach tak obcych mi jak chemia czy – sama nie wierzę, że to właśnie piszę – przysposobienie obronne?!

Kiedy o tym myślę, robi mi się słabo, i zastanawiam się, co poszło nie tak. Czy szkoły, do których chodziłam, miały niskie oczekiwania wobec uczniów, czy też to jednak ze mną był jakiś problem? I obawiam się, że niestety to drugie. Myślę przy tym o moich przyjaciółkach szkolnych i dobrze wiem, że nie byłam w tym sama. „Twoja ambicja zabija ciebie, ambicja to twój bóg” – mogę nam dziś zadedykować tę piosenkę Kryzysu w ramach szkolnego koncertu życzeń.

Krąży po sieci w ostatnich dniach facebookowy wpis dr. Jakuba Andrzejczaka, socjologa i pedagoga z Poznania, który snuje refleksje nad ową wszechogarniającą presją wyników, osiągnięć i sukcesów, których odwiecznym emblematem jest czerwony pasek na świadectwie ukończenia szkoły. Udostępniło ten post prawie 50 tysięcy osób, komentarze idą w grube tysiące, widać poznański naukowiec dotknął sprawy bliskiej wielu sercom.

Pisze dr Andrzejczak: „Ta sama szkoła, w której od dziecka oczekuje się, by było jednocześnie najlepsze ze wszystkiego, ma przygotować je do życia, w którym wszyscy oczekiwać będą od niego, aby wyróżniało się w jednej dziedzinie. To jeden z wielu paradoksów systemu”.

Z perspektywy osoby, która przez wszystkie długie lata swojej edukacji podporządkowana była tej systemowej presji na

bycie najlepszą we wszystkim, mogę dziś śmiało powiedzieć, że nie dało mi to absolutnie nic, prócz poczucia wyczerpania i wieloletniej nieumiejętności godzenia się z porażkami. Nie dopuszczałam do porażek, po prostu. Nie wchodziły w grę. Cena za to była – jak możecie sobie wyobrazić – bardzo wysoka.

Dla porządku dodam jeszcze, że to nie dom rodzinny wywierał na mnie tę presję. Myślę, że moi rodzice przyjmowali oczywiście ze zrozumiałym zadowoleniem wszystkie te moje triumfalne pochody przez kolejne klasy i szkoły, jednak – wiem to na pewno – nie czyniliby mi żadnych zarzutów, gdybym zamiast samych piątek i szóstek przyniosła w końcu jakąś uczciwą pałę. Może nawet by się ucieszyli, że nie jestem robotem?

Pamiętam ich totalne przerażenie na mój widok, gdy przyjeżdżałam do domu na weekendy na pierwszym roku studiów i, wyglądając jak śmierć na chorągwi, po prostu nie odchodziłam od książek. Możliwość porażki – niezdania któregoś z dziewięciu egzaminów, które miałam w pierwszym semestrze (o droga profesor Barbaro Kraus-Mozer, o profesorze Bogdanie Szlachto! śniłam Was po nocach i nie były to błogie marzenia) – po prostu mnie paraliżowała. Nie spałam, nie jadłam, nie żyłam – rylałam. I – o losie, dzięki ci za to – w końcu coś oblałam. Było to, pamiętam jak dziś, komunikowanie publiczne u świętej pamięci Romana Bartoszcze. Dostałam tajemniczą ocenę „OMC”, czyli, jak się potem okazało, „o mało co, a byłoby dobrze”. Tak oto dr Bartoszcze zakpił sobie wtedy ze mnie, i do dziś go za to cenię. Po pierwszym głębokim szoku przyszło otrzeźwienie, bo okazało się, że OMC wypisane wołami na liście wywieszonej w gablocie Instytutu przy Jabłonowskich w Krakowie nie spowodowało ni wybuchu planety, ni śmierci moich bliskich, ani też moje ciało nie zostało obsypane bolesnym owrzodzeniem przez obrażonego na mnie Thota, egipskiego boga nauki. Nic się nie stało. Zupełnie nic. Zdałam we wrześniu. Na czwórkę. A potem nawet dostałam stypendium naukowe, które – oczywiście – miałam już przez wszystkie lata studiów.

Dołączam do apelu dr. Andrzejczaka: wyluzujmy, jeśli nie jesteśmy jeszcze wyluzowani. Ocena bardzo dobra z chemii ani PO nie przydała mi się do niczego w życiu. Bo i tak ostatecznie robię tylko to, co mnie naprawdę interesuje, a mogłam wtedy – zamiast histeryzować z powodu minusa wiszącego u piątki z wiązań jonowych – po prostu sobie spokojniej pożyć.

Życząc wszystkim wspaniałych wakacji, przywołuję więc w naszej pamięci ten doprawdy doskonały moment: wyjście ze szkoły po ceremonii rozdania świadectw. Takiej wolności jak wtedy, gdy rozpinało się w końcu kołnierzyki białych bluzek przepoconych po akademii, nie będziemy mieć już nigdy. Dajmy się więc nią nacieszyć naszym dzieciom, nawet jeśli nie przyniosą nam czerwonych pasków.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



graham vick



HUGO GLENDINNING

to jeden z najważniejszych współczesnych reżyserów operowych, ceniony zwłaszcza za swoje nieszablone podejście i odczytywanie na nowo znanego repertuaru. Pracował w najbardziej uznanych teatrach na świecie, jak Royal Opera House czy Metropolitan Opera. Ostatnio powrócił do La Scali, gdzie jego inscenizacja „Die tote Stadt” Ericha Wolfganga Korngolda została przyjęta dwunastominutową owacją oraz recenzjami, które zgodnie uznały ją za triumf. Jednak rdzeniem jego aktywności są spektakle tworzone z Birmingham Opera Company, którą założył w 1987 roku. Działalność tego teatru stała się symbolem społecznego zaangażowania i przykładem na to, jak sztuka może realnie wpływać na życie. Spektakle odbywają się w nietypowych miejscach, nie ma podziału na publiczność i widownię, odbiorcy zachęceni są do interakcji z wykonawcami. Wielkie znaczenie ma też proces powstawania tych produkcji, który angażuje lokalną społeczność i wchodzi z nią w dialog wsłuchując się w jej potrzeby i pragnienia – następnie przekładając je na język sztuki. Uwaga jest poświęcana zwłaszcza młodym, ale też grupom z różnych względów wykluczonym. Dobrym przykładem jest funkcjonowanie chóru, który nie wymaga profesjonalnych umiejętności śpiewu – wystarczą chęci. Znajomość nut też nie jest konieczna – materiału można uczyć się ze słuchu albo za pośrednictwem symboli graficznych.

dla Vicka podstawą jest stwierdzenie, że muzyka należy do wszystkich, że każdy ma środki i możliwości, żeby ją tworzyć – bo zasadniczo jest jej tworzywem. Jest to szczególnie ważne, jeśli chodzi o głos i co za tym idzie – śpiew. Stąd też jego pragnienie uczynienia opery zjawiskiem otwartym i dostępnym powszechnie, demokratycznym i wyzwalającym. Jak sam to ujął: nie musisz być wykształcony, żeby opera cię poruszała i ekscytowała. Swoimi realizacjami przeczy

często spotykanym stereotypom o ekskluzywności tego gatunku, zrywa ze snobistyczną otoczką, kultem gwiazd-śpiewaków. Wraca do sedna, czyli do przeżycia, do indywidualnego doświadczenia, które jest źródłem emocji, zwłaszcza empatii. Przypomnienie o tej zdolności do faktycznego przejęcia się losem postaci i wspólnego z nią odczuwania jest sensem jego spektakli. Chodzi o wejście w świat przedstawiany z własnym bagażem doświadczeń, ze swoją wyjątkowością, a nie o „prawidłowe” zrozumienie czy odczytanie, co autor miał na myśli.

jednym ze sposobów na wydobycie tego potencjału z utworu jest realizacja spektakli poza teatrami, w miejscach niekojarzonych na co dzień ze sztuką. Stąd pomysł, żeby w Poznaniu zaprezentować „Parie” Stanisława Moniuszki w Arenie. Dla Vicka ta najmniej znana opera kompozytora to przede wszystkim opowieść o strachu przed innością, wykluczeniu, którego system kastowy jest ostrym przykładem, ale traktowanym tutaj metaforycznie. Innym ważnym motywem jest wszechobecny w operach konflikt pomiędzy miłością a władzą i prawem (ludzkim bądź boskim), który nabiera wyrazistości w hierarchicznym społeczeństwie. Z takim uporządkowaniem wiąże się również istotna kwestia ojcostwa, powinności dzieci wobec rodziców czy stosunków między pokoleniami.

na zaproszenie Teatru Wielkiego w Poznaniu Graham Vick po raz pierwszy reżyserować będzie w Polsce. W rolach głównych: Monika Mych-Nowicka, Dominik Sutowicz, Pavlo Tolstoy, Szymon Kobyliński, Mikołaj Zalaśkiński, kierownictwo muzyczne: Gabriel Chmura, scenografia i kostiumy: Samal Blak, choreografia: Ron Howell, światła: Giuseppe di Iorio. Premiera 28 czerwca, kolejny spektakl 30 czerwca (streaming za pośrednictwem Opera Vision), hala Arena.

PIĘKNO ULOTNE

Jest w Polsce miejsce,
gdzie uroczystość Bożego
Ciała ma wyjątkową oprawę.

W Spycimierzu koło
Uniejowa procesja znów
przejdzie po wielobarwnym,
dwukilometrowym
dywanie z kwiatów.

MARCIN CHODUŃ



KACPER DEMPPEL / REUTERS / FORUM

NA PODWÓRKU PANI MARIŁ LEŻY WYSPANY PIASKIEM WZÓR. LINIE TWORZĄ KONTUR OLBRYZMIEGO KWIATU.

– Taki właśnie obraz ułożymy przed Bożym Ciałem – tłumaczy pani Maria. – Kontury wypełnimy kwiatami.

Spycimierz, mała wieś pod Uniejowem, województwo łódzkie. Niewielki placik między kościołem a szkołą. Delegacja ze

wsí już czeka: Stanisław Pełka, sołtys i prezes miejscowej OSP, Maria Pełka, prezes Parafialnego Stowarzyszenia „Spycimierskie Boże Ciało”, i Jolanta Iłska, miejscowa radna. Na małym stoliku ląduje kolorowy kalendarz, rozkładany folder i książeczka o sieci najciekawszych polskich wsi.

Gospodarze są zgodni: ich wieś to jest wieś, co się zowie!

– Pierwsze wzmianki o spycimierskim grodzie pochodzą z dokumentu mogileńskiego z 1065 r., a Gall Anonim wymienia naszą miejscowość w swojej kronice w 1106 r. – mówi Maria Pełka.

Istotnie, dzieje wsi sięgają daleko w przeszłość. We wczesnym średniowieczu znajdował się tu jeden z ważniejszych grodów nad Wartą, siedziba kasztelanii spycimier-



Dywan kwiatowy przygotowany przez parafian ze Spycimierza przed procesją Bożego Ciała, 31 maja 2018 r.

skiej, wspomniany w dokumencie moglińskim w 1065 r. pod nazwą Zbuczmir. Gall Anonim zanotował, że książę Bolesław Krzywousty w czasie walk ze swym przyrodnim bratem Zbigniewem uwięził tu arcybiskupa Marcina. Tę wojnę braterską datuje się na jesień lub zimę 1106 r. Spycimierska parafia liczy ponad 900 lat i, pomijając siedziby biskupstw, zajmuje

szóste miejsce wśród najstarszych w Polsce – po Gieczu, Cieszynie, Wiślicy, Inowłodzu i Krobi.

Mieszkańcy wsi są dumni jednak nie tylko z jej długiej historii. Spycimierz rozsławiają przede wszystkim organizowane tu od ponad 200 lat wyjątkowej urody procesje Bożego Ciała. Kilka lat temu wpisano je na krajową listę niematerialnego dzie-

dzictwa kulturowego. Trwają starania o wpis na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

– Naszą procesję po prostu trzeba zobaczyć! – mówi Maria Pełka. I dodaje ze śmiechem: – Wzięli w niej udział nawet Bolek i Lolek (w książce „Bolek i Lolek na szlaku polskich kultur” po wsi oprowadza ich mała Helenka).



Każdy ma tajemnicę

→ Podobnie jak w całej Polsce, przy trasie procesji ustawia się cztery ołtarze, symbolizujące ewangelistów. W Spycimierzu ustawia się też cztery bramy – najczęściej z zielonego świerku, przystrojone kwiatami. Pani Maria (69 lat) pamięta, że kiedyś było ich nawet osiem. Sama stawia jedną z nich – koło domu rodzinnego swego ojca.

Najbardziej jednak charakterystyczne dla spycimierskiego Bożego Ciała są dywany z kwiatów, które układa się na całej trasie procesji – to prawie dwa kilometry.

Maria Pełka: – Każdy przy swojej posesji rysuje na drodze wzory, przy użyciu szablónów lub bez nich, potem robi obrzeża z białego piasku lub ziemi, a następnie kładzie kwiaty. Ile ich jest, zależy od tego, w jakim okresie przypada Boże Ciało. Czasami dużo, a czasami tak mało, że tylko kontury się robi. O, proszę – pokazuje zdjęcia – tu jest na przykład twarz, a tam anioł.

Stanisław Pełka: – Każdy trzyma w tajemnicy, jaki wzór zrobi. Każdy ma też swoją technikę. Kontury wysypuje się piaskiem, ziemią, liśćmi kasztana, a wokół układa się gałęzie młodych brzoźek.

Jolanta Iłska: – Wzory są różne: od figur geometrycznych poprzez symbole eucharystyczne po treści patriotyczne. Place przed ołtarzami muszą mieć szczególnie rozbudowane kompozycje, pobożna zdobią młode brzożki, olchy, niekiedy wstążki i proporczyki. Do wyznaczania wzorów służył dawniej biały piasek, nanoszony przez wylewającą Wartę. Teraz coraz częściej używamy ziemi, lepiej utrzymuje kwiaty. Zaczynamy je wykładać w dniu święta gdzieś od godziny jedenastej, o piętnastej wszystko już jest zwykle gotowe. Msza i procesja zaczynają się o siedemnastej.

Maria Pełka: – W procesji najpierw jest niesiony krzyż, potem idzie asysta z chorągwiami i feretronami, następnie orkiestra strażacka i dziewczynki, które sypią kwiaty. Potem ksiądz z monstrancją pod baldachimem, za nim parafianie. Strażacy są w mundurach galowych, a asysta w sieradzkich strojach ludowych. Krawcową je wykroiła, a nasze parafianki poszyły. I już od trzydziestu lat nam służą.

Jolanta Iłska: – Mężczyźni mają na sobie wełniane marynarki. Niektóre z nich już się skurczyły od czyszczenia, ale ostatnio dostaliśmy ponad dwadzieścia tysięcy dotacji od marszałka województwa z europejskich funduszy na zakup dwudziestu czterech nowych strojów.

Maria Pełka: – Kobiety z asysty mają z kolei na sobie spódnice w czterech kolorach: czerwonym, zielonym, białym i bordowym.

– I potem procesja idzie po tych kwiatkach?

Stanisław Pełka: – Tak, oczywiście. Choć jak na naszej procesji był kiedyś biskup Głódź z orkiestrą wojskową, to szli po bokach, żeby środka nie zniszczyć.

Białe to czyste

Jak to się zaczęło?

Wedle pani Marii teorii jest kilka. Jedna z nich mówi, że zwyczaj przywędrował do nas z Napoleonem.

– Z Napoleonem?

– No tak. Może ktoś stąd służył w wojskach napoleońskich i tę tradycję przywiózł do nas z Europy Zachodniej, gdzie do dziś jest kultywowana. Może też łuki triumfalne zobaczył i stąd te bramy nasze. Niektórzy twierdzą nawet, że pierwszy dywan z kwiatów ułożono na cześć Napoleona, który miał przybyć do Spycimierza... Inna teoria mówi, że początkiem był wiejski zwyczaj mycia podłóg w domostwach i zmiatania podwórek w sobotni wieczór i posypywania ich białym piaskiem. Bo białe to czyste. I tak samo było z procesjami: zmiatało się dla nich drogi i posypywało je białym piaskiem, żeby było ładnie.

– Mój wujek, który zmarł ponad trzydzieści lat temu w wieku 82 lat – dodaje Stanisław Pełka – mówił mi, że jego dziadek opowiadał, jak drogę przed procesją zmiatano i posypywano piaskiem. Potem zaczęto na piasek sypać trawę po sieczce i układać z niej proste wzory. Ktoś wpadł na pomysł, żeby po bokach wbijać młode brzożki i zawieszać bibułę; potem jeszcze wstążki doszły... I tak z roku na rok coraz bardziej te drogi upiększano, aż doszło do tego, co mamy dzisiaj.

– A co się dzieje, jak pada deszcz?

Cóż, zdarzyło się już, że procesji nie było. Pan Stanisław pamięta, jak przed laty zaraz za kościołem wylało stare koryto Warty i procesja szła tylko wokół kościoła. Pamięta też, jak kilka lat temu jego wujek, jezuita, zaprosił do Spycimierza ówczesnego nuncjusza apostolskiego, abp. Józefa Kowalczyka. Rano w dniu Bożego Ciała wujek dzwoni z Warszawy: „Jaka pogoda, bo tu leje?”. „U nas też leje!”. O trzynastej wujek znów dzwoni: „Leje?”. „No leje...”. „Trudno, i tak jedziemy”. I gdy przyjechali o piętnastej, deszcz zniknął,

jak ręką odjął. Ludzie w dwie godziny ułożyli całą trasę. To był rekord.

Rzeczy poświęcone

– Spod kościoła procesja pójdzie w lewo, wzdłuż rzeki – pani Maria wskazuje kierunek i rusza prężnym krokiem. Droga wyłożona kostką, domy – zadbane, czyste. I wszędzie – w ogrodach, przed płotami, na ścianach budynków – kwiaty.

Nie zawsze jednak własnych kwiatów wystarczy. Ludzie chodzą po polach i lasach zbierając chabry, rumianki, maki, jaśminy, lubiny, żarnowce, paprocie i mchy. Jeżdżą też po sąsiednich wioskach i proszą o zgodę na wycięcie kwiatów na ugorach czy nawet w ogrodach. Nigdy nie ma z tym problemu. Kiedyś jeden z gospodarzy miał pole gorczycy na przeoranie – pół wsi pojechało i z całego hektara kwiaty zerwało.

– Czasami, jak pogoda poprawia się tuż przed Bożym Ciałem, to nie ma przepros, kwiaty zbiera się i do późnej nocy – mówi pan Stanisław.

Maria Pełka: – Co roku z Jolą zbieramy róże z klombów przy zamku w Uniejowie. Kierowniczka tamtejszego Domu Pracy Twórczej nam pozwala, bo róże przecież i tak przekwitną i opadną

– Co się robi z tymi wszystkimi kwiatami i gałęziami po procesji?

Pan Stanisław tłumaczy, że wszystko się zbiera, zwozi na stos nad rzekę i w wigilię św. Jana Chrzciciela robi się wiejskie ognisko z kielbaskami i kaszanką. Rzeczy poświęcone można tylko spalić. – Ale nie wszystko palimy – dodaje. – Brzozowe gałązki z ołtarzy każdy bierze do domu i kładzie albo na strychu, albo chowa za święty obraz. Żeby chroniły przed piorunem albo innym nieszczęściem.

Według Jolanty Dragan, kustoszki Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej, to jeden z wielu zwyczajów związanych ze świętem Bożego Ciała. – Takie gałązki miały nie tylko chronić domostwo podczas burzy. Często zanoszono je także w pole, by chroniły uprawy przed niepokodą i szkodnikami.

Zwyczaje różniły się w zależności od regionu. – Na Podkarpaciu i w środkowej Polsce gałązki brzozy z ołtarzy wtykano w pole lnu. Im gałązka była wyższa, tym roślina wyżej miała rosnąć – mówi badaczka. – W okolicach Kolbuszowej zbierano i pieczolowicie przechowywano płatki kwiatów sypane podczas procesji. Przeszedł po nich ksiądz z monstrancją,

więc także miały chronić domostwo przed nieszczęściami i złymi mocami.

Uroczystość Ciała i Krwi Chrystusa po raz pierwszy świętowano w Liège w 1247 r. Najpierw jednak były widzenia Julianny de Retine, przełożonej klasztoru w Mont Cornillon koło Liège, których miała doznać jeszcze jako nastolatka. Ujrzała niezwykle, świetliste koło z ciemną plamą. Po długich modlitwach Chrystus wyjawiał jej znaczenie owej wizji: świetliste koło to Kościół, a ciemna plama to brak w roku kościelnym święta ku czci Eucharystii. Archidiacon Jakub Pantaleon, opiekun duchowy Julianny, już jako papież Urban IV ustanowił w 1264 r. uroczystość Bożego Ciała świętem Kościoła powszechnego. Pierwsza wzmianka o jego obchodach w Polsce pochodzi z diecezji krakowskiej z 1320 r.

– O, tu jest mój dom – pokazuje pan Stanisław. – I widzi pan, ja tu przed domem mam jakieś siedemdziesiąt metrów kwadratowych. Samemu nie ma szans tego kwiatami wyłożyć. Dlatego sąsiedzi pomagają, rodzina też z okolic przyjeżdża. Przy każdym domu pracuje kilkanaście osób.

Na pana Stanisława już czas. Chce się żegnać, ale w furtce pojawia się wnuk Mate-

usz, dziewięć lat. Wraca ze szkoły. Choć do Bożego Ciała jeszcze ponad tydzień, to Mateusz już wszystko planuje, wszystko ma rozrysowane. W tym roku głównym motywem będzie złoty kielich.

Z potrzeby serca

– Mieszkańcy nawet się nie zastanawiają, dlaczego to robią – komentuje jezuita o. Grzegorz Kramer. – My, patrząc z boku, podziwiamy ich pracę, serce, które w to wkładają, oraz piękno i ulotność efektu. A to jest chyba po prostu miłość. Oni pokazują, w jaki sposób kochają.

W fakcie, że kwiatowy kobierzec istnieje zaledwie kilka godzin w roku, jezuita dostrzega bezinteresowność jego twórców. – Oni nie robią tego dla swojej chwały. Kwiaty, symbol piękna i tymczasowości tej rzeczywistości, są dla Pana Jezusa – mówi. – I choć zniszczone w procesji, stają się rzeczą sakralną: poświęconą Panu Bogu. Dlatego nie wolno ich zostawić, trzeba je spalić jak wielkanocne palmy.

Droga idzie w górę i zakręca w prawo koło sklepu. Tu rozszerza się nieco – po boczce zajmuje niewielki placik wyłożony

kostką. W przyszłości stanie tu prawdopodobnie na stałe jeden z czterech ołtarzy. Spycimierzanie podpatrzyli pomysł z całorocznymi ołtarzami w Pontareas w hiszpańskiej Galicji, gdzie także układa się kwietne dywany. Pojechali tam na zaproszenie miejscowego stowarzyszenia kwiatowego.

Parafialne Stowarzyszenie „Spycimierskie Boże Ciało” jest także członkiem włoskiego stowarzyszenia kwiatowego Infioritalia. W ramach tej współpracy w maju 2016 r. spycimierska delegacja uczestniczyła w VI Międzynarodowym Kongresie Układania Kwiatów w Noto na Sycylii.

Maria Pelka wspomina: – We Włoszech w zespołach układających dywany zawsze są osoby z wykształceniem artystycznym. My układamy dywany spontanicznie, z potrzeby serca. Przecież nasi przodkowie robili to wszystko dla najważniejszego gościa w tym dniu, który chodził po drogach, oglądał wieś, wchodził do domów i je błogosławił. I jego chcieli jak najładniej powitać: Pana Jezusa.

© MARCIN CHODUŃ

Współpraca: ARTUR SPORNIĄK





Kard. Philippe Barbarin, arcybiskup Lyonu, oczekuje na rozprawę w sądzie. Lyon, styczeń 2019 r.

Francja się oczyszcza

ANDRZEJ STANISŁAW CHANKOWSKI Z LYONU

Episkopat francuski powołał niezależną od biskupów komisję do badania nadużyć seksualnych z dostępem do archiwów i z prawem przesłuchiwanie świadków – przykład godny naśladowania.

JEST TO PROBLEM SYSTEMOWY, KTÓRY jako taki trzeba traktować. I jesteśmy zdeterminowani, aby to zrobić” – stwierdził 7 maja przed senacką komisją do spraw nadużyć seksualnych popełnionych na osobach małoletnich abp Éric de Moulins-Beaufort (ur. 1962), nowo wybrany przewodniczący Konferencji Episkopatu Francji. Za pomocne uznał nagłaśnianie nadużyć w mediach, podkreślając w szczególności rolę filmu François Ozona, „Dzieki Bogu” („Grâce à Dieu”), poświęconego „sprawie kardynała Barbarina”: „[Pozwolił on] wielu osobom, które nie chciały spojrzeć prawdzie w oczy, zrozumieć, czym jest agresja seksualna”. I w imieniu episkopatu zadeklarował: „Jest dla nas całkowicie jasne, że wszystkie sprawy mu-

szą być przekazywane organom wymiaru sprawiedliwości”.

Słowa przewodniczącego francuskiego episkopatu dobrze potwierdzają wolę biskupów, aby ujawnić wszelkie nadużycia seksualne popełnione w Kościele we Francji w przeszłości i zapobiec podobnym nadużyciom w przyszłości. Za najważniejszy krok na tej drodze uznać można powołanie Niezależnej Komisji Dochodzeniowej na temat Nadużyć Seksualnych w Kościele.

Niezależna komisja

O komisji tej więcej zaczęto pisać niedawno, kiedy 3 czerwca zwróciła się z apelem do wszystkich osób, które od 1950 r. do dziś doznały nadużyć ze strony księdza, zakonnika lub zakonnicy. W rzeczy-

wistości jest to jedynie nowy etap jej prac. Powstała już na jesieni zeszłego roku, niemal równocześnie ze wspomnianą komisją senacką (której jednak zadanie ograniczało się do opracowania ogólnego raportu na temat kontekstu nadużyć seksualnych we Francji). Przedmiotem jej dochodzeń są nie tylko nadużycia popełnione na osobach małoletnich, lecz także akty seksualne z udziałem osób pełnoletnich, do których doszło w sytuacji podległości służbowej lub duchowej zależności. Prace mają się zakończyć w ciągu 12 miesięcy. Komisja nie ma na celu ustalenia indywidualnej odpowiedzialności karnej sprawców, niemniej przewiduje przekazanie wyników wyspecjalizowanemu w udzielaniu pomocy ofiarom wszelkich nadużyć stowarzyszeniu Francja Ofiary (France Victimes), które będzie mogło ocenić, czy i jak nadać tok sądowy danej sprawie.

Komisja nie ogranicza swego zadania do wyświetlenia popełnionych w przeszłości nadużyć. Chodzi także o zrozumienie zjawiska (zwłaszcza jego instytucjonalnych kontekstów i milczenia wokół niego panującego), z myślą o wypracowaniu procedur ułatwiających unikanie nadużyć w przyszłości. Dzięki analizie przypadków zaistniałych w Kościele może okazać

się użyteczna także w innych dziedzinach życia społecznego.

Inicjatywę stworzenia komisji podjęły konferencja episkopatu oraz konferencja męskich i żeńskich zgromadzeń zakonnych. Podobnie jak analogiczne ciała powstałe w Stanach Zjednoczonych i Niemczech, jest ona całkowicie niezależna od Kościoła, zarówno jeśli chodzi o jej skład, jak też działania: ujawnione przypadki wyjaśniać ma 22 specjalistów (prawników, lekarzy, historyków, socjologów i teologów), dobranych wedle kryterium fachowości wyłącznie przez przewodniczącego. Jednocześnie Kościół zapewnia komisji nieskrępowany dostęp do archiwów kościelnych i możliwość przesłuchania świadków.

Wolę francuskiej hierarchii uzyskania jak najbardziej obiektywnych wyników prac najlepiej wyraża wybór przewodniczącego komisji. O jej utworzenie i kierowanie nią episkopat zwrócił się z prośbą do Jeana-Marca Sauvégo, modelowej postaci wysokiego, apolitycznego funkcjonariusza administracji publicznej, cieszącego się nieposzlakowanym autorytetem. W przeszłości pełnił funkcję generalnego sekretarza rządu (odpowiedzialnego za koordynację administracji publicznej) przy czterech premierach, a następnie przewodniczył Radzie Państwa, najwyższemu trybunałowi administracyjnemu, opiniującemu także wszelkie rządowe projekty aktów prawnych.

Sprawa kard. Barbarina

Powołanie komisji Sauvégo było reakcją hierarchii na formułowane już od dłuższego czasu zarzuty tuszowania przypadków pedofilii w Kościele. Najwięcej uwagi przykuła sprawa ks. Bernarda Preynata. Przez niemal 20 lat (od 1971 do 1991 r.) cieszył się on uznaniem jako duszpasterz skautów w parafii św. Łukasza, położonej w należącej do aglomeracji lyońskiej miejscowości Sainte-Foy-lès-Lyon. W okresie tym dopuścił się wielokrotnie nadużyć seksualnych na wychowankach (mowa jest o 70 ofiarach). W 1991 r., w wyniku pojawiających się skarg, został odsunięty od działalności ze skautami, ale nie zawieszony w czynnościach kapłańskich. Co więcej, nadal miał kontakty z dziećmi i młodzieżą. Oskarżony w 2016 r., czeka dziś w areszcie na proces karny.

Przedmiotem dociekań stała się ewentualna współodpowiedzialność arcybiskupa Lyonu, kard. Philippe'a Barbarina

(ze względu na rangę diecezji i osobowość – jednego z najważniejszych francuskich hierarchów). Kard. Barbarin objął diecezję lyońską w 2002 r., kiedy ks. Preynat nadal prowadził działalność duszpasterską. Sprawę nagłośniło stowarzyszenie Uwolnione Słowo (La Parole Libérée), utworzone w grudniu 2015 r. przez byłe ofiary ks. Preynata w odpowiedzi – jak twierdzą jego członkowie – na brak reakcji kardynała. Barbarin miał uzyskać pierwsze informacje na ten temat już w 2014 r., a mimo to potrzebował 14 miesięcy, aby ostatecznie odsunąć ks. Preynata od pracy z nieletnimi. Stowarzyszenie wystąpiło zatem na drogę sądową nie tylko przeciw księdzu pedofilowi, lecz także przeciw jego biskupowi.

7 marca tego roku sąd pierwszej instancji uznał, że kardynał jest winny „niezłożenia doniesienia o nadużyciach seksualnych na osobach niepełnoletnich”, i skazał go na pół roku więzienia w zawieszeniu. Adwokaci kardynała wnieśli apelację, on sam jednak nie czekając na jej wynik podał się do dymisji. Papież Franciszek dymisji nie przyjął i nakazał kardynałowi pełnić posługę do czasu ogłoszenia wyroku w drugiej instancji. Decyzja ta wywołała szereg krytycznych komentarzy we francuskiej prasie katolickiej; nie zaważał się jej skrytykować nowy przewodniczący konferencji episkopatu, abp de Moulins-Beaufort. Uznano ją za niespójną z polityką bezwzględnej walki z pedofilią głoszoną przez papieża, a także za niekorzystną dla samej diecezji lyońskiej, w której autorytet kardynała doznał nieodwracalnie poważnego uszczerbku. Niezależnie bowiem od ewentualnej odpowiedzialności karnej (której ocena zależy od stwierdzenia lub niestwierdzenia przedawnienia zarzucanych czynów) kard. Barbarin nie zaprzecza, że dopuścił się w tej sprawie niedopatrzeń. Stąd jego postawa narażona jest na zarzut dwuznaczności: z jednej strony wobec ofiar przyznaje się *implicit*e do współodpowiedzialności, z drugiej – nie rezygnuje ze środków prawnych, aby się od niej uwolnić.

„Dzięki Bogu”

Sprawa ks. Preynata i kard. Barbarina stała się szczególnie znana za sprawą filmu „Dzięki Bogu”, który wszedł na ekrany w lutym tego roku i który obejrzał niemal milion widzów. Choć w porównaniu z oglądalnością „Kleru” Wojciecha Smarzowskiego i „Tylko nie mów nikomu” braci Siekielskich to nie tak wiele, w zse-

kularyzowanej Francji uznać to należy za medialny sukces. Gatunkowo sytuuje się on między dwoma wspomnianymi filmami polskimi: nie jest to ani oparta na fikcji ostra satyra społeczna, ani film dokumentalny. Reżyser pragnął opowiedzieć rzeczywistą historię stowarzyszenia Uwolnione Słowo, w którego dobrze znane postaci wcielają się aktorzy.

Film skupia się na analizie traumatycznych doświadczeń ofiar, pokazując, jak publiczne ich wyrażenie, możliwe dzięki stowarzyszeniu, pozwala częściowo je przezwyciężyć. Przyjęty wobec postaci kard. Barbarina ton jest wyważony, najmniej jednoznacznie krytyczny, czego nie omieszkali wypomnieć w trakcie procesu jego adwokaci. Tytuł filmu nawiązuje do niefortunnej wypowiedzi kardynała, który w kwietniu 2016 r., indagowany przez dziennikarzy o sprawę ks. Preynata, odpowiedział, że „większość tych czynów – dzięki Bogu! – już się przedawniła”. Mimo wielokrotnych sprostowań kardynałowi nie udało się osłabić wywołanego tą wypowiedzią przekonania, że brak mu empatii dla ofiar i myśli w pierwszym rzędzie o uniknięciu prawnych konsekwencji dla siebie samego.

W porównaniu do zaniedbań, których dopuszczono się w dziedzinie pedofilii w Polsce, zaniedbania kard. Barbarina jawią się jako drugorzędne, a sposób, w jaki potraktowali go francuscy katolicy i sąd – wyjątkowo surowy. Odzwierciedla to jednak powstałą we Francji atmosferę braku przyzwolenia, w której opinia publiczna (wewnątrz i poza Kościołem) skutecznie wykorzystuje środki nacisku obywatelskiego, aby spraw tego typu nie udało się już więcej „zamieść pod dywan”. Biskupi uznają tę atmosferę za właściwą i pragną przyczynić się do jej podtrzymania.

Warto zauważyć, że decyzję o powołaniu komisji Sauvégo hierarchia podjęła, zanim jeszcze sprawa kard. Barbarina trafiła do sądu, a film Ozona na ekrany. Ogłaszając pod koniec maja raport komisji senackiej na temat nadużyć seksualnych, jej przewodnicząca Catherine Deroche podkreśliła, że odnośnie do tego zjawiska Kościół katolicki jawi się dziś jako bardziej świadomy problemu niż inne instytucje, w których on występuje. ©

Autor jest historykiem, zajmuje się historią starożytnej Grecji. Pracował na Uniwersytecie Warszawskim, obecnie na Uniwersytecie w Lille we Francji.

Jak nie obrzydzić sobie wiary

KS. STANISŁAW TOKARSKI, PSYCHOTERAPEUTA:

Jeśli człowiek nauczy się samego siebie kochać i nie poniżać, to już przez to samo będzie bliżej Boga.

MAGDA FIJOŁEK: W naszych dorosłych relacjach często powielamy to, czego jeszcze jako dzieci doświadczyliśmy w kontakcie z rodzicami. Dlatego nasi partnerzy często są podobni do naszych ojców czy matek. Czy z Panem Bogiem jest podobnie?

KS. STANISŁAW TOKARSKI: Można powiedzieć, że bardzo podobnie, a może nawet w relacji z Bogiem jest to jeszcze bardziej widoczne niż w relacjach damsko-męskich. Z tym że w tej chwili już odchodzi się od mówienia o ojcu jako tym, który determinuje obraz Boga, a coraz częściej zwraca się uwagę na rolę matki.

Skąd wynika ta zmiana perspektywy?

Według wczesnej psychoanalizy obraz Boga kształtuje się w człowieku mniej więcej od pierwszego roku życia. Dziecko zaczyna obserwować rzeczywistość, a rodzice pokazują mu różne symbole i gesty religijne: znak krzyża, złożone ręce, padają pierwsze wzmianki o „Boży”. Już wtedy dziecko, głównie przez naśladownictwo i identyfikację, zaczyna budować sobie koncepcję Boga. Natomiast późniejsze badania, z połowy ubiegłego wieku i te nowsze, opierające się na koncepcjach psychodynamicznych, przesunęły ten okres kształtowania się obrazu Boga jeszcze wcześniej.

Jeszcze wcześniej niż wiek niemowlęcy?

Kluczowy jest już okres prenatalny, a zatem moment nawiązania kontaktu człowieka ze światem. I tu dochodzimy do odpowiedzi na pytanie, dlaczego to matka jest tak ważną figurą w tworzeniu się obrazu Boga. Dziecko, tworząc koncepcje na temat rzeczywistości, „czerpie dane” przede wszystkim z emocji, a nie z racjonalnych informacji. Z racji tego, że to z matką ma pierwszy kontakt, w znac-

nym stopniu właśnie od tego kontaktu zależy jego późniejsze przeżywanie relacji do Boga. Klimat emocjonalny między mamą a dzieckiem tworzy już pewną koncepcję widzenia świata i rzeczywistości: czy są one bezpieczne, czy zagrażające? Akceptujące czy dyskryminujące?

Czy osoby, które miały zaburzoną relację z rodzicami, są „skazane” na zafałszowany obraz Boga?

W żadnym wypadku – Pan Bóg stworzył nas tak świetnie wyposażonymi, że możemy sobie z tym spokojnie poradzić. W okresie wczesnodziecięcym, od początku naszego życia, tworzy się tzw. więź podstawowa. W psychologii mówi się o trzech rodzajach tej więzi, inaczej typach przywiązania. Ta więź może być bezpieczna, unikająca albo lękowo-ambiwalentna. Jeśli jest bezpieczna, to łatwo przyjmujemy to, co rodzice nam przekazują, ponieważ im ufamy. Na tej bazie powstaje też zaufanie do Boga. Jeśli mama czy tata pokażą mi Boga, który jest bezpieczny i kochający, a jednocześnie ja sam z nimi się tak czuję, to zachodzi coś, co w psychologii religii nazywamy „hipotezą odpowiedniości”. Syntonia tego, co słyszę, z tym, czego doświadczam, rodzi ufność i zaangażowanie. Potem oczywiście przychodzi okres nastoletni, w którym trzeba temu zaprzeczyć, podważyć to, aby zweryfikować, czy jest rzeczywiście prawdziwe, ale jeśli nasza relacja z rodzicami jest bliska i bezpieczna, to po okresie tzw. buntu przyjmujemy Go niejako na nowo, staje się dla nas ważny, potrzebny i sprawdzony.

A co z pozostałymi dwoma stylami przywiązania?

Style te nie są od siebie zupełnie rozłączne, na ogół jest tak, że któryś z nich po prostu dominuje. Jeśli pomimo prób dziecku nie udaje się nawiązać bezpiecz-

nej relacji, zaczyna wytwarzać się więź unikająca. Charakterystyczne dla osoby o takim stylu przywiązania są komunikaty typu „poradzę sobie sam/a”, „nie interesuje mnie to”, „nieważne”. To taki asceta – siedzi w kącie, w swoim własnym świecie, niemal nic nie jest dla niego ważne.

Obrona przed potencjalnym zranieniem.

Dokładnie tak. Kiedy jednak takie „unikowe” dziecko zweryfikuje swoją wiedzę o świecie i dojdzie do wniosku, że jednak nie jest on taki zły i może warto opuścić ten swój ochronny pancerz, by nawiązywać kontakty, to wtedy rodzi się przestrzeń na poznawanie rzeczywistości i uczenie się jej „od nowa”, również w relacji do Boga. I tu, trochę podobnie jak w fazie wczesnodziecięcej, istotne staje się to, kto mi o tym Bogu mówi. Czy to jest ktoś przyjazny, czy nieprzyjazny? Od takiej „pozytywnej figury” zależy, czy będę w stanie przełamać się i komuś zaufać.

A osoby lękowe?

Ludziom o lękowo-ambiwalentnym stylu przywiązania jest bardzo trudno, ponieważ bardzo zależy im na bliskości i jednocześnie bardzo się jej boją. Chcą się zbliżyć, ale to zbliżenie jest źródłem cierpienia.

Jak więc mają zbliżyć się do Boga?

Tak jak w przypadku stylu bezpiecznego mieliśmy do czynienia z hipotezą odpowiedniości, tak w tym przypadku sprawdza się, co wykazały również moje własne badania, tzw. hipoteza kompensacji. Jeśli nie znajduję w swoich rodzicach bezpiecznego przywiązania, to szukam innych obiektów przywiązaniowych. Na początku mogą to być misie, kocyki, przytulanki, to są tzw. obiekty przejściowe, które podnoszą nasze poczucie bezpieczeństwa. Takim „obiektem” może być też Pan Bóg, na którym najpierw można się trochę powoływać, a później go zawołać po to, by się do Niego przytulić.

Ale czy to nie powoduje, że relacja z Nim jest skazana na niedojrzałość?

Nie, na tę dojrzałość przyjdzie jeszcze czas. Jeśli ten lękowy układ nie zostanie zweryfikowany i przetworzony w kierunku bezpiecznego, to konsekwencją może być wytworzenie się obrazu Boga jako surowego sędziego, uzurpatora, któremu należy oddawać cześć i być posłusznym,



MARK MALKIEWICZ / REPORTER

Co z osobami, które nie miały szansy wytworzyć więzi z rodzicem, bo np. dorastały w domu dziecka?

Wśród takich osób pojawia się najczęściej postawa agnostyczna, czasem nawet ateistyczna, na zasadzie pewnego „odwetu”. Według Johna Bowlby’ego, autora koncepcji przywiązania, na szczęście pojawia się coś takiego, czy raczej ktoś taki jak obiekt zastępczy. Bardzo często dzieci, które doznają opuszczenia przez rodziców – czy to emocjonalnego, czy fizycznego, intuicyjnie czują, jaki ten dobry rodzic powinien być, i szukają takich osób wokół siebie. To może być niania, ciocia, dobry wychowawca. Choć, skoro ustaliliśmy, że pewien „ekwipunek” emocjonalny wytwarza się już w okresie prenatalnym, oczywiste jest, że ten pierwszy rodzic będzie mieć na początku największe znaczenie.

podporządkowanym jego niezrozumiałym roszczeniom, bo inaczej straci nas do piekła, albo w inny sposób nas ukarze lub zniszczy. To rzeczywiście jest patologiczny obraz Boga, w którym staje się On buchalterem wyliczającym wszystkie nasze grzechy. I tu znowu, w zależności od tego, jak zaczniemy rozwijać relację z innymi, głównie wierzącymi osobami, ten negatywny obraz może się potwierdzać lub ewoluować w kierunku obrazu bezpiecznego, bliskiego.

Czyli istotna wydaje się tu rola wspólnoty.

Wspólnoty, liderów religijnych, spowiedników, animatorów – kogoś, kto budzi w nas zaufanie i pozytywne emocje. Z czasem zaczniemy się zastanawiać: skąd on to ma? A to już dobry krok w poznaniu wizerunku Boga innego niż ten, do którego przywykliśmy.

Z jakimi problemami dotyczącymi fałszywych obrazów Pana Boga spotyka się Ksiądz najczęściej jako psychoterapeuta?

Często przychodzą do mnie osoby o lękowym podejściu do Boga. Bóg jest dla nich nieprzyjazny, okrutny, rozliczający... Na tym obrazie Boga tworzą się dosyć silne – wynikające z funkcji psychologicznych – zaburzenia kompulsywne, czyli natręctwa. To podłoże psychologiczne, ale ono zwykle bazuje na tym, co dla nas ważne: dla jednych jest to higiena, dla innych bezpieczeństwo, a dla jeszcze innych właśnie religia.

Jak przebiega praca z takimi osobami?

Ważne, by dystansować się od zajmowania się religijnością. Wszystko po to, by zacząć uwalniać się – czasem z pomocą farmakologiczną – od błędnego koła napięć i redukcji. Dopiero gdy uda nam się obniżyć poziom lęku i podnieść nastrój, przymerzamy się do obrazu Boga. Niestety, spowiednicy często, mając dobrą wolę, swoją postawą tylko pogłębiają objawy nerwicy. Hasło „ja ci to wyjaśnię” powoduje u penitenta z natręctwami chwilową ulgę, ale potem jego wątpliwości i napięcia wracają z podwójną mocą.

Czy terapia jest wtedy konieczna?

Psychoterapia jest narzędziem, które zbiera doświadczenia wielu ludzi i pokoleń. Czy pomaga? Z pewnością. Ideą Stowarzyszenia Psychologów Chrześcijańskich jest pomóc człowiekowi być człowiekiem, a później poprzez to może on, jeśli zechce, otwierać się i na Boga. Jeśli on będzie samego siebie kochał, nie poniżał, to już przez to samo będzie bliżej Boga.

Psychoterapia nie jest zawsze konieczna. Zwłaszcza jeśli żyjemy w sprzyjającym środowisku, mamy wokół siebie przyjaciół, wspierającą rodzinę. To my sami decydujemy, czy potrzebujemy terapii. Jeśli objawy nie destabilizują nam codziennego funkcjonowania, „da się z nimi żyć”, to możemy sobie radzić bez terapii. Ale jeśli objawy, jak np. w przypadku natręctw, są na tyle silne, że stają się uciążliwe, warto skorzystać z pomocy, bo terapia nie jest magią, tylko czymś, co w sposób odczuwalny może zwiększyć nasz dobrostan.

A co w przypadku, gdy rodzic świadomie krzywdził dziecko? Osobie maltretowanej w przeszłości przez własnego tatę może być trudno wypowiedzieć słowa modlitwy „Ojciec nasz”.

To prawda. Wówczas trzeba szukać zastępstwa dla tego słowa. Bo to przywołuje traumę, na nowo ją odtwarza. Wspomniała pani o ojcu, a jeśli taką postawę prezentowała mama, to mimo maryjnego kultu, jaki mamy w Polsce, pojawia się wrogość i ostrożność, które pociągają za sobą brak zaufania. Jest tak, że nawet jeśli rodzice są niewierzący, a troskliwie opiekują się dzieckiem, to ma ono większą szansę na rozwój religijny niż dziecko z rodziny wierzącej, ale dysfunkcyjnej.

Znam kobiety, którym trudno modlić się do Matki Bożej, bo dla nich matka kojarzy się z kimś surowym, wymagającym. Mam wrażenie, że kult maryjny w Polsce, o którym Ksiądz wspominał, paradoksalnie może od Maryi oddalać.

To pokłosie pewnej mentalności, na którą należy spojrzeć w szerszym kontekście. Pod wpływem wojen, rozbiorów i okupacji przekaz Kościoła mocno koncentrował się wokół „kary boskiej”. Niewola, podobnie jak w Starym Testamencie, była „karą za grzechy”. Chcąc odejść od takiego myślenia kard. Stefan Wyszyński zaproponował drogę „przez Maryję”, kobietę kojarzącą się z dobrem, ciepłem i kimś, kto zaprowadzi nas do Jezusa. W ten sposób rozwinął się kult →

→ maryjny. Ale pojawili się też oponenci mówiący o tym, że Maryja bez roli matki Jezusa jest zwykłą kobietą, nikim więcej. Pojawiły się ruchy, które wskazywały kierunek odwrotny: do Maryi przez Jezusa. Może warto spróbować pomyśleć o Matce Bożej w ten sposób? Na pewno, gdy mamy kłopot z Maryją poprzez naznaczenie relacji z własną mamą, to tego nie należy przełamywać „na siłę” i zmuszać się do odmawiania różańca. Można wtedy spojrzeć na Maryję w jej biblijnym wymiarze, jako na tę, która przynosi Chrystusa.

Jakim rodzicem jest Pan Bóg?

Świetnym. Można opowiadać truizmy o tym, że jest kochający, czuły, troskliwy... Ale gdy na horyzoncie jest mnóstwo „ale”, to trudno to przyjąć. Warto spojrzeć przez klucz biblijny, ewangeliczny. Jeden z apostołów mówił kiedyś do Jezusa: „Pokaż mi ojca”. Jezus odpowiedział: „Tyle już jesteś ze mną i jeszcze Go nie zobaczyłeś?”. Ojca możemy poznać przez Syna – tego, który uzdrowia, karmi, jest wyrozumiały i gwarantuje sobą to, jaki jest Bóg. Który straszenie wyklinał i wrzeszczał na faryzeuszki chcących widzieć w Ojcu kogoś groźnego, surowego, któremu trzeba wszystko oddawać.

Ale była też scena w świątyni z kupcami. A od bicza już całkiem blisko od pasa jako symbolu ojcowskiej kary.

Ależ oczywiście! Tyle że ci kupcy to nie były dzieci. To byli ci, którzy na Panu Bogu chcieli zarabiać. Proszę zauważyć, że w tym opisie Jezus nie używa przemocy względem człowieka. Porozwalał stoły, kazał wynieść gołębie, niektórych wypędził. Nam się czasem wydaje, że każdy powinien być zawsze miły. Jakaś pani mówiła mi ostatnio, że nie potrafi odmawiać, bo „trzeba być miłym”. Zapytałam ją, czy idąc tym tokiem myślenia, nie podałaby choremu dziecku gorzkiego lekarstwa? Czy nie da się zoperować, bo to niemiłe? Ojciec pokazany przez Jezusa w tej scenie jest kimś zdecydowanym, silnym. Jest kimś, kto – jak mówi Ewangelia – nie dogasza knotka, ale jednocześnie bardzo konkretnie nazywa i piętnuje zło.

Stawia granice jak dobry rodzic. Czego jeszcze my sami – rodzice, duszpasterze – możemy nauczyć się od Boga, superrodzica?



ARCHIWUM PRYWATNE

KS. STANISŁAW TOKARSKI jest saletynem, doktorem nauk humanistycznych i certyfikowanym psychoterapeutą. Dyrektor Studium Psychoterapii Stowarzyszenia Psychologów Chrześcijańskich w Warszawie. Bada m.in. zależności między rozwojem osobowości a rodzajem religijności.

Słuchania i wsparcia. Najpiękniejszą przypowieścią obrazującą relację Boga do nas jest opowieść o miłosiernym ojcu i marnotrawnym synu. Co z tego, że jedna czy druga rzecz nie należała się synowi? Ojciec wiedział, że on to wszystko zniszczy, rozhuła, zmarnuje – i co z tego? Relacja była ważniejsza niż przekonanie o posiadaniu racji. Ojciec płakał, czekał, ale gdy syn przymierał głodem, ten nie posyłał mu kolejnych pieniędzy, tylko czekał. Syn wrócił, niekoniecznie z najbardziej szlachetnych pobudek, tylko z powodu głodu. Ale wrócił. Ojciec wtedy przytula, nie robi wymówek, nie ma żadnego odwetu. Co znamienne, to ten syn próbował projektować odwet ojca – „żeby chociaż mnie zrobił służącym”. A ojciec na to: Nie! Natychmiast – suknia, pierścień, sandały, jesteś moim synem i nic tego nie zmieni, żadne świństwo. To dobry przykład postawy wobec zbuntowanego nastolatka: syn próbuje wszystko zniszczyć, a ojciec mówi: i tak cię kocham.

Ale dla drugiego syna to było trudne.

Trudności uczą nas najwięcej. To piękna i wspaniała szansa – nam się wydaje, że to, co przyjemne i łatwe, jest dobre. Trudności rodzą więź, zdolność do rozumienia, empatię. Rzeczywiście jest czasem tak, że dziecko niepełnosprawne czy choro-

wite angażuje całą uwagę rodziców. I to jest błąd. Wszyscy mają prawo do miłości. Przypomina mi się pewna scenka, którą opowiedziała mi znajoma kobieta: jest przyjęcie, wszyscy goście są zaafierowani solenizantem. W tym chaosie i gwarze jest trzypółletnia dziewczynka, która czuje się zdezorientowana, zagubiona, ale potrzebuje być zauważona. Ta dziewczynka wzięła mamę za rękę i powiedziała: „Idziemy na herbatę, mamo”. I ta mądra mama odpowiedziała na tę potrzebę. Poprosiła towarzystwo, poszły, wróciły za godzinę, obie szczęśliwe.

Jeśli nie staniecie się jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego.

Jak nauczyć się postawy dziecka?

Nie trzeba się tego wcale uczyć. Jako dzieci jesteśmy obciążeni wymaganiami, obowiązkami, odrabianiem często bzdurnych lekcji. Nam się wydaje, że nauczyć się to oznacza coś usilnie ćwiczyć. Przeczytać Pismo Święte osiem razy, tyle i tyle się modlić... Takim podejściem można Pana Boga sobie tylko obrzydzić.

To jak Go odnaleźć?

Najlepszą metodą uczenia się jest spon-taniczne eksperymentowanie, zabawa. Dlatego wierzę, gdy ktoś mówi, że czuje się znużony, „wymęczony” kazaniem i jedzie szukać Boga w góry, nad morze czy do lasu. Nie chodzi o to, że tylko tam jest Bóg, ale w tej naturze można odnaleźć Jego ślady. Oczywiście tam nie będzie Eucharystii, która jest pełnią spotkania z Chrystusem, ale żeby nauczyć się ją przeżywać, trzeba najpierw nauczyć się przeżywać siebie. Dlatego tak ważne jest pokazywanie dziecku w pierwszej kolejności piękna wiatru, słońca, lasu, a nie systemu nakazowego. Jak zachwyci się słońcem, to zapyta: kto za tym stoi? Już starożytni mówili, że umysł ludzki potrafi odkryć Boga przez piękno stworzenia, tylko musi oczyścić się z naleciałości.

Proste i trudne jednocześnie.

Bo my chcemy wszystko wiedzieć, i to najlepiej od razu. Jak odnajdziemy siebie w relacji z sobą, to będziemy szukać dalej, bo to nas frapuje. Ludzie są fascynujący – każdy inny, każdy ma swoje bogactwo i niesamowitą przestrzeń. A odkrywanie tych bogactw to nic innego jak odkrywanie głębi Boga, na którego obraz i podobieństwo jesteśmy przecież stworzeni.

© Rozmawiała MAGDA FIJOŁEK

SZYMON

Hołownia:

Porcja nadziei



KIEDY ŁADNYCH PARĘ LAT TEMU PRZES POLSKĘ przetaczała się debata lustracyjna, zwracałem uwagę moim kolegom z Kościoła, których w niezdrowym stopniu podniecało tropienie byłych agentów, demaskowanie ich (i – rzecz jasna – noszące znamiona moralnego autoerotyzmu powtarzanie, że są w tym tylko pokornymi „sługami prawdy”), iż dla chrześcijanina praca nad porządkowaniem i uzdrawianiem pamięci zaczyna się tam, gdzie dla państwa, dla historyka, dla sądu się kończy. OK, na kogoś są papiery, ktoś coś podpisał, okazał słabość w chwili próby, zawiódł albo – jak Lesław Maleszka, mój starszy kolega z czasów, gdy pod koniec lat 90. ubiegłego wieku zaczynałem pracę w „Gazecie Wyborczej” – donoszenie, nie wiedzieć właściwie czemu, uczynił częścią swojego DNA. Człowiek, który choć naskórkowo zna Ewangelię, nie może jednak nie pójść dalej, nie może zatrzymać się na konstatacji: „o, zło”. Musi zacząć pracę nad swoim osobistym przebaczeniem, przepracować pytanie: czy w ogóle można wybaczyć komuś, kto wcale nie czuje się winny i brnie w zaparte, że nic złego nie zrobił? Do tego dochodzi kwestia (bardzo trudna) zarządzania gniewem, pogardą, pokusą ostracyzmu. Wyjście poza paradygmat „ma za swoje”, „jest sprawiedliwość na tym świecie”, ba – udzielenie wsparcia niegdyś szerszemu oprawcy.

Że to koszmarnie trudne? Pamiętam, jak pewien mądry ksiądz na pewnej konferencji stwierdził, że polscy księża (jego samego nie wyłączając) w znacznej mierze nie głoszą swoim słuchaczom Ewangelii, a wciąż tylko i wyłącznie Dekalog. Bojąc się, że gdyby ogłosili swoim owieczkom Ewangelię, taką sauté, zderzyli ich z jej „nieżyłościowością”, radykalizmem, a wręcz szaleństwem jej wymagań, następnego dnia zastaliby puste kościoły. Iluż na swojej drodze (często również przed lustrem) spotykam takich, którzy widząc rewolucyjność wymagań i propozycji Jezusa, zaczynają przy nich dłużyć, rozważniać je, otarbiać, topić w „przecież Jezus nie mógł mieć tego na myśli”, „przecież zważmy na cytaty z Ojców Kościoła oraz kardynała Wyszyńskiego”. Jakież szacunk budzą we mnie nieliczni ci, którzy mają odwagę powiedzieć: przeczytałem, dziękuję, to dla mnie za trudne, nie zgadzam się, to szalone, ja tego po prostu nie rozumiem.

Jeśli miałbym się tu przez chwilę wypowiadać, to dla mnie osobiście jednym z najtrudniejszych dziś – w świecie, w jakim żyję – nakazów Ewangelii jest nie poprzestawanie na diagnozowaniu świata, na budzeniu w ludziach przerażenia i rozpaczy, ale codzienne dawanie im solidnej porcji nadziei. Bo przecież nikt jeszcze nie wyzdrowiał od czytania recepty (nawet jeśli robi się to dramatycznym tonem, nawet z podziałem na role w wykonaniu wybitnych aktorów). Na wielu spotkaniach

i wykładach mam przed sobą ludzi, którzy po pokazaniu im czegoś, czego sami się domyślali – skali powikłania tego świata, mówią: „O matko z ojcem. I co teraz?!”. Z idiotycznego modelu „business as usual”, „jest świetnie”, „jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było, więc odcinajmy kupony od naszego sukcesu” – w świecie o takiej dynamice będzie wyłącznie katastrofa. Z mnożenia jeremiad nad stanem klimatu, więzi społecznych – też. Najtrudniejsze zadanie dla każdego z nas, chrześcijan w miarę zorientowanych w tym, jak sprawy się mają: jak nie być dla swoich słuchaczy (a każdy z nas ma jakichś) tylko Savonarolą, jak próbować wzorować się raczej na karmiącym prawdziwą nadzieją zawieszonych w beznadziei (politycznej, ekonomicznej, religijnej) Jezusie.

W swoim słynnym przemówieniu w Davos 16-letnia szwedzka aktywistka ekologiczna i klimatyczna Greta Thunberg wbiła w mięciuchne fotele wszystkich piaskowych dziadków i starych wyjadaczy polityki i biznesu twardą mową: „Nie chcę waszej nadziei. Nie chcę, żebyście żyli nadzieją. Chcę, żebyście wpadli w panikę. Chcę, żebyście czuli strach, który ja czuję każdego dnia. A wreszcie – chcę, żebyście zaczęli działać. Chcę, żebyście zachowywali się tak, jakby nasz dom płonął. Ponieważ tak właśnie jest”. Mocno kibicując Thunberg (i wielu jej podobnym nastolatkom, którzy lepiej od nas widzą, jak pokolenie ich rodziców zabija ich świat, ich przyszłość, ich marzenia), uważam, że ten pożar da się ugasić jednak tylko i wyłącznie nadzieją. Nie teoretyczną, rzecz jasna. To chore, że chrześcijanie postrzegani są dziś przez wielu jako w pierwszym rzędzie kierunkowi specjaliści od etyki seksualnej czy szerzej – bioetyki, technik wywierania wpływu czy nawet edukacji.

Chrześcijanin, którego obraz wyłania mi się z Nowego Testamentu, to specjalista od jednej tylko rzeczy, od nadziei. Ktoś, kto samym swoim pojawieniem się w otoczeniu sprawia, że jest w nim mniejsze stężenie lęku, że w ścianach pojawiają się drzwi. To ktoś, kto robiąc wieczorny rachunek sumienia nie tyle spędza minuty nad rozdrubnianiem na atomy swojej ulotnej „nieczystej” myśli, ale zadaje sobie to zasadnicze pytanie: „czy dzięki temu, że ja żyję, mógł żyć dzisiaj na świecie także ktoś inny?” (to ważny, a często sprowadzany wyłącznie do biologicznej prokreacji wymiar chrześcijańskiej, z pochodzenia boskiej, płodności).

Świat sprawia dziś wrażenie, jakby zaczynał umierać, ale co zrobiłem dziś, by być na nim żywym? Konkretne recepty? To praca domowa, której nie odrobi za nas żaden autorytet, polityk, ksiądz czy felietonista. Wokół mnie, wokół ciebie ma dziś być jaśniej, nie ciemniej. Ludzie mają być nie tyle mądrzejsi (z tym można sprawdzić się w szkole czy na uczelni), ale bardziej szczeliwi. Ciśnienie, przemoc (również ta symboliczna) rządzi? Na granicy mojej działki stawiam tablicę: „Strefa zdekontaminowana”. Kiedy zobaczysz drugiego takiego jak ty (słynna biznesowa zasada głosząca, że najważniejszy dla autora innowacji jest pierwszy, który poza nim w nią uwierzy), może się okazać, że w społeczeństwie, któremu powiedziano: „i tak nic nie możesz zrobić, więc zostawcie to nam, wy po prostu budujcie swój osobisty dobrobyt pieniądzem, które wam rozdamy” – znowu zacznie kiełkować coś, za czym chyba większość z nas na tej pustyni tęskni bardziej niż za wodą. Wspólnota. ©



POMIĘDZY MOSKWĄ I PEKINEM

„Strategiczne partnerstwo nowej ery” ogłosili
w minionym tygodniu Władimir Putin i Xi Jinping.
Czy Zachodowi grozi sojusz rosyjsko-chiński?

MARCIN KACZMARSKI Z GLASGOW



CHRIS J. RATCLIFFE / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Na Międzynarodowym Forum Ekonomicznym w Sankt Petersburgu, 6 czerwca 2019 r.

GOTOWANIE STAŁO SIĘ CZĘŚCIĄ TELEWIZyjnego spektaklu. Program BBC „The Great British Bake Off” bił rekordy popularności. Książki kucharskie Jamiego Olivera czy Nigelli Lawson zagościły w domach na całym świecie i Polska nie jest pod tym względem wyjątkiem.

O ile jednak przyzwyczailiśmy się do zaangażowania w projekty kulinarne gwiazd filmu, tańca czy estrady, o tyle widok polityków przygotowujących oryginalne potrawy wciąż jest rzadkością. Na tym tle szczególnie wyróżniło się wspólne smażenie naleśników, jakiego podjęli się jesienią zeszłego roku przywódcy Rosji i Chin, Władimir Putin i Xi Jinping.

Rosyjski prezydent wiodł prym w tym przedsięwzięciu: udzielał cennych rad swojemu partnerowi i chwalił jego umiejętności przygotowywania blin. Obaj liderzy ukoronowali swoje próby kulinarne wypiciem po kieliszku rosyjskiej wódki (na marginesie należy zauważyć, że był to drugi raz, kiedy Putin gościł chińskiego przywódcę mocnym alkoholem).

Wspólne gotowanie to tylko jeden z dziesiątków sygnałów, które Putin i Xi wysyłają zarówno do obywateli swoich państw, jak też do świata zewnętrznego. Przesłanie brzmi: stosunki rosyjsko-chińskie są dziś najlepsze od dziesięcioleci.

Chińczycy na „Wostok-2018”

W trakcie ostatniej wizyty w Moskwie, na początku czerwca, chiński lider nie tylko otrzymał doktorat *honoris causa* Petersburskiego Uniwersytetu (Putin posiada analogiczny, z Uniwersytetu Tsinghua w Pekinie), ale wspólnie z rosyjskim kolegą otworzył pawilon dla pand w moskiewskim ogrodzie zoologicznym.

Pandy, podarowane (a właściwie wypożyczone) na okres 15 lat, są od lat narzędziem pekińskiej dyplomacji – jako zwierzątka niegroźne i sympatyczne, mają symbolizować łagodną siłę Chin. „Strategiczne partnerstwo” zostało podniesione do rangi „strategicznego partnerstwa nowojery”, tj. ery Xi Jinpinga.

Z punktu widzenia analityków sygnałem poważniejszym niż ostentacyjnie przyjacielskie relacje między liderami – i to sygnałem już ostrzegawczym – stał się udział trzech tysięcy chińskich żołnierzy w ćwiczeniach „Wostok-2018”, największych manewrach wojskowych w historii Federacji Rosyjskiej. Był to jeden z długiego szeregu przejawów bliskich stosunków rosyjsko-chińskich, jakie można zaobserwować od czasu aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r. i towarzyszącemu temu ostracyzmowi wobec Moskwy ze strony państw zachodnich.

Nie powinno nas zatem dziwić, że zarówno eksperci, jak też – w rosnącym stopniu – politycy na Zachodzie zaczynają coraz poważniej traktować możliwość wyłonienia się sojuszu między Moskwą i Pekinem.

Zaczęło się przed dekadą

Jednak bliskie stosunki między Moskwą i Pekinem nie zaczęły się od aneksji Krymu. Paradoksalnie agresywna polityka Kremla mogła wykoleić dobrze roz-

wijające się relacje. W Pekinie nie spodobało się ani podważenie integralności terytorialnej Ukrainy, ani przeprowadzenie referendum w kwestii przynależności ukraińskich regionów – Krymu i Donbasu. Chińska partia komunistyczna obsesyjnie wręcz obawia się separatyzmu w zachodnich prowincjach Tybetu i Xinjiangu (etnicznie niechińskich) oraz odmawia prawa do decydowania o sobie mieszkańcom Tajwanu, uznawanego za zbudowaną prowincję.

Nie wiadomo, jak Pekin zareagowałby na rosyjską agresję wobec Ukrainy, gdyby nie silne przekonanie, że to państwa zachodnie stały za rewolucją godności na kijowskim Majdanie, i że odpowiedź Moskwy – nawet jeśli nieproporcjonalna – jest właściwa.

Przełomowym punktem w rozwoju współpracy rosyjsko-chińskiej był natomiast – wcześniejszy o kilka lat – globalny kryzys gospodarczy, który zaczął się w 2008 r. Wówczas to okazało się, że Chiny jako jedyne zdołały oprzeć się recesji. Rosja, mimo iż kilka miesięcy wcześniej postrzegana była jako wyspa stabilności, wpadła w większy gospodarczy dołek niż większość krajów zachodnich.

Wówczas też ruszył z miejsca hamowany od lat projekt budowy ropociągu z Rosji do Chin, obficie podlany chińskimi pożyczkami dla rosyjskich koncernów-gigantów – Rosneft i Transneft. W efekcie ekonomiczna asymetria między Rosją i Chinami zaczęła narastać w gigantycznym tempie. „Starszy brat” z czasów komunizmu szybko zmienił się w „młodszego partnera”.

Pochopna interpretacja

Wówczas jednak w świecie zachodnim dominowała jeszcze interpretacja, że zbliżenie między oboma państwami należy oceniać w kategoriach „małżeństwa z rozsądku”; teza ta została spopularyzowana przez Bobo Lo, australijskiego dyplomata i analityka.

Według tej wykładni „strategiczne partnerstwo” Rosji i Chin miało być oportunistyczne, krótkoterminowe i taktyczne. Obu stronom miało zależeć na tym, aby zwrócić na siebie uwagę Waszyngtonu i każda z nich była gotowa szybko porzucić drugą na rzecz lepszych relacji ze Stanami Zjednoczonymi.

Takie oceny miały swoje uzasadnienie. Jeszcze w 2001 r. Putin – dopiero od roku prezydent Rosji – pokazał, że relacje ➔

→ z chińskimi towarzyszami traktuje instrumentalnie. Kilka miesięcy po podpisaniu traktatu o dobrym sąsiedztwie z ChRL porzucił ideę wspólnego z Pekinem frontu antyamerykańskiego na rzecz budowania partnerstwa z USA po atakach terrorystycznych z 11 września 2001 r.

Zachodni obserwatorzy pamiętali też, że „odwieczny” sojusz między Związkiem Sowieckim i Chinami z trudem przetrwał pierwszą dekadę istnienia Chińskiej Republiki Ludowej, powstałej w 1949 r. (pod koniec drugiej dekady, w 1969 r., chłodna rywalizacja doprowadziła nawet do krótkotrwałej wojny granicznej nad Ussuri) – i nie chcieli powtórzyć błędu sprzed lat. Brak zaufania, nieznajomość drugiej strony, a nawet poczucie wyższości i rasizm uzasadniały sceptycyzm wobec zbliżenia Moskwy i Pekinu.

Element skorumpowanego systemu

Jednak relacje Rosji z Chinami po roku 2008 – choć w istocie coraz bardziej przyjazne – przedstawiały nieco bardziej złożony obraz. Nie można było ich sprowadzić do geopolitycznej rozgrywki skierowanej przeciwko dominacji amerykańskiej.

Uwarunkowania wewnętrzne w obu krajach coraz bardziej sprzyjały współpracy, nawet jeśli miała ona nierówny charakter z uwagi na rosnącą przewagę Chin. Rosyjscy liderzy nie musieli obawiać się, że rosnące w siłę Chiny – inaczej niż Zachód – będą chciały podważyć legitymację putinowskiego reżimu. Im bardziej Kreml zaostrzał kurs na arenie wewnętrznej, tym mniejsze znaczenie miała rosnąca asymetria rosyjsko-chińska. Liczyło się, że reżim chiński nie zechce rozprzestrzeniać demokracji.

Co więcej, w Rosji narastała liczba beneficjentów bliskich związków z południowym sąsiadem. Listę otwierał Igor Sieczin, nieoficjalny kurator przemysłu naftowego i zausznik Putina. Nawet jeśli kontrakty zawierane przez nadzorowaną przezeń firmę Rosneft nie przynosiły natychmiastowych korzyści, to owocowały wielomiliardowymi przedpłatami. Z kolei po roku 2014 w gronie beneficjentów znalazły się firmy prywatne, należące do ludzi zaprzyjaźnionych z Kremlem – jak zajmujący się wydobywaniem gazu LNG Novatek, który otrzymał miliardowe pożyczki z banków chińskich (choć były one ostrożne w inwestowaniu w Rosji, z uwagi na zachodnie sankcje).

Tym samym współpraca Rosji z Chinami wyszła poza płaszczyznę strategii i wielkiej polityki, stając się elementem skorumpowanego systemu polityczno-ekonomicznego i źródłem dochodów dla relatywnie niewielkiego grona rządzących.

Przeszkody dla sojuszu

Rosnąca liczba powiązań między elitami obu krajów nie oznacza bynajmniej automatycznego otwarcia drogi do sojuszu.

Pierwszą przeszkodą jest – mimo wszystko – wstrzemięźliwość w popieraniu agresywnych posunięć drugiej strony. Oba państwa coraz śmielej podważają fundamenty liberalnego porządku międzynarodowego i ograniczają przewagę Stanów Zjednoczonych. Do najbardziej widocznych przykładów należą rosyjska aneksja Krymu i chińska budowa zmilitaryzowanych sztucznych wysp na Morzu Południowochińskim, pociągające za sobą faktyczną zmianę granic.

Jednak w tych właśnie przypadkach widoczne są jak na dłoni ograniczenia współpracy między Moskwą i Pekinem. Choć oba państwa nie muszą się obawiać, że jedno wbije drugiemu nóż w plecy, stając po stronie Zachodu, to żadne z nich nie zamierza popierać agresywnych posunięć partnera. Jeszcze w 2008 r. stanowisko Chin spowodowało, że żadne z państw po-sowieckich nie uznało niepodległości Abchazji i Osetii Południowej, odebranych Gruzji. Chiny stoją też na stanowisku, że konieczne jest utrzymanie integralności terytorialnej Ukrainy – choć zarazem stwierdziły, iż Rosja miała „historyczne prawa” do Krymu.

Moskwa z kolei opowiada się przeciwko umiędzynarodowieniu sporów o granice na Morzu Południowochińskim, co jest zgodne z oczekiwaniami Pekinu, ale równocześnie zacieśnia współpracę z Wietnamem, który jest skonfliktowany z Chinami (współpraca obejmuje także sprzedaż zaawansowanego technologicznego rosyjskiego uzbrojenia).

Różnice, obawy, ryzyka

Rosję i Chiny łączy niechęć do wielu cech liberalno-demokratycznego ładu międzynarodowego. Elitom obu krajów nie podobają się idea poszanowania praw człowieka, a model demokracji uważają za zdyskredytowany. Natomiast Moskwa i Pekin różnią się w kwestii tego, co mia-



łyby zastąpić zachodni porządek międzynarodowy.

Aby utrzymać swój eksport, który odgrywa istotną rolę w ich bilansie ekonomicznym, Chiny potrzebują gospodarczej globalizacji i otwartych rynków. Tymczasem populizm i towarzysząca mu często ksenofobia mogą zostać szybko wycelowane zarówno w chińską gospodarkę, jak też w miliony chińskich emigrantów w świecie. Natomiast dla Kremla rozprzestrzeniające się nastroje antyglobalizacyjne i populistyczne to okazja do zwiększenia swoich wpływów. Innymi słowy, Rosja postrzega globalny chaos jako szansę, podczas gdy Chiny potrzebują przynajmniej minimalnej stabilizacji dla ekspansji gospodarczej.

Kolejną przeszkodą dla trwałego sojuszu jest obawa Rosji, że zostanie zwasalizowana przez rosnące w siłę Chiny. W przypadku zawarcia oficjalnego paktu Rosja musiałaby stanąć po stronie Pekinu w narastającym sporze chińsko-amerykańskim. Z kolei w Chinach istnieją obawy, czy Rosja jest państwem przewidywalnym. Pekin obawia się, że gdyby oba kraje były związane traktatem sojuszniczym,



BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Rosję i Chiny łączy niechęć do wielu cech liberalnego ładu międzynarodowego, **takich jak idee praw człowieka i demokracji.**

Jednak Moskwa i Pekin różnią się w kwestii tego, co miałyby zastąpić zachodni porządek.

Rosyjskie matryoszki z wizerunkami Putina oraz Xi Jinpinga na stoisku przed Międzynarodowym Forum Ekonomicznym w Sankt Petersburgu, 5 czerwca 2019 r.

musiałby popierać ryzykowne posunięcia Putina wobec Zachodu. Choć więc po obu stronach granicznej rzeki Amur coraz częściej pojawiają się głosy opowiadające się za sojuszem – trwałym i sformalizowanym, być może nawet na wzór NATO – to wciąż pozostają one w mniejszości.

Nawet wyłaniający się dziś w Stanach antychiński konsensus – coraz silniejsze przekonanie w amerykańskich elitach politycznych, że Chiny to wróg USA – może okazać się niewystarczającym spoiwem dla rosyjsko-chińskiego sojuszu. Rosja – nawet przy jej maksymalnie dobrej woli – nie będzie w stanie zrekompensować Chinom strat wynikających z napięć z USA i Europą. Rosja nie może bowiem zaofiarować Chinom dostatecznie dużego rynku, miejsca dla inwestycji czy najnowszych technologii.

Nawet jeśli podczas ostatniej wizyty Xi Jinpinga w Moskwie chiński gigant telekomunikacyjny Huawei został dopuszczony do budowy rosyjskiej infrastruktury 5G, nie zapewni mu to przetrwania, jeśli amerykańskie sankcje odetną go od aplikacji Google'a. Wspólny rosyjsko-chiński samolot szerokokadłubowy po-

zostaje na deskach kreślarskich i nie jest realną konkurencją dla duopolu Airbusa i Boeinga.

Nie można spać spokojnie

Czy wciąż odległa perspektywa trwałego sojuszu rosyjsko-chińskiego oznacza zatem, że możemy – jako Zachód – spać spokojnie? Niezupełnie. Głównym zagrożeniem dla Zachodu nie jest bowiem wciąż hipotetyczny sojusz rosyjsko-chiński, lecz równoległy charakter działań obu mocarstw. Nawet jeśli Moskwa i Pekin nie koordynują swoich działań, wywierają one podwójną presję na te państwa zachodnie, które chciałyby utrzymania liberalnego porządku w skali globalnej.

Moskwa uprawia wersję XIX-wiecznej „dyplomacji kanonierek”, tyle że w realiach XXI wieku. Interwencje wojskowe na Ukrainie i w Syrii okazały się relatywnie tanie dla rosyjskiego przywództwa. Ingerencja w amerykańskie wybory w 2016 r. zaowocowała wprowadzeniem antyrosyjskiego frontu w obu izbach Kongresu, ale mogła przyczynić się do wyboru Donalda Trumpa, który podważa liberalny porządek światowy lepiej,

niz mogłaby to zrobić Rosja. Narastające rosyjskie zaangażowanie – polityczne, gospodarcze i militarne – w Afryce i Ameryce Łacińskiej tworzy wrażenie nowej globalnej obecności Moskwy, jednak jest osiągnięte niskim kosztem.

Tymczasem Chiny stopniowo budują alternatywny ład. Przy pomocy narzędzi ekonomicznych – od pożyczek przez pomoc rozwojową po korupcję polityczną – rozszerzają swoje wpływy w świecie. Książeczka czekowa zastępuje kanonierki. Do tego dochodzą tworzone przez Chiny nowe instytucje międzynarodowe – takie jak Azjatycki Bank Inwestycji Infrastrukturalnych (AIIB), do którego państwa europejskie dołączyły, mimo sprzeciwu USA, jeszcze za prezydentury Baracka Obamy. „Inicjatywa Pasa i Szlaku” – mimo że stała się tak wszechogarniająca, że można by utożsamiać ją z chińską polityką zagraniczną – dzieli zarówno Zachód, jak i Unię Europejską oraz jej poszczególnych członków.

Nie popadajmy w skrajności

Z jednej strony państwa zachodnie nie mogą dać się oczarować bliskim relacjom rosyjsko-chińskim i popaść w skrajności: lekceważenie zagrożenia albo, na drugim biegunie, strach przed (nieistniejącym jeszcze) sojuszem. Warto dostrzegać ograniczenia we współpracy rosyjsko-chińskiej oraz rosnącą asymetrię potencjałów obu państw.

Z drugiej strony zachodni obserwatorzy nie powinni łudzić się nadzieją, że Rosja i Chiny są sobie obce cywilizacyjnie i na pewno pokłócą się przy najbliższej okazji. Moskwa pokazała, że potrafi zaadaptować się do renesansu potęgi Chin i umie pogodzić się z chińską przewagą na poszczególnych kierunkach. Z kolei Pekin zademonstrował, że potrafi samoograniczać swoje poczucie przewagi i wykazuje się powściągliwością, jeśli idzie o relacje z Rosją.

Nawet jeśli oba kraje pozostają więc dalekie od formalnego sojuszu, warto mieć na uwadze, że ich współpraca jest bardziej trwała, niż większość z nas by tego sobie życzyła.

© MARCIN KACZMARSKI

Autor jest wykładowcą na Uniwersytecie w Glasgow, specjalizuje się w problematyce międzynarodowej, zwłaszcza chińskiej i azjatyckiej; w latach 2014-18 kierował programem chińskim w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

Rdzewiejąca Ameryka

CHARLIE LEDUFF, DZIENNIKARZ I AUTOR KSIĄŻEK O KONDYCJI USA:

Nie głosowałem na Trumpa. Ale muszę przyznać, że do czasów Trumpa nikt nie zwerbalizował problemów, z którymi ludzie się borykają od dwóch dekad. On powiedział to, co ludzie czuli.

JAN SMOLEŃSKI: Fajne masz buty – kowbojki z amerykańską flagą.

CHARLIE LEDUFF: To moja trzecia para. Pierwsze zrobiła mi żona na 40. urodziny. Były piękne, czerwono-biało-niebieskie, ręcznie malowane. Te, które noszę teraz, ktoś mi kupił po tym, jak poprzednie sprzedałem na aukcji charytatywnej. Poszły za 3 tys. dolarów, to trochę hajsu jest! To taka historia: po tym, jak Detroit zbankrutowało, sposobem na wyjście z dołka było cięcie pensji, ubezpieczeń zdrowotnych i emerytur policjantom, strażakom i sanitariuszom. Zorganizowaliśmy więc imprezę ze zbiórką pieniędzy. Byłem pijany, krzyknąłem, że zlicytuję swoje buty. A tę nową parę, którą noszę, wyprodukowano w Meksyku. Tak jak wszystko inne, bo nikt już nic nie produkuje w Stanach.

Deindustrializacja mocno uderzyła w Twoje rodzinne Detroit. Obraz, który wyłania się z Twojej książki o tym mieście, jest przynębiający.

Nic, k..., nie mów. Bieda, degradacja środowiska, przemoc, brak pieniędzy na edukację dzieci, bezrobocie. Ludzie potrzebują dobrej pracy. W zasadzie jakiegokolwiek pracy, dzięki której będą mogły się utrzymać rodziny. To nie zbieg okoliczności, że przemoc czy analfabetyzm szybują, gdy znika praca. Potrzebujemy pracy, żeby mieć poczucie własnej wartości. I oczywiście brak pracy rodzi resentyment, nie tylko w USA. Dlaczego mamy tylu Trumpów na świecie? Dlaczego w tym samym czasie? Czemuż to, ach, czemuż? Mówią, że gospodarka ma się dobrze... Gówno prawda.

Podtytuł Twojej książki to „Sekcja zwłok Ameryki”. Co jest uniwersalne-gio w historii Detroit?

My w Detroit byliśmy pierwsi – i wtedy, gdy było dobrze, i kiedy zaczęło się robić źle. Niegdyś Detroit było motorem amerykańskiego bogactwa. To było najbogatsze

miasto Stanów, licząc na głowę. Trzecie największe miasto w kraju. W Detroit więcej ludzi było właścicielami domów, w których mieszkało, niż gdziekolwiek w USA. Spójrz, jak teraz to wygląda.

Całe kwartały opustoszały, ludzie się wyprowadzili. Ale gdy chodzisz po Manhattanie, to tam nowe wieżowce rosną na lewo i prawo.

Jak chodzę po Los Angeles, to widzę chaty dla hipsterów. A jak chodzę po Miami, to widzę ogromne budynki mieszkalne. Ale tam nikt nie mieszka.

W Nowym Jorku też jest coraz więcej pustych mieszkań.

Detroit przeciera szlaki w jeszcze jeden sposób. Otóż ktoś wpadł na pomysł, że jeśli damy kasę milionerom po to, żeby postawili budynki w środku miasta, to nagle w magiczny sposób wszyscy znów będziemy mieć pracę. To nie ma sensu! Usługi opiekuńcze? Podawanie kawy? Z tego nie ma ani pieniędzy, ani ubezpieczenia zdrowotnego. Jest coś fałszywego w pieniądzach, które teraz zarabiamy – albo raczej, które zarabiają niektórzy z nas – bo nie opierają się one na żadnej produkcji. Zamieniliśmy się w gospodarkę usługową, wykombinowaliśmy, jak majstrować przy rynkach finansowych. Ale to nie jest nic trwałego.

Co masz na myśli?

Jeśli spojrzysz na zarobki i pominiesz 10 proc. najlepiej zarabiających, okaże się, że pozostałe 90 proc. ludzi w ostatnich 20 latach nie widziało podwyżki na oczy. Nie mają dobrego ubezpieczenia zdrowotnego, żyją na kredyt. Nie kupują rzeczy. A jednak zyski korporacji są najwyższe w historii.

Amerykański sen się skończył?

A czy on kiedykolwiek był rzeczywistością?



A nie był po II wojnie światowej?

Wtedy nasze fabryki były obstawione pracownikami i gotowe do produkcji. Budziłeś się rano, szedłeś do pracy, a wieczorem zasypiałeś wiedząc, że jutro będzie jeszcze lepiej. Nie mieliśmy żadnej konkurencji na świecie. Ale nasz złoty wiek trwał raptem kilka dekad. Teraz tych fabryk już nie ma. To zupełnie inna era.

Amerykański sen zawsze był mitem. Ale kiedyś ludzie mieli przynajmniej poczucie, że następne pokolenie będzie miało lepiej niż oni sami. To się skończyło, bo dobrze płatna praca w fabrykach się skończyła. Czy wróci? Czarno to widzę. Dlatego ludzie stają się wredni.

Dlatego stan Michigan głosował na Trumpa?

Zwycięstwo w Michigan zapewнили Trumpowi biali robotnicy z hrabstwa Ma-



Detroit, dawniej symbol potęgi amerykańskiego przemysłu, 2014 r.

comb. Tam wcześniej wygrał Reagan. Dlatego raz na 20 lat socjologowie sobie o nich przypominają i z notesikami chodzą, pytając, dlaczego robotnicy głosowali na konserwatystów.

Ale oni nie głosowali na Trumpa z powodów, które im przypisują elity medialne.

A jakie to niby powody?

Że my, „rednecki” [slangowe określenie biednych białych farmerów; dziś oznacza w ogóle osoby biedne i niewykształcone – red.] i robole z Detroit, jesteśmy na tyle tępi, by wierzyć, że te wszystkie wprowadzone do Meksyku miejsca pracy wrócą do USA.

Nie wrócą, to oczywiste. Niedawno usłyszałem, że Trump mobilizuje konflikty rasowe.

Niektórzy głosowali na niego z tego powodu.

Ale inni gotowi byli przymknąć na to oko. Co ich obchodzi mur! [na granicy z Meksykiem – red.].

To dlaczego na niego głosowali?

Mamy jeszcze kilka fabryk, które nie zostały przeniesione do Meksyku. Może przynajmniej one nie znikną? Dlatego na niego głosowali: żeby zatrzymać to, co jeszcze im zostało.

Ale lęk wywołany sytuacją gospodarczą nie był jedynym powodem.

Nie głosowałem ani na Trumpa, ani na Hillary Clinton. Ale muszę przyznać, że aż do czasów Trumpa nikt nie zwerbalizował problemów, z którymi ludzie się borykają od dwóch dekad. Jeśli potrzebujesz porównania, to pomyśl o ludziach z ma-

łych miejscowości w Polsce – kto z nimi rozmawia?

Trudno nie zauważyć mizoginii wobec Clinton.

Ale tam była niechęć do całej klasy, którą Clinton reprezentowała. Pamiętaj, że nie tylko Trump wygrał w Pasie Rdzy [północno-wschodnia część USA, kiedyś ostoja przemysłu ciężkiego, dziś dotknięta deindustrializacją – red.]. Wcześniej wygrał tam Obama. Oni startowali przeciw tej samej osobie – przeciw Hillary – i mówili podobne rzeczy. Oczywiście innym językiem. Ale to, co wyborcy w Michigan usłyszeli, to potępienie skorumpowanego establishmentu: że to Clintonowie są odpowiedzialni za ich los, że Clintonowie byli za wojną w Iraku, że Bill Clinton doprowadził do deregulacji systemu bankowego...

→ ...i że zreformował system opieki społecznej tak, że wielu straciło zasiłki.

...i że czarnych mężczyzn wsadził do więzienia, i że podpisał NAFTA [umowa o wolnym handlu między USA, Meksykiem i Kanadą, którą Trump rewiduje – red.]. Hillary Clinton olała Pas Rdzy. Nie pojechała tam, nie rozmawiała z ludźmi o ich życiu, tylko nazwała ich godną pożałowania bandą. No i nie pomogło jej, że elity medialne z mainstreamu ją lubiły. Zwykli ludzie nie lubią mediów. I słusznie, bo media wielu rzeczy kompletnie nie zauważyły. Skoro te wszystkie gadające głowy są takie mądre, to jakim cudem Kaczyński i Trump pierwsi wykombinowali, jak dotrzeć do wyborców?

Tvoja książka „Shitshow” o funkcjonowaniu mediów w USA nie zostawia złudzeń: brakuje w nich analiz i reportaży, jeszcze mniej jest prób zrozumienia, o co chodzi. Naprawdę jest tak źle? To problem z indywidualnymi dziennikarzami czy systemowy?

Naprawdę jest tak źle. Po wygranej Trumpa wielu dziennikarzy uznało, że muszą bardziej się angażować. Ale nic takiego się nie stało. Na konferencjach prasowych grają w „Candy Crush” [darmowa gra na komórkę – red.], zatweetują coś, zadadzą pytanie od czapy i myślą, że ich praca jest skończona. A potem siedzą w studiu i gadają sami ze sobą, jakby walka się toczyła o to, który zajmie lepsze miejsce na kolacji dla ważniaków.

A nie chodzi o prezentowanie różnych poglądów?

Znasz określenie *circle jerk*? Kiedyś ekran był podzielony na dwie części. Teraz masz tych boksów osiem. To kołko wzajemnej masturbacji. Słuchaj, któregoś razu jestem gościem w Fox News [konserwatywna telewizja popierająca Trumpa – red.] i gadamy o tym, że milenials są za grubi, by służyć w wojsku. Okej, mogę o tym gadać, w końcu jestem z rodziny wojskowych. Ale potem pomyślałem sobie, czemu nie zaprosili takiego Tommiego, kumpla, z którym byłem w Iraku? Dlaczego nie pytają go, jak się czuliśmy, gdy okazało się, że nie było broni masowego rażenia, jak się czuliśmy, gdy nagle zmieniono cel misji, i co to robi facetowi z głową, jeśli musi tam pojechać na trzy zimy? Chciałbym widzieć więcej materiałów tego rodzaju, a nie dyskusji o grubych mileniach. Wtedy jako dzienni-

Trump po prostu
zwerbalizował to wszystko,
**czego boją się zwykli
Amerykanie.**

Krytykował nawet
republikański establishment.
Powiedział to, co ludzie czuli!
I mówił to normalnie,
jak człowiek.

karze lepiej byśmy się przysłużyli społeczeństwu. Bo normalni ludzie zaczynają nas nienawidzić.

Przy raporcie Muellera media też zawiodły? Kiedyś powiedziałeś, że raport to pic.
Dalej tak uważam.

Nie zgadzam się. Było mnóstwo powodów, by pisać o tym, od zachowania Trumpa wobec śledztwa i jego kłamstw po zachowanie prokuratora generalnego Williama Barra, gdy raport Muellera ujrzał światło dzienne.

Żebyśmy się dobrze zrozumieli. Dobrze wiemy, że przydupasy w sztabie Trumpa mieli kontakty z Rosjanami i to było nikczemne. Słusznie, że w tej sprawie prowadzono śledztwo. Nie ma wątpliwości, że ten dupek kłamał i najpewniej utrudniał działanie wymiaru sprawiedliwości. Przy najmniej tak mi to wygląda. Ale Trump utrudniał śledztwo w sprawie przestępstwa, którego nie popełnił! Wszyscy wiedzieliśmy od początku, że bez zdjęcia Putina i Trumpa w łóżku to śledztwo prowadzi donikąd. To był pieprzony cyrk! W efekcie osłabiliśmy nasze instytucje, prezydent osłabił swój urząd, a media osłabiły same siebie. A my wciąż mamy tylko ogólniki, wciąż tylko gadamy i nic się nie zmienia.

Jeśli prezydent utrudniał śledztwo, to nie powinien zostać usunięty z urzędu?

Demokraci nie powinni do tego dążyć. Nie powinni przez to przeciągać całego kraju. Niech lepiej powiedzą, jaką mają wizję. Chyba już 25 z nich ogłosiło, że chcą się ubiegać o urząd prezydenta, ale

nikt nie wie, o co tej partii chodzi. Czy są socjalistami, jak Alexandria Ocasio-Cortez? Ona nawet w Dakocie Północnej nie była. Czy są partią ludzi pracujących? Partią hollywoodzkich elit? Partią – jak wy to nazywacie – ciepłej wody w kranie?

Bernie Sanders zyskał wiele głosów w Pasie Rdzy. Niektórzy mówią, że wygrałby z Trumpem w 2016 r., gdyby miał nominację. Teraz też startuje, ma klarowny program.

Bernie jest zbyt socjalistyczny. Krzyczy: miliarderzy to, miliarderzy tamto. Ale którzy dokładnie? Darmowy college? „Rednecki” i robole mają swój rozum. Bo jak to niby chcemy zrobić, skoro tu w Detroit mamy problem z pierwszymi klasami podstawówek?

Czytając „Shitshow” miałem wrażenie, że masz problem z tym, jak w USA traktuje się biednych białych.

Żeby była jasność: czarni mają w Stanach przerażane. Jak powiedział mi jeden gość z Ferguson, gdzie były zamieszki po tym, jak policjanci zastrzelili nastolatka: jeśli czterech czarnych facetów jedzie autem, to przynajmniej jeden skończy na dołku. Mają przesrane. Ale moja frustracja wynika z tego, że po wygranej Trumpa nagle wszyscy zaczęli się pochylać nad biednymi białymi z klasy pracującej.

Czemu to Cię tak wkurza?

Bo ci wszyscy nowi przyjaciele zawsze mieli ich w dupie. Dopiero po tym, jak Pas Rdzy dał Trumpowi zwycięstwo, wszyscy się zorientowali, ilu ich jest. A wcześniej to wszystko, cholera, przeoczyli. I wiesz co? Policjanci strzelają też do białych. Tylko jeśli zabiją białego gościa, to wszyscy uważają, że musiał sobie zasłużyć. Tak, masz coś takiego, jak przywilej białej skóry. Ale czy osiągniemy dobre społeczeństwo, jeśli biały gość będzie miał tak samo przerażane jak czarny? To chore.

Konserwatywne media pewnie by powiedziały, że im zawsze na sercu leżał los tej grupy ludzi.

Tak? To dlaczego przepchnęliśmy obniżki podatków, które będą korzystne tylko dla najbogatszych? Coś o tym mówili?

Ty rozmawiałeś z biednymi białymi, zanim to było modne. Co spędza im sen z powiek?

Praca – jeśli ją mają. Czy starczy mi do pierwszego? Co z moimi świadczeniami? Raz gadałem z gościem z fabryki samochodów. Pokazał mi swoje zęby: wszystkie przegniłe.

Teoretycznie miał ubezpieczenie stomatologiczne, ale ze współpłaceniem. Mówi mi: „Miałem iść do dentysty, ale dzieciak się rozchorował i musiałem wybierać”. On pewnie myślał też o tym, z czego jeszcze musi zrezygnować, by zabrać dzieciaka do lekarza... Ludzie boją się o przyszłość, bo czasy, gdy jutro miało być lepsze niż dzisiaj, minęły. Czy spłacimy kredyt na dom? Czy zamkną fabrykę? Jak to miejsce, gdzie mieszkam, będzie wyglądać za 20 lat? Uczono nas, jako coś oczywistego, że nasze dzieci będą miały lepiej niż my. Dziś ludzie już tego nie czują. I boją się o swoje dzieci.

Jakim cudem Trump zyskał poparcie takich ludzi?

On po prostu zwerbalizował to wszystko. Krytykował nawet republikański establishment, krytykował Busha za wojnę w Iraku. Powiedział, że Chiny nas dymają – i naprawdę nas dymają. Cholera, on powiedział to, co ludzie czuli! I mówił to normalnie, jak człowiek. No i kpił z oponentów – Mały Marco, Kłamiwy Ted – a oni nie wiedzieli, jak reagować, bo byli zbyt ułożeni. Wiesz, czym jest kampania prezydencka? Najgorszym *reality show* pod słońcem. Ten gość przynajmniej się na tym zna.

Obiecał też lepszą opiekę zdrowotną i pracę. Ale jedyne, co udało się wprowadzić, to wspomniane obniżki podatków dla bogatych. Mimo to wielu wciąż go popiera.

Bo przynajmniej nie jest gorzej, niż było – to trzyma ludzi przy nim. A przy okazji może opowiadać o konflikcie z Chinami i Meksykiem, o staraniach o zbudowanie muru...

Alle negocjacje z Koreą Północną okazały się fiaskiem...

...nowa NAFTA nie przyniesie aż takich korzyści, a Chińczycy najpewniej nie ustąpią na tyle, aby to było realne zwycięstwo. Ale Trump może mówić, że przynajmniej się stara. No i może mówić, że śledztwo FBI to było polowanie na czarownice, dzięki któremu liberałowie chcieli odebrać wyborcom Trumpa ich zwycięstwo. To działa.



EMPIK / FESTIVAL APOSTROF

CHARLIE LEDUFF (ur. 1966) jest amerykańskim dziennikarzem. Zanim został znaną osobowością medialną, pracował w różnych zawodach, np. jako cieśla w Michigan i w fabryce konserw na Alasce. Był reporterem „New York Times”, „Los Angeles Times” i „Detroit News”. Autor książek „Detroit. Sekcja zwłok Ameryki” i „Shitshow! Ameryka się sypie, a oglądalność szybuje” (w Polsce obie książki ukazały się nakładem Czarnego). Mieszka w Detroit.

Partia Republikańska stoi murem za Trumpem. Nawet tacy dawni krytycy jak senator Lindsey Graham teraz są jego zagorzałymi zwolennikami.

Stoją za nim, bo się zorientowali, że go potrzebują. Jeden kongresmen z Michigan skrytykował Trumpa mówiąc, że jego działania kwalifikują się do impeachmentu. Wszyscy miliarderzy z Michigan, którzy go wspierali przez lata, nagle się odwrócili. Jeśli zdradzisz partię, to partia cię zdejmie. To jest maszyna.

Demokraci mają szansę w 2020 r.?

Będą musieli przejąć część postulatów Trumpa. Lubię myśleć o polityce amerykańskiej jak o pięciu kropkach na kostce do gry. Na górze elity, na dole biedni. Po prawej – prawica, po lewej – lewica. Środkowa kropka to klasa średnia. Republikańska strategia polega na tym, by zgarnąć prawą górną kropkę, czyli konserwatywne elity, część klasy średniej i prawą dolną kropkę, czyli biednych białych.

Demokraci walczą o liberalne elity, część klasy średniej i lewą dolną kropkę, czyli biedne mniejszości: Afroamerykanów, Latynosów itd. Widzisz ten klin dzielący biednych białych i biedne mniejszości? On jest tam nie przez przypadek. Kluczem jest połączenie biednych – białych i niebiałych – oraz klasy średniej. Ten trójkąt przynajmniej ma jakąś stabilną podstawę i są to najliczniejsze grupy.

Ale jeśli mnie spytasz, który z tych 25 Demokratów uzyska nominację, to odpowiem, że Joe Biden. Był wiceprezydentem za Obamą, jest znany. Inni nie są tak ekscytujący, nie wiemy, kim są, rozważniają się. Joe się wyróżnia, jest poważny. Ale czy zmieni coś w życiu zwykłego człowieka? Nie.

Co należy w takim razie zreformować?

Musieliśmy pozbyć się wpływu pieniędzy na politykę i dziennikarstwo. Bo kasa zabija także dziennikarstwo.

Jak?

Tak jak mnie załatwili. Szef jest oligarchą, więc dostaje telefon od innego kolegi oligarchy, żeby czegoś nie tykać, i potem mówi mi, że nie ma potrzeby drażnić tematu.

Można też inaczej. W Detroit był miliarder, który wyciągnął pieniądze z systemu oświaty. Potem miasto zbudowało mu arenę. Jest jego na 95 lat, żadnego podziału zysków. Zrobiłem o tym materiał dla lokalnej telewizji. Milioner dzwoni do Nowego Jorku, gdzie jest główna siedziba, Nowy Jork dzwoni do działu lokalnego. Mój przełożony powiedział na wizji, że będzie bronił tego materiału, ale ważne jest też to, co zostało w nim pominięte: to, że ten miliarder to wspaniały facet. To były przeprosiny. Wyemitowano je dziewięć razy w ciągu dwóch dni, a mój materiał zniknął z anteny. Swoją drogą, trzy lata później HBO zrobiła o tym materiał i wszyscy byli w szoku.

Wpływ pieniędzy na politykę jest problemem od dawna.

Owszem, ale to wypacza instytucje tak, by służyły nielicznym. Roger Stone wygrał Bushowi wybory, a potem stał się superlobbystą. Za Clintona darczyńcy mogli się przespać w Białym Domu, jeśli za to zapłacili. Symbolem tego, jak oni wszyscy traktują instytucje publiczne, jest to, że wychodząc zabrali ze sobą popielniczki, mydelka i kubki. © Rozmawiał JAN SMOLEŃSKI



DARIUSZ KAŁAN

Sowieckie działo pancerne z II wojny światowej na terenie muzeum na wolnym powietrzu. Svidník, wiosna 2019 r.

Tam, gdzie nic nie ma

DARIUSZ KAŁAN ZE SVIDNÍKA (SŁOWACJA)

Svidník w północno-wschodniej Słowacji to mikrokosmos małomiasteczkowych lęków i zaniechań partii mainstreamowych. Czyli tego wszystkiego, co napędza populistów w Europie Środkowej.

SĄ TAKIE DNI, KIEDY ADRIÁN LACHATA zastanawia się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby nie wyjechał ze Svidníka.

Na pewno nie skończyłby najbardziej prestiżowych studiów technicznych w Czechach. Nie poznałby Zdenka Heřlína, matematyka światowej sławy, o którym teraz pisze książkę. Ale, co najważniejsze, gdyby nie opuścił rodzinnego miasteczka w północno-wschodniej Słowacji, rzut kamieniem od granicy z Polską, nigdy nie uwolniłby się od goryczy, małych żali i resentymen-tów.

– Mieszkańcy Svidníka mają dobre serca – mówi mi Lachata, 32-letni inżynier, który od 11 lat mieszka w czeskiej Pradze. Spotkaliśmy się, kiedy przyjechał do rodzinnego domu, by odwiedzić rodziców. – Tylko że stale czekają na kogoś, kto rozwiąże ich problemy, zamiast samemu coś z nimi zrobić – dodaje.

Jedyny taki powiat

Był późny wieczór, gdy rozmawialiśmy przy kawie nieopodal świeżo wyremontowanego deptaka – i kilka dni po tym,

kiedy okazało się, że powiat Svidník jest jedynym na Słowacji, w którym w pierwszej turze wyborów prezydenckich wygrał prawicowy populistą Štefan Harabin.

W czasie kampanii – zakończonej sensacyjnym zwycięstwem Zuzany Čaputovej, liberalnej prawniczki i aktywistki antykorupcyjnej – Harabin chwalił Władimira Putina i lamentował nad „lewacką rewolucją” Brukseli, która chce zalać Słowację imigrantami z krajów Maghrebu i Bliskiego Wschodu. Zachęcił do siebie 29 proc. wyborców w mieście i 26 proc. w całym powiecie.

– W takich miejscach jak to ludzie zawsze przypisują ci łatkę. Dla wielu zawsze byłem dziwakiem – uśmiecha się Lachata.

Od dzieciństwa walczył z jękaniem i niektórzy sugerowali, żeby dał sobie spokój z gimnazjum. Nie tylko ich nie posłuchał, ale tak się zawziął, że dobre oceny pozwoliły mu wyjechać na studia najpierw do Koszyc, a potem do Pragi. Dziś oprogramowanie dla gabinetów lekarskich, którego jest współautorem, wykorzystuje wiele szpitali w regionie.

W cieniu przeszłości

11-tysięczny Svidník to ciche miasteczko emanujące postindustrialnym urokiem, z centrum pełnym budynków w stylu socjalistycznym. Pełno tu ulic, które wciąż noszą nazwiska znanych postaci sprzed roku 1989, a także miejsc pamięci po żołnierzach Armii Czerwonej.

Zanim w styczniu 1945 r. zajęli oni miasto, jesienią 1944 r. musieli stoczyć krwawą bitwę o pobliską Przełęcz Dukielską – stawką tych walk było przełamanie niemieckiej obrony na linii Karpat i wkroczenie na teren Słowacji, wtedy państwa współpracującego z III Rzeszą. W walkach brał udział także Korpus Czechosłowacki, sformowany u boku Sowietów.

Było dość powodów, by w powojennej Czechosłowacji bitwa ta awansowała do rangi mitu założycielskiego „sowiecko-czechosłowackiego braterstwa broni”. A Svidník, miasto najbliższe Przełęczy Dukielskiej, stało się ważnym ośrodkiem dla podtrzymywania tego mitu.

Niektórzy, jak mieszkańcy bloku przy ulicy Armii Czechosłowackiej 364, muszą tylko wyjrzeć przez okno, żeby nacieszyć się wielką historią: ich podwórko jest pokryte maszynami z czasów II wojny światowej, w tym kilkoma czołgami i jednym samolotem. To muzeum bitwy na wolnym powietrzu.

Trwający 41 lat eksperyment komunizmu zostawił ślad na całej Słowacji. Tutaj, w Svidniku, dotknął zarówno gospodarkę, jak i mentalność ludzi w sposób szczególny. Komuniści nie tylko odbudowywali miasto, niemal całkowicie zniszczone podczas wojny. W powojennej Czechosłowacji Svidník stał się także czołowym producentem żywności i produktów tekstylnych.

Dziś po tamtych czasach nie ma już śladu. 30 lat po upadku komunizmu Svidník jest stolicą jednego z najbiedniejszych regionów w kraju. Fabryki stoją opustoszałe. Największym pracodawcą w mieście jest szpital, zatrudniający 343 osoby. W całym regionie nie ma nawet kilometrów szyn kolejowych, a bezrobocie wynosi 12 proc.

Co roku minus sto

– Konserwatywne przekonania zawsze są silniejsze na prowincji. Ale przyczyną buntu wyborczego mieszkańców Svidníka nie była żadna lewacka rewolucja, lecz gospodarka – mówi mi Marcela Ivan-

čová, była nauczycielka, która w listopadzie 2018 r. wygrała wybory na prezydenta miasta.

Jako kandydatka niezależna Ivančová pokonała urzędującego włodarza, członka partii nacjonalistycznej, udowadniając, że bunt nie musi oznaczać skreślenia prawa.

– Ludzie tęsknią za komunizmem i czują się opuszczeni przez wszystkie rządy demokratyczne. Moje zadanie polega na tym, żeby ich przekonać, że populizm nie jest rozwiązaniem ich problemów – mówi.

Prezydent Ivančová szacuje, że każdego roku Svidník opuszcza około stu osób. Niektórzy, jak inżynier Lachata, uciekają za granicę: do Pragi, Wiednia albo Londynu. Większość przenosi się bliżej – do Koszyc albo stołecznej Bratysławy. Życie w kosmopolitycznych miastach nie czyni z nich liberałów, ani też nie zmienia automatycznie w euroentuzjastów. – Ale wielu uodparnia się na teorie spiskowe à la Harabin i staje się bardziej tolerancyjna wobec obcych, z którymi mają realny kontakt – dodaje Ivančová.

Spacerując po robotniczych dzielnicach Svidníka spotykam tych, którzy nie mieli możliwości albo ochoty wyjeżdżać. Tych, którzy żyją w Svidniku od dekad albo są tak zaabsorbowani pracą na trzech etatach, że nie mieli czasu, żeby w ogóle rozważać emigrację.

Oni też oczekują zmian. Jedyna różnica jest taka, że w wielu innych miejscach twarzą zmiany stała się liberalna Čaputová. A tutaj – Harabin, głos ludzi wypchniętych na boczny tor przez skorumpowane elity.

Żadnych interesów na wschodzie

Na Słowacji już od 11 lat u władzy utrzymuje się socjalno-konserwatywna partia Smer-SD. Jeśli ktoś ponosi odpowiedzialność za niedorozwój Svidníka, to właśnie ona.

Między jej pierwszym zwycięstwem parlamentarnym (2006) a ostatnim (2016) cały wschód Słowacji zanotował tylko nieznaczny wzrost PKB *per capita* – i nadal jest na ostatnim miejscu wśród wszystkich regionów Słowacji. W zeszłym roku Róbert Fico, dziś były już premier i nadal szef Smeru, swój stosunek do tej części kraju określił słynnym bon motem: „Mafia nie ma żadnych interesów na wschodzie, bo nic tam nie ma”.

Fico odpowiedział w ten sposób na oskarżenia, że pod jego okiem wyrosły grupy mafijne żerujące na funduszach unijnych wspierających rolnictwo. Nic dziwnego, że dla mieszkańców Svidníka Unia Europejska, jeśli w ogóle o niej myślała, jest jakimś odległym i sztucznym konceptem.

Pieniądze unijne miały, w założeniu, zredukować różnice między regionami. W praktyce w Europie Środkowej powstały systemy klientelistyczne, z których korzystają związani z władzą biznesmeni. Na Słowacji liczba afer związanych z marnotrawieniem środków była tak duża, że wymyślono nowe słowo: „tunelowanie”. Oznacza wypompowywanie pieniędzy do kieszeni tych lepiej ustawionych.

Dla wschodu Słowacji to zamknięte koło. Nie ma pieniędzy na drogi – w tym na długo oczekiwany odcinek autostrady R4, którego otwarcie przesunięto do 2029 r. – a zatem nie ma inwestorów i nowych miejsc pracy. Nawet kolejne rekordy Słowacji w liczbie produkowanych samochodów nie robią wrażenia na Svidniku, bo wszystkie fabryki ulokowane są na zachodzie kraju.

Każdy zna każdego

Radovan Olejár – właściciel firmy komputerowej i współzałożyciel Smeru w mieście – twierdzi, że przed laty Fico, wówczas młody i zdeterminowany prawnik, wydawał się nadzieją na lepsze. Tak jak dzisiaj dla wielu Čaputová.

– Wkrótce okazało się, że Smer nie ma żadnego interesu we wprowadzaniu realnych zmian – mówi Olejár, który cztery lata temu oddał partyjną legitymację. Z powodu, jak zaznacza, rosnących tendencji autorytarnych kierownictwa.

Mimo to wschód od dawna obdarzał Smer jakimś masochistycznym sentymentem. W kolejnych wyborach partia biła tu rekordy poparcia. Kiedy Fico pięć lat temu kandydował na prezydenta, zagłosowało na niego aż 66 proc. mieszkańców – chociaż w skali kraju przegrał on z niezależnym Andrejem Kiską. Zresztą byłego premiera nadal wspomina się tu dobrze, jako twórcę szczodrej polityki socjalnej. Zakładała m.in. dodatki dla emerytów, bezpłatne obiady w szkołach oraz bezpłatne pociągi dla dzieci, studentów i emerytów.

– Są jedyną partią zdolną zapewnić stabilność w kraju. I nie żałują pieniędzy na

→ socjal – mówi mi 17-letni uczeń gimnazjum w Svidniku, który deklaruje się jako sympatyk Smeru. W przeciwieństwie do wielu jego kolegów, zwolenników neofaszystowskiej Partii Ludowej Naszej Słowacji. Chłopak prosi, żeby nie ujawniać jego imienia, bo w Svidniku „każdy zna każdego”, a on nie chce kłopotów.

Naturalnie, Svidník jest świadomy błędów i wypaczeń Smeru. A także zbrodni popełnianych pod jego okiem – takich jak morderstwo dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej, które w 2018 r. doprowadziło do demonstracji (największych od aksamitnej rewolucji, która obaliła w Czechosłowacji komunizm) i dymisji rządu Ficy.

Jednocześnie mieszkańcy boją się, że jeśli do władzy wrócą liberałowie, to oni zapłacą największą cenę. Bo nowa władza zabierze wszystkie przywileje, a kraj pograży się w chaosie, jak za czasów centroprawicowej koalicji złożonej z czterech partii (2010-12), która padła pod ciosami skandalu korupcyjnego i wewnętrznych animozji.

Charyzma i wycucie czasu

Według Juraja Volocha – 72-letniego prawnika, który mieszka w Svidniku od prawie pół wieku – Fico długo był tu uważany za „boga”.

Są trzy rzeczy, które doceniają miejscowi, kontynuuje Voloch: – To osłona socjalna, która przypomina o starych dobrych czasach komunistycznych, wartości chrześcijańskie i żelazna pięść.

– Ludzie oczekują od polityka, że będzie silny – uważa Voloch. – Że tu przyjedzie, walnie w stół i obieca, że problemy, których nie da się rozwiązać, zostaną rozwiązane. Fico robił to przez lata, a teraz w tę rolę wszedł Harabin.

Co charakterystyczne, tym razem o sukcesie populisty nie zdecydowały nastroje antyromskie. W wielu miejscach na Słowacji, w tym w regionach wschodnich, obietnica rozprawienia się z ponad 400-tysięczną społecznością słowackich Romów od dawna napędza popularność grup skrajnych. Ale Svidník do pewnego stopnia jest przykładem udanego wprowadzania w życie programów adaptacji i zatrudnienia społeczności romskiej.

– Są zdyscyplinowani i nie sprawiają kłopotów – mówi mi pracownik socjalny na osiedlu przy ul. Festivalovej, gdzie, przy amfiteatrze na obrzeżach miasta, władze przygotowały dla nich trzy bloki. – Ro-



DARIUSZ KAŁAN

Ludzie tęsknią za komunizmem

i czują się opuszczeni
przez demokratyczne rządy
– mówi
pani prezydent miasta.

mów jest tu 470, ok. 70 proc. ma pracę – dodaje pracownik.

O wysokim wyniku Harabina w mniejszym zatem stopniu zdecydowały rasistowskie uprzedzenia, a tym bardziej nie jego biografia. Jako były przewodniczący Sądu Najwyższego za czasów nacjonalistycznego premiera Vladimíra Mečiara i były minister sprawiedliwości w pierwszym rządzie Ficy, Harabin od dekad jest częścią elity rządzącej.

O wiele ważniejsze okazały się jego osobista charyzma i dobre wycucie czasu.

Wspólna linia

Od ponad pół roku Svidník nie może się pogodzić z zamknięciem oddziału położniczego – jedyne w okolicy. Oddział był częścią szpitala, który kilka lat temu w ramach prywatyzacji został przejęty przez Penta Investments, kontrowersyjną czesko-słowacką grupę finansową. Zamknięcie oddziału wywołało rzadkie w mieście protesty uliczne.

Jedynym kandydatem, który zainteresował się sprawą, był Harabin. Przyjechał do Svidníka i rozmawiał z pracownikami. Čaputová nie tylko nie odwiedziła regionu, ale nawet nie wysłała doń swoich billboardów wyborczych, uznając wschód za z góry stracony.

Harabin w dużym stopniu przypomina trzy inne „żelazne pięści” z przeszłości: nie tylko Ficę, ale także popularnego tu Mečiara oraz Vasilu Biľaka, twardego komunistę, który podczas Praskiej Wiosny w 1968 r. domagał się interwencji sowieckiej. Biľak to dziecko tej ziemi: uro-

dził się we wsi Krajná Bystrá, 14 km od Svidníka.

– Da się poprowadzić wspólną czerwoną linię od Biľaka, przez Mečiara i Ficę, aż po Harabina – opowiada Voloch. – Wszyscy wcielali się w rolę ojców narodu i dawali ludziom poczucie godności, nawet jeśli ich faktyczne czyny temu przeczyły. W rzeczywistości mieli żelazne usta, a nie pięści.

Teorie i emocje

Gorliwym zwolennikiem Harabina jest Jan Vook, członek rady miejskiej. Siedzimy w kawiarni naprzeciw ratusza, ulokowanej w piwnicy. Mroczny nastrój dobrze oddaje przebieg rozmowy. Na pytania Vook odpowiada innymi pytaniami, głównie retorycznymi.

– Wyobraź sobie – mówi – do Svidníka przyjeżdża inwestor i ogłasza, że postawi fabrykę, jak mu załatwimy 500 pracowników. Skąd ich weźmiemy, jak myślisz?

Odpowiedź, która wisi w powietrzu, to: „muzułmańska inwazja”.

Czterdziestoparoletni Vook jest jednoznacznie krytyczny wobec świata powstałego po roku 1989: – Co było złego w komunizmie? Że ludzie mieli dom nad głową? Że kobiety były motywowane, żeby rodzić dzieci? Że naród i rodzina stały na pierwszym miejscu? Co mamy teraz? W sklepach fistaszki i banany, a młodych nie stać na mieszkanie.

Zapytany o Kuciaka, którego śmierć wywołała demonstracje w niemal całym kraju, ale nie w Svidniku, Vook wzrusza ramionami. – To było tragiczne wydarzenie, ale ile takich wydarzeń doświadczamy każdego dnia. Zapytałbym raczej, kto opłacał demonstrantów.

Pod teoriami spiskowymi Vooka można jednak dostrzec emocję obecną na niemal całym wschodzie Słowacji: inne regiony patrzą na nas z wyższością, nie szanują nas.

Jedno słowo dobrze to podsumowuje: „východniar”, czyli „człowiek ze wschodu”. Ktoś temperamentny, dumny i zaradny, ale niekoniecznie erudyta.

– Jasne, nie zarabiamy takich pieniędzy jak mieszkańcy Bratysławy – biznesmen Olejár mówi mi na odchodne. – Ale mamy takie samo prawo do edukacji, sprawiedliwości i służby zdrowia. Cokolwiek oni myślą, nie jesteśmy ludźmi drugiej kategorii.

© DARIUSZ KAŁAN

Reportaż powstał w ramach projektu
Reporting Democracy BIRN.

WOJCIECH

Bonowicz: Gorąco



NAJCHĘTNIEJ PRZECZKAŁBYM UPAŁ TAK jak kot Leon, ale niestety nie mieszczę się, nawet zwinięty, w umywalce. Wczołgać się pod łóżko to owszem, dam radę, tyle że pod łóżkiem nie jest ani odrobinę mniej gorąco. O czwartej po południu zdesperowany wchodzę do wanny i polewam się chłodną wodą. Na chwilę wystarczy.

Wokół gorąco nie tylko z powodu temperatur. Słowem roku zostanie prawdopodobnie „seksualizacja”. Nagle okazało się, że ci, co chcą uczyć, seksualizują. Dobrze, że z dziećmi mało na te tematy rozmawiałem, bo już by mnie na języki wzięli... Lepiej niech dzieci za dużo nie wiedzą. A jak się mają czegoś dowiedzieć, to nie ode mnie ani nie w szkole. Jeśli już, to z filmów. Za mojej młodości był taki film, który bardzo dobrze o tych sprawach traktował: „Cztery pancerni i pies”. Tam o miłości było tyle, ile powinien wiedzieć człowiek siedemnastoletni: uśmiechy, listy miłosne, czasem uścisk ręki. Co więcej trzeba? Ożeni się, to się dowie, co i jak.

Nie żartuję. Naprawdę. Nie żartuję z tego, tylko się za głowę łapię. Bo ona, nie wiedzieć czemu, ciężka jakaś.

A tu słyszę, że już inne słowo wychynęło i też się o swoje dopomina. Okazuje się, że od „seksualizacji” prosta droga

do „Judenratu”, że właściwie to to samo. „Nie zrobicie z Polski Judenratu”, miał powiedzieć wójt pewnej gminy w Małopolsce, która się seksualizacji oparła. Jeśli tak powiedział, znaczy, że coś słyszał. Może niedokładnie, może z jednego tylko radia, ale wie. Ja się oporowi przeciwko seksualizacji nie dziwię. Ostatecznie jak są tacy, co straszą, to muszą być i tacy, co się boją. Ale dziwię się, że niektórym wszystko się z jednym kojarzy. Konkretnie – z jednym narodem. I tu uwaga historyczna (dla wójta): to właśnie ci, którym się wszystko z jednym narodem kojarzyło, zaprowadzali Judenraty. Nie na odwrót.

Uff, ale upał. Człowiek by sobie ogon bobra na czole położył, ale jeszcze polować nie wolno. Męcz się, biedaku, męcz, a z każdej strony tylko czyhają na twoją cnotę i zgubę. Jak jeszcze prezydent Trump zniesie wizy, to koniec: wszyscy, którzy jako tako znają angielski, wyjadą. A reszta zaraz potem, i to bez względu na poglądy. Bo przy wszystkich podziałach, jakie są w Polsce, w tej akurat sprawie panuje dość powszechna zgoda: w Stanach żyłoby się nam spokojniej. Co tam – spokojniej. W Stanach dopiero byśmy pokazali, co umiemy. Oczywiście, jedni wyjechaliby właśnie dlatego, że jest prezydent Trump, a inni – bo jest, ale zaraz może go nie będzie. Skądinąd życiorys prezydenta Trumpa świadczy o tym, że tylko on potrafiłby dać skuteczny odpór międzynarodowej seksualizacji. On na ten temat w ogóle nie chce rozmawiać, on w tych sprawach nabrał przysłowiowej wody w usta. I tak jest dobrze. Jakby u niego minister tak przypalił z afrodyzjakiem jak jeden z naszych, to by na pewno został skarcony. Na Twitterze oczywiście.

Najchętniej przeczekałbym to wszystko jak kot Leon – zwinięty. O dziewiątej wieczorem wchodzę do wanny i polewam się szybko chłodną wodą. Ale to nie pomaga. Świat nadal istnieje. A z nim jego upał i jego szaleństwa. ©

REKLAMA

*Dziękuję
koniec
świata*

WOJCIECHA
BONOWICZA



„ŚWIAT JEST STRASZNY, ALE JA
POSTANOWIŁEM, ŻE JEST PIĘKNY.

Nowa książka autora
nominowanego w 2018 roku
do Nagrody Literackiej Nike
i Nagrody im. Wisławy Szymborskiej

już w księgarniach!

znak

Książka dostępna w sieci salonów **empik** oraz na **empik.com** i w dobrych księgarniach.

WERSAŁ SIĘ NIE SKOŃCZYŁ

Przed stu laty, 28 czerwca 1919 r., zwycięzcy podpisali z Niemcami traktat pokojowy. Kończył, jak wtedy mówiono, Wielką Wojnę: największy dotychczasowy konflikt w dziejach świata.

ANDRZEJ KRAWCZYK

DLA ÓWCZESNYCH LUDZI TAMTA WOJNA – rozpoczęta latem 1914 r. i na froncie zachodnim zawieszona rozejmem z 11 listopada 1918 r., ale w różnych częściach Europy Środkowej i Wschodniej trwająca aż do początku lat 20. (pod postacią kolejnych wojen między państwami i domowych) – była nie tylko konfliktem zbrojnym.

Był to także szok moralny: że cywilizacja, w której osiągnięcia przed rokiem 1914 tak mocno wierzone, i które budziły taką dumę, mogła dopuścić do tak wielkiej rzezi, ludzkiego cierpienia i tylu zniszczeń. To miało się już nigdy w świecie nie powtórzyć. Wtedy, w 1919 r., wydawało się zatem, że niedawne wojenne doświadczenia zmieniły ludzkość i nareszcie nadszedł moment, gdy wszyscy zrozumieli, że należy zbudować nowy, lepszy świat.

Widoczne to było w kulturze, sztuce i literaturze. Pacyfizm stał się – przynajmniej w Europie Zachodniej – potężnym ruchem społecznym. Wydawało się, że zmienili się również przywódcy polityczni, a racje moralne stały się równie ważne jak układy polityczne, rywalizacje czy zasada równowagi sił.

Szybko jednak okazało się, że szlachetne idee i rzeczywistość polityczna nie do końca pokrywają się ze sobą.

Westfalia, Wiedeń, Paryż...

W dwa miesiące po zakończeniu działań wojennych na froncie zachodnim (tj. po faktycznej kapitulacji Niemiec) zorganizowano konferencję pokojową. Miała stworzyć nowy

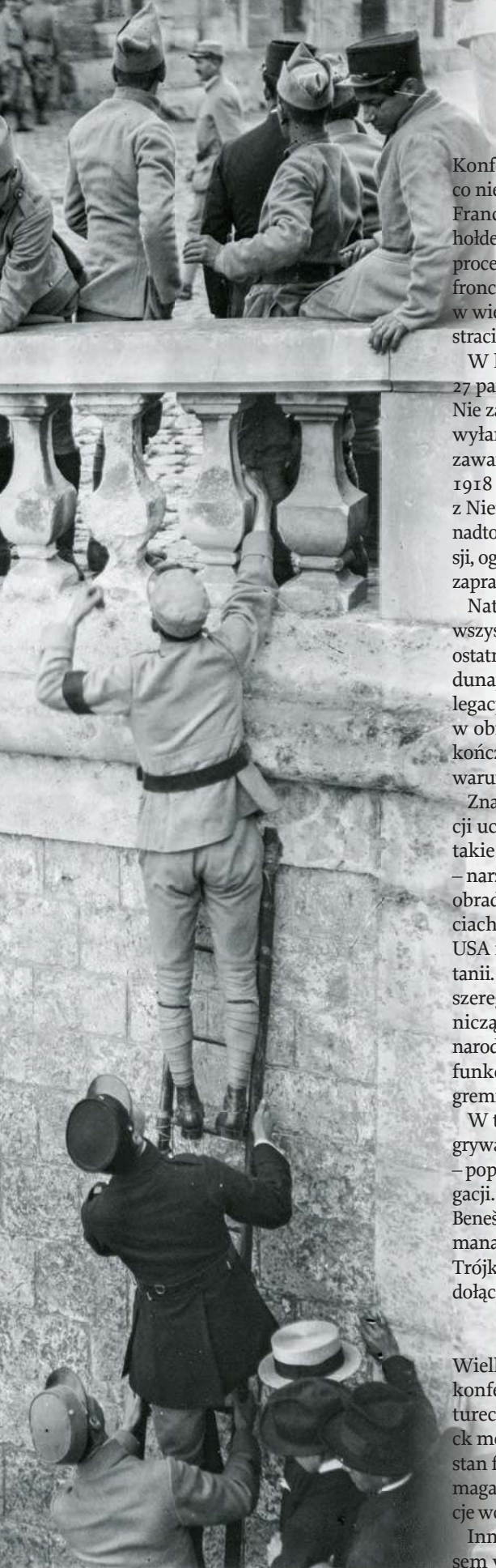
światowy ład, który nie tylko zapewniłby pokój, lecz zapewnił także nowy ład polityczny, oparty na prawie narodów do samostanowienia i wyrównujący historyczne niesprawiedliwości – co najmniej w Europie. Od konferencji pokojowej oczekiwano również, że stworzy mechanizmy, które zapobiegą wojnom w przyszłości. Miało temu pomóc utworzenie międzynarodowej organizacji państw, swego rodzaju światowego parlamentu.

Europa знаła już ze swej historii wielkie konferencje pokojowe, kończące wieloletnie wojny i organizujące nowy ład polityczny. Jedną odbyła się w 1648 r. w miastach niemieckiej Westfalii, Münster i Osnabrück – jej finałem był traktat, nazwany pokojem westfalskim, kończący wojnę trzydziestoletnią. Kolejna miała miejsce w Wiedniu w latach 1814-15, po zakończeniu wojen napoleońskich. Nazwana kongresem wiedeńskim, stworzyła tzw. Święte Przymierze: sojusz Austrii, Prus i Rosji jako gwarantów nowej organizacji Europy. Został on pomyślany jako zaporę dla rozszerzającego się w Europie liberalizmu, a tworzące go monarchie miały wspólny system wartości (pokonana Francja szybko do nich dołączyła).

Jednak w odróżnieniu od kongresu wiedeńskiego, w 1919 r. obradujące w Paryżu zwycięskie państwa nie miały wspólnej wizji pożądanej powojennej sytuacji.

Żołnierze i cywile przed pałacem w Wersalu podczas podpisywania traktatu pokojowego z Niemcami. Paryż, 28 czerwca 1919 r.





Wielka Trójka nadaje ton

Konferencja zwołana została do Paryża, co nie tylko było usankcjonowaniem roli Francji w obozie zwycięzców, ale także hołdem jej złożonym – jako krajowi, który procentowo poniósł największą ofiarę. Na froncie zginęła jedna czwarta Francuzów w wieku od 18. do 30. lat (ogółem Francja straciła półtora miliona żołnierzy).

W konferencji uczestniczyły delegacje 27 państw Ententy, zwycięskiego sojuszu. Nie zaproszono Rosji bolszewickiej, która wyłamała się z alianckich porozumień zawartych przez Rosję carską i w marcu 1918 r. podpisała separatystyczny pokój z Niemcami w Brześciu nad Bugiem. Ponadto, wobec wciąż niejasnej sytuacji w Rosji, ogarniętej wojną domową, nie chiano zapraszać żadnej ze stron tego konfliktu.

Natomiast państwa pokonane – przede wszystkim: Niemcy, Austria i Węgry (dwa ostatnie jako spadkobiercy monarchii nadunajskiej) – miały wysłać do Paryża delegacje, lecz nie mogły one uczestniczyć w obradach, a jedynie oczekiwać na zakończenie negocjacji i przedstawienie im warunków pokojowych.

Znaczenie i rola poszczególnych delegacji uczestniczących w obradach nie były takie same. Organizatorami konferencji – narzucającymi jej tematykę i kalendarz obrad oraz decydującymi o rozstrzygnięciach – była Wielka Trójka: prezydenci USA i Francji oraz premier Wielkiej Brytanii. Podział państw na te decydujące i te szeregowe, przeszedł do praktyki międzynarodowej i pozostał do dziś w ONZ (gdzie funkcjonuje Rada Bezpieczeństwa, jako gremium uprzywilejowane).

W tej sytuacji mniejsze kraje mogły odgrywać pewną rolę poniekąd nieformalnie – poprzez aktywności szefów swoich delegacji. Tak było np. w przypadku Edvarda Beneša (szefa MSZ Czechosłowacji) czy Romana Dmowskiego z Polski. Do Wielkiej Trójki rozgrywających starała się usilnie dołączyć delegacja włoska.

Przegranzy nie mają głosu

Wielka Brytania i Francja przyjechały na konferencję z ideą likwidacji imperium tureckiego i Austro-Węgier (wprawdzie monarchia już sama się rozpadała, ale stan faktyczny, w tym nowe granice, wymagał usankcjonowania). Były to koncepcje wcześniej nie do wyobrażenia.

Inną różnicą w porównaniu z kongresem wiedeńskim było niedopuszczenie

przegranych do obrad. W Wiedniu delegacja francuska i jej minister spraw zagranicznych Talleyrand odgrywali dużą rolę – tymczasem w Paryżu pokonani nie dostali prawa głosu, co od razu nastawiało ich negatywnie i powodowało opór. Od razu powstała interpretacja, że konferencja nie ma na celu stworzenia stabilnego ładu pokojowego, lecz ponizenie przegranych i zmuszenie ich (zwłaszcza Niemiec) do świadczeń finansowych.

Istotną nowością było pojawienie się – jako jednej z głównych postaci w polityce – prezydenta USA Thomasa Woodrowa Wilsona. Stany, które przystąpiły do wojny w 1917 r., i których potęga materialna zadecydowała w znacznej mierze o zwycięstwie Ententy, po raz pierwszy wkroczyły wtedy na światową arenę jako wiodące mocarstwo. Znany z idealistycznego, moralnego nastawienia do polityki oraz z mesjanistycznej wiary w rolę USA Wilson przybył do Paryża z przekonaniem, że Wielką Wojnę spowodował brak możliwości samostanowienia przez małe narody i „reakcyjna” zasada równowagi sił w Europie.

To z inicjatywy prezydenta USA delegacja amerykańska wprowadziła do porządku obrad kwestię winy za wybuch wojny – mającą charakter nie tylko moralny, ale też praktyczno-finansowy. Zyskało to od razu poparcie Francuzów. Dotąd w międzynarodowej polityce nie było takiego zwyczaju, aby *post factum* szukać winnych. Idealizm Wilsona był jednak przyjmowany z dystansem przez Europejczyków, przyzwyczajonych do prowadzenia *Realpolitik* w interesie swych krajów. Uważano, że koncepcje amerykańskie wynikają z niewiedzy i naiwności państwa niezorientowanego w europejskich realiach.

W samej Ameryce ustalenia konferencji pokojowej przyjęto niejednoznacznie. Część polityków i opinii publicznej uważała, że narzuca ona zbyt ciężkie warunki Niemcom. Po wyborach z 1918 r. doszło do zmiany większości w Kongresie. Dominujący w nim odtąd Republikanie aż dwukrotnie mieli odrzucać wnioski administracji Wilsona o ratyfikację traktatu (nazwanego wersalskim), odwołując się do popularnych teraz w USA hasel izolacjonizmu i niemiezsania się w sprawy europejskie.

Nowa szachownica

Francuzi uczestniczyli w konferencji z jasnym planem: odplacenia Niemcom za przegraną wojnę z lat 1870-71 →

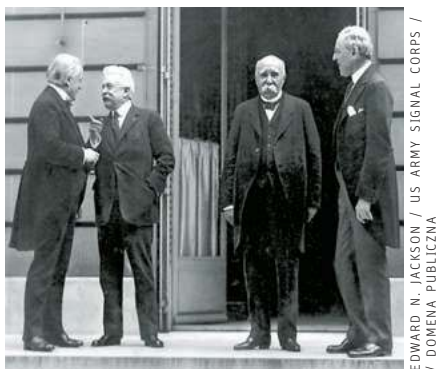
→ i osłabienia państwa niemieckiego. Częścią tej koncepcji było rozszerzenie Polski maksymalnie na zachód, nawet gdyby miało to oznaczać włączenie do niej dużej grupy ludności niemieckiej.

Delegacja brytyjska, na czele z premierem Lloydem George'em, przybyła pewna siebie i z poczuciem zwycięstwa. Miała też określone wyobrażenie o tym, co dalej. Londyn nie chciał zbyt dużego wzmocnienia pozycji Francji, w tym jej sojuszników na wschód od Niemiec – także Polski, która postawiła na sojusz z Paryżem. Za wręcz niebezpieczne dla ładu w Europie Środkowej brytyjski premier uznawał „zbyttni” wzrost potencjału państwa polskiego. Jednak wydarzeniem ważniejszym dla niego od szczegółowych problemów granicznych było samozatopienie 21 czerwca 1919 r. floty niemieckiej, internowanej na kotwiczowisku Scapa Flow w Szkocji. Aby nie oddawać ich zwycięzcom, Niemcy posłali na dno ponad 50 okrętów, w tym 15 pancerników i krążowników liniowych.

Aktywną delegacją w Paryżu byli Włosi. Umiejętnie występując na konferencji, realizowali swoją tradycyjną antyaustriacką politykę – w efekcie uzyskując Tyrol Południowy, choć większość jego ludności stanowili niemieckojęzyczni Austriacy.

Niemcy musiały odstąpić część swego terytorium Francji (Alzacja i Lotaryngia), Danii i Polsce (Wielkie Księstwo Poznańskie, części Pomorza, Prus Zachodnich i Wschodnich), zgodzić się na plebiscyt na Górnym Śląsku i wydzielenie Gdańska jako tzw. Wolnego Miasta. Odebrano im kolonie i musieli – rzecz kluczowa – uznać swoją odpowiedzialność za wywołanie wojny. Siły zbrojne Niemiec ograniczono do 100 tys. żołnierzy; zakazano im posiadania lotnictwa, czołgów, ciężkiej artylerii, pancerników i okrętów podwodnych. Zapowiedziano też, że Berlin będzie musiał zapłacić reparacje; ich wysokość miały ustalić specjalnie powołane komisje.

W efekcie w Niemczech natychmiast powstała legenda: że państwo i armia zostały zdradzone – przez nowy republikański rząd, przez socjaldemokratów (teraz rządzących), wreszcie przez dyplomatów. Nacjonałści różnej maści powtarzali argument, że żaden obcy żołnierz nie wszedł w 1918 r. na terytorium Niemiec i nie było potrzeby kapitulować. W rzeczywistości Niemcy i ich armia jesienią 1918 r. już się załamały. Gdyby nie rozejm, Amerykanie



Rada Czterech podczas pokojowej konferencji w Wersalu. Od lewej: David Lloyd George (premier Wielkiej Brytanii), Vittorio Orlando (premier Włoch), Georges Clemenceau (premier Francji) i Woodrow Wilson (prezydent USA), maj 1919 r.

i wojska innych państw Ententy byłyby w stanie zająć Niemcy.

Drugą błyskawicznie powstałą legendą było przekonanie, że Niemcy zostały przyniecione i zniszczone przez narzucone reparacje. To za ich sprawą miał nastąpić dramatyczny kryzys ekonomiczny i hiperinflacja, co spowodowało olbrzymie wstrząsy społeczne. Wykorzystał to Adolf Hitler, który na „dyktacie Wersalu” budował swoją popularność. Do dzisiaj jest to popularna interpretacja wśród historyków szukających przyczyn wyborczych sukcesów przyszłego „wodza” III Rzeszy.

Spór o reparacje

Jest prawdą, że podczas konferencji mówiono o gigantycznych sumach. Potem, w 1921 r., Komisja Reparatywna określiła zobowiązania Niemiec na 132 miliardy marek (dziś byłoby to ponad 450 miliardów dolarów, choć każde przeliczenie będzie nieprecyzyjne). Ta suma pojawia się często w opracowaniach historycznych.

Tyle tylko, że do zapłacenia takiej sumy nigdy nie doszło. W Niemczech rozpoczęto wielką kampanię prasową dowodzącą, że spłata reparacji zniszczy gospodarkę i walutę. Jednak historycy i ekonomiści nie udowodnili, że hiperinflacja spowodowana była właśnie spłatą reparacji. Można nawet powiedzieć, że dzięki inflacji zmniejszały się nałożone obciążenia. Dlatego też zresztą rząd niemiecki odkładał walkę z inflacją.

Berlin przyjął taktykę biernego oporu w spłacaniu reparacji. Na początku 1923 r. rząd przestał wykonywać zobowiązania w dostawach węgla, argumentując to utratą kopalni górnośląskich. Powołanemu we wrześniu 1923 r. rządowi Gustava Stresemanna udało się załago-

dzić konflikt z Francją, dążącą do wyegzekwowania spłat, i wynegocjować pierwszy plan zmniejszenia reparacji (tzw. plan Dawesa), łącząc go z programem amerykańskich pożyczek, które można było przeznaczyć na spłaty.

Zobowiązania Niemiec nie zostały nigdy do końca spłacone, mimo ich kilkakrotnego obniżania i przejściowych moratoriumów. Niektórzy historycy obliczają, że Niemcy spłacili zaledwie ok. 15 proc. swych zobowiązań.

Nowa Europa Środkowa

Najistotniejszą decyzją całej konferencji pokojowej było utworzenie nowej konfiguracji państwowo-politycznej w Europie Środkowo-Wschodniej.

Powstało państwo polskie, do którego włączono znaczące terytoria z dotychczasowego państwa niemieckiego (historycznie były to ziemie włączone niegdyś do Prus w wyniku rozbiorów Polski). Państwo polskie otrzymało tzw. korytarz dostępu do morza, co było programem i zobowiązaniem amerykańskiej polityki.

W wyniku rozpadu Austro-Węgier powstało kilka państw sukcesyjnych: nie tylko nowe Austria i Węgry, ale też zupełnie nowy twór: Czechosłowacja, wykreślona z byłej Austrii (Czechy i Morawy) i Węgier (Słowacja). Czechosłowacja zgłosiła się z nową kategorią narodową – Czechosłowaków – ale i tak mniejszości niemiecka i węgierska tworzyły w niej jedną trzecią ludności (gdyby uznać istnienie Słowaków, Czechów byłoby w państwie maksymalnie połowa). Nowym państwem była też Jugosławia (pod tą nazwą istniejąca od 1929 r.), jako kraj wielonarodowy i wielowyznaniowy. Jeden z punktów traktatu pokojowego dotyczył też potwierdzenia zjednoczenia się Mołdawii, Bukowiny i Siedmiogrodu, a więc powstania Rumunii w nowym kształcie, obejmującym terytoria należące dotąd do Węgier.

Poczucie największej krzywdy – być może większe niż Niemcy – mieli Węgrzy: ich nowe państwo, powstałe na skutek traktatu z Trianon (nazwa pochodzi od pałacu w kompleksie wersalskim, gdzie w 1920 r. podpisano osobną umowę dla Węgier) obejmowało zaledwie 28 proc. terytorium sprzed 1914 r. Prawie 3,5 mln Węgrów (jedna trzecia narodu) pozostała poza granicami tego państwa. Trzeba jednak zauważyć, że przedwojenne Królestwo Węgier znacznie przekraczało swoje granice etnograficzne i twardą ręką rzą-

dziło licznymi mniejszościami, tworzącymi połowę ludności. Traktat z Trianon oznaczał więc tragedię dla Węgrów, ale jednocześnie przez Słowaków, Rumunów, Serbów i Chorwatów został uznany za zwycięstwo dziejowej sprawiedliwości.

Długie trwanie Wersalu

Stworzona w Paryżu nowa organizacja Europy została szybko nazwana łańcem (albo systemem) wersalskim – od miejsca podpisania traktatu z 1919 r.

Porządek wersalski – obejmujący zwyczajowo także nowe państwa bałtyckie: Finlandię, Estonię, Łotwę i Litwę (choć w Paryżu w ich sprawie nie decydowano) – miał stworzyć, zwłaszcza dla Europy Środkowej, świat nowy i sprawiedliwy, który uczyniłby niepotrzebnymi konflikty zbrojne. Jego słabością było jednak to, że chciał połączyć w jedną całość zbyt wiele często wzajemnie sprzecznych roszczeń. Przykładowo, żaden z nowych krajów Europy Środkowej nie był w sensie ścisłym państwem narodowym – i nie mógł nim być, wobec skomplikowanej „mapy” demograficznej.

Świat stworzony w czerwcu 1919 r. przetrwał niecałe 20 lat, do konferencji monachijskiej. Wtedy to, jesienią 1938 r., Francja i Wielka Brytania – dwaj główni gwarantcy ładu wersalskiego – ustąpili wobec żądań Hitlera i zgodzili się na rozbiór Czechosłowacji. Ostateczny jego koniec miał nastąpić wkrótce: 1 września 1939 r. Charakterystyczne, że w komentarzu do układu Hitler–Stalin z 23 sierpnia 1939 r., którym obaj wodzowie podzielili między siebie Europę Środkową, jego sowiecki sygnatariusz Władimir Mołotow, chcąc poniżyć Polskę, określił ją mianem „bękarta traktatu wersalskiego”.

Ale pomimo traktatu sowiecko-niemieckiego, pomimo II wojny światowej i Jałty – wiele granic wyznaczonych traktatem wersalskim przetrwało do dziś i współtworzy podstawę trwającego od 70 lat pokoju w Europie.

W takich krajach jak Polska, Czechosłowacja czy Rumunia system wersalski jest zresztą częścią mitu założycielskiego oraz tożsamości narodowej i cieszy się estymą. Historiozoficzne dyskusje, czy był on zbyt opresyjny wobec Niemiec i przyczynił się do przejścia w 1933 r. władzy przez narodowych socjalistów, w tych krajach mają małe szanse na to, aby stać się częścią głównego nurtu dyskursu publicznego.

© ANDRZEJ KRAWCZYK

Alternatywna historia Polski

**Czy 3 maja powinniśmy w ogóle świętować?
Tak, to zupełnie poważne pytanie...**

OPISUJĄC II WOJNĘ ŚWIATOWĄ, IAN Kershaw – nestor brytyjskich historyków XX-wiecznej Europy – wyróżnił kilkanaście „punktów zwrotnych”: momentów, które zmieniły jej bieg. Zalicza do nich np. decyzje Churchilla, by w 1940 r. kontynuować samotnie wojnę z III Rzeszą, czy Hitlera o zerwaniu sojuszu ze Stalinem. Kershaw nie poszedł w spekulacje, co by było, gdyby premier i führer postąpili inaczej. Ale jego analiza pozwalała puścić wodze fantazji.

Andrzej Chwalba idzie dalej. Definiując kilkanaście momentów z historii Polski (Korony Polskiej i Rzeczypospolitej Wielu Narodów) – i nazywając je „zворотnicami dziejów” – krakowski historyk podejmuje ryzyko. Bo pisanie historii alternatywnej – scenariuszy „co by było, gdyby” – jest obarczone ryzykiem: łatwo odlecieć w abstrakcję albo ulec pokusie, by takie ćwiczenie wyobraźni uzasadniało tezy bardziej ideologiczne niż historyczne (jak w słynnej polemice wokół kwestii, czy w 1939 r. Polska powinna sprzymierzyć się z Niemcami).

Mimo wszystko, historia alternatywna ma sens. Potraktowana bez drugiego dna (politycznego, ideologicznego), pozwala wyraźniej dostrzec różne opcje, także stracone. Akcentuje sprawczą rolę człowieka – bo choć historię determinuje wiele czynników, koniec końców decydują ludzie. Pozwala więc wydobyć z zapomnienia postacie tych, którzy nie wykorzystali swoich szans. A w przypadku tych, którzy swym działaniem przestawili „zворотnice dziejów”, umożliwia – poprzez rozważenie alternatyw – czasem nową ich ocenę.

Co by było, gdyby po Kazimierzu Wielkim królem został Ziemowit? Nie wiele brakowało: ten mazowiecki Piast, mając silne poparcie, nie wykorzystał okazji (i popadł w zapomnienie). Tymczasem jego elekcja mogła zastopować zwrot państwa na wschód. Albo: co by było, gdyby w połowie XVI w. na fali reformacji powstał polski Kościół narodowy, na wzór angielskiego? Była taka możliwość. Albo gdyby na tron wstąpili

nie Wazowie, lecz Habsburgowie? Wiąza „Habsburskiej Unii Europejskiej” kusi... A Chwalba i prowadzący z nim wywiad-dyskusję Wojciech Harpula mają talent do budowania scenariuszy tyleż frapujących, co przekonujących.

Dla mnie największym zaskoczeniem była miażdżąca ocena Konstytucji 3 maja. Chwalba uważa – i potrafi uzasadnić ten pogląd – że gdyby w 1791 r. reformatorzy samoograniczyli się w swoim zapale i nie uchwalili konstytucji – czym rzucili wyzwanie sąsiadom, zwłaszcza Katarzynie II, nie zostawiając jej innej opcji niż zniszczenie Rzeczypospolitej – nie doszłoby do dwóch ostatecznych rozbiorów. Państwo mogło przetrwać i odrodzić się na początku XIX w. Wtedy wiek XIX – czas głębokich zmian społecznych i gospodarczych – nie byłby dla Polaków wiekiem straconym. Nie byłoby powstań, hekatomb kolejnych pokoleń. W 1913 r. Rzeczpospolita liczyłaby 60 mln obywateli, z czego Polacy stanowiliby połowę...

Stop! To już oczywiście spekulacja. Jednak, mówi Chwalba, pewne jest, że przyjęcie Konstytucji 3 maja spowodowało interwencję Rosji i zniszczenie państwa. Tymczasem „brak własnego państwa w XIX wieku pozbawił nas mnóstwa szans. Takich, których dziś nie potrafimy sobie nawet wyobrazić”. Dlatego „warto zastanawiać się, czy tego smutnego losu mogliśmy uniknąć. I dlaczego nie uniknęliśmy”.

Czy więc 3 maja jest co świętować? Tak, to bardzo poważne pytanie.

©© WOJCIECH PIĘCIAK



• Andrzej Chwalba oraz Wojciech Harpula
ZWROTNICIE DZIEJÓW. ALTERNATYWNE HISTORIE POLSKI
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

SZALENI JEŹDŹCY ŚWIATA

113 lat temu na ziemi austriackiej Galicji – nad Olzę, Wisłę i San – zawitał Buffalo Bill ze swoim spektaklem o Dzikim Zachodzie.

BARTOSZ HLEBOWICZ

KOWBOJE I INDIANIE DOTARLI RÓWNIEŻ DO GALICJI. 60-LETNI już William Frederick Cody – tak nazywał się sceniczny Buffalo Bill – i jego widowisko wzbudzili tutaj ogromne zainteresowanie lokalnych społeczności. Ale także niechęć części galicyjskiej prasy – rozgniewanej, że „polski grosz wspomaga przedsiębiorstwo Buffala Billa” w sytuacji, gdy Galicję otacza niechlubna sława najbiedniejszego regionu Cesarstwa.

„Chciwi niezwykłych, a tak szumnie reklamowanych wrażeń »amerykańskich«, mieszkańcy naszego miasta wcześniej zerwali się dziś z pościeli – donosił krakowski dziennik „Czas”, opisując wjazd ekipy do miasta. – Już koło godziny 4 zrana [pisownia oryginalna – red.] krążyły niecierpliwie wzdłuż ul. Lubicz i Basztowej ciekawe osoby, oczekujące świtu. Pierwsze olbrzymie wozy z namiotami, ławkami oraz rekwizytami do przedstawień, zaprężone w trzy, a nierzadko nawet cztery pary ciężkich koni ciężarów, ukazały się ulicy Lubicz już około godz. 6. Większe zainteresowanie wywołało dopiero pojawienie się kilku »bajecznie kolorowych« postaci Indian, wysokich, barczystych, o rozczesanych, bujnych, hebanowych włosach, o cerze, która wywoływała niepochlebne a niedowierzaniem w ich autentyczność przepojone komentarze kumoszek i ich męskich akompaniatorów”. „Pod adresem przechodzących Indian i murzynów nie omieszkanego przesyłać rozmaitych, mniej lub więcej estetycznych dowcipów i oburzenia na ich brzydotę”.

„Dwudziestu ośmiu prawdziwych Indian wpada na nieosiądlanych koniach na olbrzymią arenę – tak z kolei opisywał, z widocznym entuzjazmem, przedstawienie na krakowskich Błoniach „Tygodnik Rolniczy” (w wydaniu z sierpnia 1906 r.). – Każdy z nich inaczej wygląda, bo jeden w neglizżu ma za całe ubranie tylko kolorową chustkę w rogi na głowie związaną. Drugi, większy elegant, umocował na plecach olbrzymie, jaskrawe skrzydła, a głowę ozdobił w warkocze kunsztownie z żółtymi i purpurowymi wstążkami splecione. Inny pomalował sobie prawy bok na zielono, a inny posmarował lewy na żółto, wreszcie byli i tacy, którzy mieli czarne plamy na czole, zielone nosy, niebieskie uszy, fioletowe brody, lub też ciemne, tygrysie pręgi po twarzy i ciele, a każdy z nich wrzeszczał, wył i pisał na inny sposób i na inną nutę. Wpada wreszcie na ognistym rumaku wódz tych dziwnych błyskawicznych jeźdź-

ców i osadza przed frontem swego gniadosza z taką gwałtownością i siłą, że zdawało się, iż koniowi i sobie kark skręci!”.

Widowisko dla księcia

Cofnijmy się do roku 1871.

Dziki Zachód po części wciąż jest dziki – jeszcze nie w pełni zawładnęli nim potomkowie białych osadników. Historyk Frederick Jackson Turner nie ogłasza jeszcze tezy o „zamknięciu granicy” i podboju Zachodu jako procesie determinującym charakter narodu Amerykanów (uczyni to podczas Wystawy Światowej w Chicago, zorganizowanej w 400. rocznicę odkrycia Ameryki). Wojna z Komanczami na Południowych Preriach ma dopiero wybuchnąć. Siuksowie i Szejenowie dopiero za pięć lat dadzą łupnia armii amerykańskiej nad rzeką Little Bighorn, Apacze Cochise’a dopiero za rok odejdą do rezerwatu, a słynny Geronimo podda się 15 lat później. Poszukiwacze złota dopiero kończą, przy biernej postawie władz USA, rozpoczęte parę dekad wcześniej dzieło eksterminacji Indian w Kalifornii.

Ale Amerykanie już celebrytą podbój Dzikiego Zachodu i zapręgają go do świata rozrywki. W styczniu 1872 r. gen. Philip Sheridan, głównodowodzący armii amerykańskiej na zachodzie, powierza Williamowi Frederickowi Cody’emu – od czasu wojny secesyjnej służącemu w wojsku jako zwiadowca – spektakularną misję: Cody ma poprowadzić „na Wild West” 21-letniego wielkiego księcia Aleksieja (syna cara Aleksandra II) ze świtą, by zażył autentycznej amerykańskiej rozrywki w postaci biwaku na prerii i polowania na bizony.

Stany Zjednoczone pragną utrzymać jak najlepsze stosunki z Rosją – mocarstwem, które udzieliło poparcia Unii w wojnie secesyjnej (1861-65) i dopiero co sprzedało im Alaskę. Generał Sheridan, który osobiście bierze udział w tej wyprawie, pamięta Cody’ego jako godnego zaufania gońca i wywiadowcę, pomagającego armii w walkach z Szejenami. Cody już wtedy znany jest z groszowych powieści o zmyślonych przygodach na Dzikim Zachodzie. Sheridan dorzuca jako eskortę setkę kawalerzystów.

Aby w pełni usatysfakcjonować gości, o udział w polowaniu, a nawet o odtańczenie tańca wojny, poproszono setkę Lakotów z odłamu Brulé. Ich wódz Cętkowany Ogon, który usiłuje prowadzić pokojowe życie w rezerwacie, nie odmawia.



Atak Indian na dyliżans: przedstawienie zespołu Buffalo Billa w 1903 r. na Olympia Stadium w Londynie. Podobne sceny odgrywano podczas tournée po Galicji trzy lata później.

Jednak główną gwiazdą imprezy jest ktoś inny: podpułkownik George Armstrong Custer, bohater wojny secesyjnej. To on strzela do bizonów ramię w ramię z wielkim księciem. Cody jest na uboczu.

To jedyny raz, gdy styka się z Custerem, z którym potem przez większość swego scenicznego życia będzie się utożsamiał. Obaj ubrani są w lekkie jelenie bluzy z frędzlami, obaj mają długie kręjące się blond włosy. Historycy do dziś toczą spór, który z nich pierwszy zaczął naśladować drugiego. Obaj byli żądni sławy i obaj ją zdobyli.

Indianie i bizona stają się więc rekwizytami w przedstawieniu zaaranżowanym przez rząd USA, a główną rolę odgrywa oficer, który cztery lata później zginie – wraz ze swoim 7. Pułkiem Kawalerii – w najsłynniejszej bitwie z Indianami Wielkich Równin.

Rolę statysty pełni tu jeszcze zwiadowca i bohater powieści, który za kilka lat stanie się dyrektorem – jak to w lipcu 1906 r. ujmie gazeta ze Lwowa – „najwspanialszego widowiska w świecie”: Dzikiego Zachodu i Kongresu Szalonych Jeźdźców Świata Buffalo Billa.

Biały Indianin i jego show

William F. Cody urodził się w 1846 r. w rodzinie osadników w stanie Iowa (środkowej części USA), a wychował w Kansas,

dokąd przeniósł się rodzina. Z powodu śmierci ojca, będąc najstarszym spośród sześciorga rodzeństwa, już jako nastolatek musiał pomóc matce: zarabiał m.in. jako poganiacz mułów, a potem przewodnik karawan osadników, które z Kansas wyruszały na zachód. Był też poszukiwaczem złota, traperem i – jak powiedziano – w czasie wojny secesyjnej żołnierzem w szeregach Unii. Pod koniec wojny ożenił się z Louisą Frederici, damą z St. Louis.

Po wojnie miał się różnych zajęć: prowadził hotel, pracował dla armii i spółki kolejowej jako łowca bizonów. W 1868 r. został szefem zwiadowców 5. Pułku Kawalerii, który walczył z Indianami na Wielkich Równinach; cztery lata później zdobył Medal Honoru, najważniejsze amerykańskie odznaczenie wojskowe. W oczach przełożonych był idealnym „białym Indianinem” – takim, jakiego znali z powieści Coopera (z najsłynniejszą: „Ostatnim Mohikaninem”), a także z książek o Buffalo Billu. Kimś, kto tropił i walczył jak Indianie – z Indianami. A Cody świetnie do tych oczekiwań się dostosował – zachowując się jak rasowy zwiadowca i jednocześnie będąc nim.

W tym samym roku, gdy poprowadził wielkiego księcia Aleksieja na polowanie, Cody wystąpił po raz pierwszy na teatralnej scenie: w sztuce „Zwiadowcy prerii” w Chicagu. Rzecz, sądząc z recenzji, była okropna (nie wyłączając aktorstwa Cody’ego), ➔

→ ale spodobała się jego męska postura, przystojne oblicze i to, że ratował z rąk Indian białą niewiastę.

Przez kolejnych 10 lat Cody już z własną trupą objeżdżał kraj z podobnymi przedstawieniami. Zarobione pieniądze zainwestował w widowisko z prawdziwego zdarzenia – już nie na deskach teatru, lecz na ogromnych arenach, z kilkusetosobową ekipą.

W międzyczasie doszło do symptomatycznego wydarzenia. Klęska, którą amerykańskim kawalerzystom zadali Siuksowie i Szejenowie nad Little Bighorn w 1876 r., i śmierć Custerza wstrząsnęły Stanami i sprawiły, że na Wielkich Równinach zakotłowało się od żołnierzy. Do walki z kilkoma grupkami koczowników posłano ponad jedną trzecią armii USA.

Cody wyczuł okazję, przerwał występy na scenie i znowu ruszył tropić Indian w roli zwiadowcy. Przy pierwszym kontakcie zastrzelił młodego szejńskiego wojownika imieniem Żółte Włosey, zdarł mu skalp (tj. skórę z czaszki) i wykrzyknął: „To pierwszy skalp za Custerem!”.

Po czym wrócił na deski teatru, a skalp Indianina – jak też jego pióropusz – wystawiał jako element dekoracji na scenie.

Galicja reklamą wytapetowana

Galicyskie tournée zespołu Buffalo Billa (taki przyjął pseudonim) na przełomie lipca i sierpnia 1906 r. było częścią jego trzeciej już europejskiej trasy. W poprzednich latach wzbudzał zachwyt tak dostojnych widzów jak władcy Wielkiej Brytanii, Niemiec, Danii, Grecji, Belgii i Saksonii, papież Leon XIII, prezydent Francji, czy artystów (oglądali go Paul Gauguin, Edvard Munch i Rosa Bonheur). Wszędzie, gdzie się widowisko pojawiało, we Francji, Anglii czy Niemczech, odnosiło ogromny sukces.

Nie inaczej było w Galicji. Stefan Bojanowski z „Tygodnika Rolniczego” pisał, że przedstawienia na Błoniach oklaskiwali nie tylko krakowianie, ale też publiczność przybyła „koleją z Podłęża, Kłaja, Skawiny, Zabierzowa, Trzebini lub Szczakowej”. „Szalona reklama, tak »po amerykańsku« zrobiona – pi-

sał tenże autor – że w Galicji, na prawdę, nie było nawet przysiółka i wioski, w którejby domy, stodoły, stajnie, opłotki i płoty nie były, wprost powiedziawszy, »wytapetowane« olbrzymimi plakatami, przedstawiającymi sensacyjne sceny z »Dzikiego Zachodu« i najbarwniejsze obrazy z produkcji cyrkowych”.

Zainteresowanie przekroczyło granice austriackiej Galicji. „W niedzielę 5. sierpnia wszystkie pociągi kolei północnej zwiozły do Krakowa z sąsiadującego z nami Śląska pruskiego gromady na piwie podpasionych Niemców i wrzeszczących Niemek w takich »świętecznych kostymach«, iż Arabowie, Indianie, Cowboje i Kozacy kubańscy, oglądając je, szeptali sobie dyskretnie do ucha, że te panie ubarwieniem i mową przypominają dziwnie – amerykańskie papugi”.

O ogromnym zainteresowaniu świadczy też informacja z „Dziennika Cieszyńskiego” o kilku Indianach, którzy postanowili przed występem zwiedzić miasto. „Szli, otoczeni ogromnym tłumem, który w krótkie atoli za bardzo nachodził im na stopy, tak, aż swobodni synowie Ameryki poczęli się opędzać”. Z kolei katolicki „Głos Narodu” z Krakowa donosił, że na ulicy Floriańskiej jeden z „czerwonoskórców” dał po buzi dwóm zbyt natarczywie przyglądającym mu się przechodniom. Krewkość Indian była już znana: miesiąc wcześniej katowickie pismo „Polak” donosiło o strzelaninie wywołanej przez Indian Buffalo Billa w Budapeszcie, zakończonej dwiema ofiarami śmiertelnymi.

Historia także „światowa”

Alte to były tylko incydenty. Gazety ze Lwowa i Krakowa informowały natomiast o meczach piłkarskich, rozgrywanych między Galicjanami a aktorami i obsługą przedstawienia.

Sądząc po opisach w prasie, zainteresowanie widowiskiem musiało być ogromne. „Pisk i krzyk czerwonoskórych, w rzeczywistości bardziej głośniejszy niż złowrogi, przejmujący mych [młodych] sąsiadów widoczną emocją” – relacjonował dziennikarz „Zaszu” po pierwszym przedstawieniu w Krakowie.

W europejskim show Buffalo Billa występowali zresztą już nie tylko Indianie i amerykańscy kawalerzyści. Dołączyli jeźdźcy z różnych stron świata: meksykańscy *vaqueros*, Gruzini robiący za Kozaków, Beduini, a nawet zwerbowani przez Cody’ego japońscy żołnierze, których przedstawiano jako samurajów. Zestawiając egzotycznych (i stylizowanych na egzotycznych) nomadów z cywilizowaną jazdą, Cody opowiadał w Europie nie tylko historię amerykańską, ale „historię światową”.

I chyba robił to przekonująco. Zacytujmy raz jeszcze „Tygodnik Rolniczy”: „Zapewne, że ci z widzów, [co] zachwycają się wyróżzowaniem i wyblanzowaniem cyrkówkami, skaczącymi w trykotach przez czerwone obręcze na wypasionych koniach, [albo] rozkoszując się błaznami bijącymi się co chwilę po twarzach, (...)



Buffalo Bill i Indianie z jego zespołu. Zdjęcie zrobiono prawdopodobnie w amerykańskim stanie Wyoming w 1907 r.

ci w cyrku Buffala Billa z pewnością musieli doznać zawodu, bo tam takich banalnych przedstawień nie było. Dla tych, którzy w wojsku, na polowaniach, lub też na wsi część swego życia spędzają, a w których żyłach jeszcze cośkolwiek krwi rycerskiej płynie – produkcie konne synów Far Westu, Beduinów, Cowboyów, Rough ridersów, Kozaków kubańskich (...) były bezprzecznym widowiskiem zajmującym i cennym”.

„Błaga, humbug, oszustwo”

Ale nie wszystkim podobało się widowisko Buffala Billa. W oczach niektórych była to „błaga” (to np. krakowskie „Nowości Ilustrowane”), a oglądanie jej miało doprowadzić do braku patriotyzmu.

„Echo Przemyskie” pisało więc o „tłumach chrumów prowincjonalnych” gapiących się na „ów konglomerat zbratania się wschodu z zachodem, kowbojów z samurajami, błagi z humbugiem, beczelności z wyzyskiem i sprytu z finezją amerykańskiego businessu. (...) Już jesteśmy tacy z natury, że lada clown pstrymi farbami nakrapiany na afiszowym piedestale reklamy wzbudza w nas cięzące zachwyty”. „W rzeczywistości widzi się kilkadziesiąt zbiedzonych szkap z dziczą na grzbietach” – krytykowało „Echo”.

„Przeszło jeden milion w ciągu kilkunastu dni wywiózł z naszych kilku biednych miast cyrk Buffala Billa. Na wszystkie błazeństwa zagranicznych oszustów jesteśmy hojnie do przesady – ale skąpi aż do przesady na podniesienie oświaty lub inne miłosierne uczynki. Nie zapominajmy, że w kraju mamy 4 i pół miliona analfabetów i 2 miliony biedaków!” – pisał autor nowosądeckiego dwutygodnika „Mieszczanin”. „Co to za lud niedoświadczony, niemyślący, naiwny, który mu kieszeń napycha groszem” – pomstowało także „Słowo Polskie” ze Lwowa.

Reporter „Głosu Narodu”, mimo początkowo krytycznego nastawienia, zmienił opinię w trakcie seansu: „Zaczynamy potrochu wierzyć, że warto było przyjść (...). Nerwy widza zaczynają sobie po trochu uplastyczniać w fantazji wysokie trawy i gęste lasy Ameryki, stare zeszlowieczne dyliżanse i te tysiące przeszkód, awantur, które już przeszły do historii”.

Z kolei autor relacji z Cieszyńska tak pisał w „Gwiazdce Cieszyńskiej”: „Indyanie nie bardzo świetnie się przedstawiają. Natomiast Anglicy, Japończycy, Kozacy i Czerkiesi prezentują się bardzo dobrze. Murzyni, o ile się zdawało, nie są prawdziwi; są to ludzie rasy białej, pomalowani na czarno. Wogóle całe przedstawienie zawiera w sobie dosyć błag”. Ale też „prawdziwą przyjemność sprawiał widok rasowych koni pociągowych, jakich tu w Cieszyźnie zapewne nie widzieliśmy”.

Autor podziwiał też „sprawną służbę Buffala Billa, która bez hałasu, bez komendy z prawdziwą amerykańską szybkością stawiała namioty”.

Dwa dni w Krakowie!!

Sobota i Niedziela 4 i 5 Sierpnia

!!! Na Błoniach

Dziennie po dwa przedstawienia bez względu na pogodę: popołudniu o godz. 2 ... wieczorem o 8.

Wstęp od godziny 1 popołudniu i od 7 wieczorem. Przedstawienie popołudniowe jest zupełnie tak samo, jak wieczorné. Wszystkie miejsca są umieszczone pod nieprzemagalnym nakryciem.

BUFFALO BILL'S WILD WEST

A Congress of Rough Riders of the World
(najznakomitsi jeźdźcy świata)
pod osobistym kierownictwem

Pułkownika W. F. Cody, „Buffalo Billa”

Po raz ostatni!

Już nigdy do nas nie zawita! więc ostatnia sposobność do ujrzenia ich!

Trzy padziły osobno, 800 ludzi, 500 koni.

Nieporównane widowisko, którego sława nie dorównuje rzeczywistości.

Niezwykły dobór cudownych jeźdźców,
największy konglomerat wojakowy, jakiego świat nie widział,
przedstawiających się w autonomicznej jeździe konnej, jako to: Kozaków z Kantonu amerykańskich Złotów, milicję cywilną Stanów Zjednoczonych, Beduinów z Sahary, celnych strzelców, mistrzów w rżeniu lasu, Vagabondów (pastorki troje), starą Minutę, Cowboyów i Indian z amerykańskich pustyń.

Doświadczeni jeźdźcy na koniach, weterani kawalerii wojennych armii świata.

Grupa japońskich „Samurajów”
1300 dawnej i nowej dziedziny wojakowej

100 amerykańskich Indian
przedstawiających czarne-kończyny, z modą mi, wojownikami, łazakami i drzewami.

Porywające i sensacyjne sceny
znanymi epizodami „Wild-Weat” przed światem przez „płomienne kultury na stopach”
jak nigdy na scenie, doświadczenie doświadczeń (choking, ropucha), sceny wojenne Indian, amerykańskie wojsko, jeźdźcy konni.

Prawdziwa tragedia z wojną
w barwach wielkich obrazach
„Walka nad Little Big Horn”
scena
„Białobłona śmierci gen. Custer’a”.

„BUFFALO BILL”
można w rzeczywistości obserwować z niezwykłą precyzją i siłą, jak nigdy przedtem.

Manewry regularnej artylerii
– tak jak w rzeczywistości na polu walki.

Przedstawienia nadzwyczaj starannie wykonane na wspaniałej scenie na zawsze niezapomniane, bez jakiegokolwiek skradzienia.

Zapowiedziane przedstawienia odbywają się bez względu na pogodę.

Wspaniałe przedstawienie przy wspaniałym wystroju elektrycznym.

Karta wstępu uprawnia do zobaczenia wszystkich zapowiedzianych osobliwości.

Plakat reklamujący pokazy w Krakowie

Ekipa faktycznie była ogromna: 800 ludzi, 500 koni i kilkadziesiąt innych zwierząt. Ludzie, zwierzęta, powozy i sprzęt potrzebny do rozbicia areny oraz wioski indiańskiej podróżowały po Europie trzema pociągami.

Głębsze prawdy o Wild West

Buffalo Bill podkreślał, że jego przedstawienia pokazują autentyczne wydarzenia zarówno z historii Stanów Zjednoczonych, jak też z jego biografii. Była tam np. ostatnia walka Custer’a, obrona osadników przed Indianami czy przeprawy kurlera słynnej konnej poczty Pony Express, która w latach 1860-61 wozila listy na trasie Missouri–Kalifornia.

Cody nazwał swoje przedsięwzięcie „Buffalo Bill’s Wild West” („Dziki Zachód Buffala Billa”). Nie chciał, jak inni, by w nazwie było słowo show. Tak jakby to, co pokazywał światu, było światem samym w sobie, historią przeniesioną w czasie. Przedstawiane przez niego sceny miały być lekcją amerykańskiej historii, a nie fabułkami dla gawiedzi.

W rzeczywistości Cody nie był nad Little Bighorn i nie pracował dla Pony Express. Ale to nieważne, szło przecież o „głębszą prawdę”: nadanie sensu i patriotycznego szlif wydziedzicznemu i rzeziom tubylców. Dziki Zachód miał być krainą nieskończonych możliwości, miejscem wykonywania się narodowego charakteru USA, przestrzenią, gdzie ciężką pracą, wytrwałością i karabinem typu Winchester (a także umiejętną autopromocją) z dzikiego pustkowia czyni się dom, cywilizację, odnosi sukces.

Swoim życiem, a zwłaszcza swoim życiem w „Dzikim Zachodzie Buffala Billa” William Frederick Cody udowodnił, że Dziki Zachód istniał naprawdę.

Ostatni sukces

Escapada po Galicji była jednym z ostatnich akordów europejskich wojaży Buffala Billa. Jego zespół występował jeszcze w Czechach, Niemczech, Luksemburgu, Francji i Belgii, skąd we wrześniu 1906 r. odpłynął do Stanów. Cody nigdy już nie odniósł takiego sukcesu, jakim było ostatnie europejskie tournée. Fortuna zaczęła się odwracać. Inne jego finansowe projekty – inwestycja w kopalnię złota w Arizonie, próba założenia miasta w Wyoming – przynosiły straty. Aż w końcu zbankrutowało jego największe przedsięwzięcie: show o Dzikim Zachodzie.

Przez krótki czas Cody występował jeszcze w innych przedstawieniach o Wild West, bezskutecznie próbował sił w rodzącym się biznesie filmowym. Zmarł w styczniu 1917 r., po 44 latach pracy w ruchomej fabryce marzeń i narodowych mitów.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

SKĄD SIĘ WZIĘŁY WIELORYBY

Ewolucja organizmów czasami przebiega dziwnymi torami.
Chyba najlepiej widać to na przykładzie walenia.

ŁUKASZ SAKOWSKI



JESZCZE KILKA WIEKÓW TEMU SĄDZONO, że walenie są rybami. Karol Linneusz, naśladowując poprzednich autorów, początkowo klasyfikował walenie właśnie jako ryby, podobnie jak inny szwedzki uczyony, uznawany za pioniera ichtiologii Peter Artedi. Jednak w 1758 r. Linneusz zmienił swoje stanowisko, włączając walenie do gromady ssaków.

Polska nazwa „wieloryb” – wiele ryb – także mówi sama za siebie, choć pamiętać też należy o morświnie – morskiej świni. Jest to już znacznie bliższe prawdzie, gdyż walenie spośród współczesnych zwierząt najbliższej spokrewnione są ze świniokształtnymi hipopotamami, czego dowodzą nie tylko podobieństwa anatomiczne i związane z trybem życia, ale również badania molekularne. W dużym uproszczeniu można by powiedzieć, że walenie to takie morskie, drapieżne lub filtrujące pokarm świni. Jednak zdecydowanie lepiej jest mówić o potomkach lądowych drapieżnych zwierząt kopytnych, którym środowiskowo-przyrodnicze okoliczności pozwoliły wrócić w głębinę po milionach lat przerwy – odkąd rybi przodkowie ssaków wyszli na ląd.

Powrót do źródeł

Gdybyśmy cofnęli się w czasie o około 50 mln lat i wyruszyli w podróż na ocean, nie spotkalibyśmy wielkich ssaków morskich. Powierzchnie otwartych wód wydałyby nam się jeszcze bardziej puste niż dziś (jeśli zignorujemy statki), choć na niższych głębokościach moglibyśmy spotkać wielkich rozmiarów ryby.

Właśnie mniej więcej 50 mln lat temu rozpoczęła się historia walen. Istniało jeszcze wówczas Morze Tetydy, położone pomiędzy lądami dzisiejszej południowej Azji i północno-wschodniej Afryki, a dziś zastąpione przez Ocean Indyjski. W jego płytkich, przybrzeżnych wodach brodziły lądowe zwierzęta, które dzisiaj nie są już spotykane. Nie wymarły jednak bezpo-
tomnie.

Jednym z takich gatunków było zgrabne, owłosione zwierzę, posturą i wielkością przypominające wilka (nieco od niego cięższe), lecz wywodzące się ze ssaków kopytnych, podobnie jak hipopotamy, świni czy krowy. Około 49-48 mln lat temu na terenie dzisiejszego Pakistanu zwierzę to prowadziło wodno-lądowy tryb życia. Był to *Pakicetus* – jeden z pierwszych pra-

waleni. Bytował na terenach zalewowych, a jego istotnym przystosowaniem do takiego środowiska było między innymi lepsze słyszenie pod wodą, które zapewniała specjalna struktura w czaszce, okalająca części ucha środkowego i wewnętrznego.

Inny znany ze skamieniałości prawaleń o cechach przejściowych między lądowymi zwierzętami kopytnymi a wielorybami i delfinami, żyjący w zbliżonym okresie, to *Ambulocetus*. Był masywniejszy i większy od *Pakicetus*. Miał wydłużoną czaszkę, błony między palcami, a jego małżowiny uszne – w wodzie niezbyt praktyczne – uległy znacznej redukcji. Więcej czasu spędzał w wodzie, polując na swoje ofiary w sposób prawdopodobnie podobny do krokodyli. Jego potomstwo rodziło się na lądzie.

Potomkowie *Ambulocetus* lub siostrzanych mu grup, czyli *Remingtonocetus*, również żyły tam, gdzie dziś leży Pakistan, także sporo ponad 40 mln lat temu. Zasiadły laguny, ujścia rzek i tereny zalewowe, wstępując także w wody słone. Miały mniejsze kończyny, a ich kanały półkoliste w uchu uległy zmniejszeniu, co sprzyjało uniknięciu zawrotów głowy w trakcie podwodnych akrobacji. Jeszcze młodsze *Rhodocetus* były bardziej opływowe. Ich nozdrza migrowały wyżej, co ułatwiało nabieranie powietrza, z kolei oczy wędrowały ku dołowi – pomagało to we wzrokowym śledzeniu zdobyczy pod wodą. Nie miały jeszcze płetwy ogonowej. Prawdopodobnie pojawiła się ona u wyraźnie młodszych prawaleń, takich jak bazylozaury oraz dorudony.

Zagadkowy podział

Według zgrubnych szacunków około 30-35 mln lat temu spośród prawaleń wyodrębniły się dwie duże grupy, które istnieją również współcześnie. Chodzi o zębownce, takie jak kaszaloty, delfiny i morświny, oraz o fiszbinowce – typowe wieloryby, np. płetwał błękitny. Pierwsze, zgodnie z nazwą, posiadają zęby i polują, drugie żywią się filtrowanym z wody pokarmem.

Kilkanaście milionów lat temu występowały już bardzo podobne do dzisiejszych wielorybów *Cetotherium*, które filtrowały wodę, żywiąc się planktonem. Przodkiem drapieżnych zębownców był natomiast *Squalodon* lub jakiś jego kuzyn. Na podstawie budowy czaszki można sądzić, że na tym etapie prawalenie miały już pewną zdolność echolokacji. Na pewno nie po-

jawiła się ona przed podziałem – fiszbinowce jej nie mają.

Nie znamy dokładnej historii tego podziału. U grup morskich organizmów prześledzenie przyczyn takich zjawisk ewolucyjnych, określanych również jako radiacje, jest trudniejsze niż w przypadku zwierząt lądowych, ponieważ w morzach trudniej o terytorialną izolację określonych populacji. Z tego samego powodu podział na fiszbinowce i zębownce mógł być także znacznie rozciągnięty w czasie (ewolucjoniści mówią w tym kontekście o „paradoksie morskiej specjacji” – jeśli organizmy mogą względnie swobodnie migrować, jak to w morzach i oceanach, trudniej o kumulację zmian genetycznych, które uniemożliwiłyby krzyżowanie się gatunków). Jednak znaczące różnice w sposobach odżywiania się obu grup sugerują, że radiacja walen musi mieć związek z dostępnością pożywienia.

W tym kontekście interesującą cechą części walen – zwykle tych filtrujących – są również ich olbrzymie rozmiary. Dlaczego urosły one tak bardzo (współczesne płetwale błękitne ważą nawet po sto kilkadziesiąt ton), podczas gdy większość polujących zębownców jest znacznie mniejsza?

Otwarte wody oceaniczne to ogromna przestrzeń, łatwa w eksploracji i rojąca się od mniejszych zwierząt – niemal niewyczerpanych zasobów potencjalnego pożywienia. Część prawaleń zajęła więc tę niszę, rosnąc i wykształcając w toku ewolucji rogowe twory, czyli filtrujące pokarm fiszbinę. Tym osobnikom, które były w stanie zdobyć i przefiltrować więcej pożywienia, w życiu i miłości wiodło się lepiej. Część naukowców badających kopalne wieloryby uważa, że związek z tym miały zmiany klimatyczne i zlodowacenia prowadzące do tworzenia się skupisk skorupiaków, którymi walenie te mogły się żywić. W takiej sytuacji, przy zagęszczeniu drobnego pożywienia, rozmiar zwiększał wydajność pozyskiwania go, a lepiej odżywiony wieloryb to wieloryb z większą szansą na przeżycie i rozmnożenie się. Większym osobnikom zarazem łatwiej było uniknąć śmierci ze strony drapieżników, a grubsza warstwa tłuszczu zapewniała magazyn energii i możliwość dłuższych migracji w poszukiwaniu pożywienia. Co ciekawe, jak wynika z analizy Grahama Slaterya i współpracowników, największy wzrost rozmiarów wielorybów nastąpił niedawno, zaledwie →

→ w ciągu ostatnich kilku milionów lat. Płetwal błękitny jest zaś największym znanym zwierzęciem w całej historii życia na Ziemi.

W biologii nie ma jednak darmowych obiadów. Wielkie rozmiary to nie tylko spore korzyści, ale także ogromne koszty – sporą część swojego życia te oceaniczne olbrzymy muszą poświęcać na szukanie pożywienia, co nieraz skutkuje przemierzaniem setek i tysięcy kilometrów. Dziś siejsza bioróżnorodność fiszbinowców pokazuje jednak, że w tym przypadku przeżyły korzyści, ponieważ przetrwały jedynie największe fiszbinowce. Małe wieloryby wyginęły.

Zębownce pozostały drapieżnikami i zachowały zęby, ale te, znacznie się zmieniły. Zatraciły zróżnicowanie na siekacze, kły, przedtrzonowce i trzonowce, jakie charakteryzowało ich przodków i przybliżyło do reszty ssaków. Ta nowa cecha upodabnia je za to do gadów.

Ślady zmian

Gdyby przyjrzeć się waleniom z bliska, to okazuje się, że ze skóry tych wodnych ssaków wyrastają włosy. Nie są rzecz jasna tak gęste, jak np. u fok – często są to pojedyncze, ledwo dostrzegalne włoski. Jest to ich szczątkowa cecha, pamiątka po lądowej przeszłości. Inna to miednica – również szczątkowa. W wodzie walenie praktycznie jej nie potrzebują. Może odgrywać rolę przy kopulacji, ale nie spełnia już swoich pierwotnych funkcji w układzie ruchu. Podobnie jest z nogami, czyli kończynami tylnymi, lecz je uznać można już nie za narząd szczątkowy, ale za atawizm, ponieważ pojawiają się rzadko, u pojedynczych osobników, w formie płetw.

U waleni ciekawy jest jeszcze jeden brak – gruczołów łzowych. Ich redukcja wydaje się być naturalnym następstwem życia w wodnym środowisku, w którym nie byłoby przydatne, zaś same oczy i tak mają ochronę w postaci zmodyfikowanego na-

Niektóre walenie przechodzą pozytywnie tzw. test lustra, czyli posiadają jakąś formę samoświadomości.

błonka. Redukcja narządów i struktur, które nie są już gatunkowi przydatne, to naturalny proces wynikający ze zbalansowania energii organizmu i kierowania jej tam, gdzie jest potrzebna. Budulec i energia wykorzystywane wcześniej do wytworzenia tylnych kończyn, mogą zostać przekierowane do rozwijania innych przystosowań, takich jak, przykładowo, większy zapas tkanki tłuszczowej albo wytworzenie płetwy ogonowej.

W przypadku waleni podobnie stało się nawet z niektórymi szlakami mózgowymi, które u zwierząt lądowych odgrywają olbrzymią rolę. Chodzi o struktury związane ze zmysłem powonienia. U zębownców zanikły one w dużym stopniu, przez co zwierzęta te pozbawione są węchu (fiszbinowce zachowały go w ograniczonym stopniu). Prawdopodobnie coś zbliżonego stało się ze zmysłem smaku – u zębownców nie występują bowiem receptory odpowiedzialne za odczuwanie smaków gorzkiego, słodkiego i umami.

Ponownie w rzece

Filogeneza waleni pełna jest interesujących zjawisk ewolucyjnych. Jednym z nich jest występowanie paralelizmu, czyli niezależnego pojawiania się podobnych cech, będących przystosowaniem do podobnego środowiska.

Paralelizm często występuje u bliskich sobie gatunków, np. delfinów rzecznych. Do tej grupy zalicza się inia amazońska w Amazonce, tonina mała z estuarium La Platy, suzu gangesowy z wód Indusu oraz Gangesu, a także najprawdopodobniej wymarły już baji chiński z rzeki Jangcy. Ich odrębne populacje żyjące w Amazonce, nizinie La Platy i w dużych rzekach Południowej Azji wykształciły niezależnie od siebie – na co wskazują badania molekularne – cechę taką jak bardzo cienka skóra. Jest to ważne dla tych zwierząt, gdyż niejednokrotnie są zmu-

szone pływać pomiędzy drzewami i ich korzeniami na terenach zalewowych wymienionych rzek. Zasiedlenie rzek wymagało zresztą u tych gatunków ponownej adaptacji do życia w słodkiej wodzie – po tym jak całe pokolenia waleni spędziły życie w słonych morzach i oceanach.

U znacznej części gatunków waleni, zwłaszcza u tych zębowych, występują rozmaite zachowania stadne, wliczając w to altruistyczne. Regularnie obserwowane są np. akcje ratownicze humbaków, przybywających na pomoc mniejszym zwierzętom – często też waleniom – atakowanym przez dwa razy od nich mniejsze orki. To zachowanie może mieć także podłoże osobiste, a nie czysto altruistyczne – humbaki mogą pamiętać z dzieciństwa, jak same atakowane były przez orki, dlatego jako dorosłe osobniki chcą się „zemścić”. Mają ku temu dobre narzędzia – wśród wszystkich waleni ich płetwy piersiowe – czyli odpowiedniki naszych rąk – są największe i najlepiej rozwinięte. Dodatkowo obrastają je pąkle, których pancerzyki mogą ranić wrogów.

Niezależnie od tego, które z tych wyjaśnień jest prawdziwe, daje obraz złożonego życia społecznego i umysłowego tych zwierząt. Tę złożoność umożliwiają także olbrzymie mózgi – zarówno w rozmiarach bezwzględnych, jak i w stosunku do rozmiarów ciała. Pod tym kątem niektóre walenie, zwłaszcza delfiny, ustępują wyłącznie człowiekowi. Testy behawioralne pokazały, że niektóre walenie przechodzą pozytywnie tzw. test lustra, czyli posiadają jakąś formę samoświadomości. Potrafią także rozumieć symbole, uczyć się zaprojektowanego przez człowieka języka i występuje u nich dziedziczenie kulturowe, czyli przekazywanie określonych zachowań i umiejętności z pokolenia na pokolenie dzięki wiernemu naśladowaniu starszych osobników przez młodsze. Walenie fascynują więc kognitywistów i etologów.

Ale i tak chyba najbardziej zachwycają ewolucjonistów. Ich filogeneza obejmuje niezwykle zwroty akcji oraz cały katalog zjawisk ewolucyjnych, towarzyszących kolejnym radiacjom. A przy tym zostawiły one po sobie olbrzymie ilości materiału kopalnego, które pozwalają te wszystkie zmiany śledzić z niespotykaną dokładnością. W podręcznikach do ewolucji zajmują szczególnie miejsce – i chyba nikt im go już nie odbierze.

© ŁUKASZ SAKOWSKI



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Śłuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM

| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

STREFA DIALOGU NA SLOT ART FESTIVAL

Dajcie nam się poznać!

Po raz kolejny „Tygodnik Powszechny” zaprasza na spotkania do Strefy Dialogu odbywającej się podczas Slot Art Festival (Lubiąż 9–13 lipca).

	Środa, 10 lipca	Czwartek, 11 lipca	Piątek, 12 lipca	Sobota, 13 lipca
Przebudzenie Ducha 9:00–10:30	Medytacja Prowadzi Piotr Sikora	Medytacja Prowadzi Piotr Sikora	Medytacja Prowadzi Piotr Sikora	Redakcja TP Śniadanie otwarte z Redakcją „TP”
Wtajemniczacze 11:00–12:30	Justyna Dąbrowska Starsi Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Adam Robiński Mniejsi Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Anna Goc Głusi Prowadzenie: Marcin Żyła	Michał Okoński Spoceni, czyli rzecz o futbolu Prowadzenie: Monika Ochędowska
Nowa wspólnota 13:00–14:30	Zuzanna Radzik Terapia strachów	Dariusz Rosiak Rozpad Europy Prowadzenie: Marcin Żyła	Piotr Mucharski Polska po Adamowiczu Prowadzenie: Marcin Żyła	Adam Bodnar Co może obywatel Prowadzenie: Marcin Żyła
Światy & przestrzenie 20:00–21:30	Stanisław Łubieński Ptaki Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Karolina Cicha Muzyka i świat Prowadzenie: Marcin Żyła	Bartek Dobroch Mapy Prowadzenie: Marcin Żyła	Ryszard Kosiński O wyobraźni Prowadzenie: Monika Ochędowska

Spragnieni dobrej lektury? Zapraszamy na leżaki do letniej czytelnii „Tygodnika Powszechnego”. Więcej o Strefie Dialogu na powszech.net/slot

Spotkajcie się z nami!

SLOT ART FESTIVAL, Lubiąż k. Wrocławia, pełny program oraz bilety: slot.art.pl



**FESTIWAL
KULTURY
ŻYDOWSKIEJ**



Tradycyjne izraelskie potrawy przygotowywane w ramach warsztatów prowadzonych przez Tovę Dickstein.



Korzenie i korzonki

TOVA DICKSTEIN, ARCHEOLOŻKA:

**Pokaż mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś.
Badając historię pożywienia i sposobów jego wytwarzania,
badamy tak naprawdę całą strukturę funkcjonowania społeczności.**

MICHAŁ SOWIŃSKI: Co zerwała z rajskiego drzewa Ewa?

TOVA DICKSTEIN: Nikt tego nie wie, ale na pewno nie jabłko. Pismo mówi nam tylko, że był to owoc, ale i to nie jest pewne. W tradycji chrześcijańskiej od średniowiecza malarze, którzy chcieli przedstawić tę scenę, potrzebowali konkretnego – wyszło z tego jabłko. Jednak owoc ten już wcześniej związany był z pogańskimi

rytuałami płodności i symbolizował pożądanie, więc pewnie wybór był bardziej oczywisty, niż się nam z dzisiejszej perspektywy wydaje. Do tego jabłko po łacinie oznacza także „zły”.

Czyli nawet archeolog jedzenia tu nie pomoże?

Niestety! To już na zawsze pozostanie tajemnicą. Ale może to i lepiej? Gdyby Bóg

chciał, żebyśmy wiedzieli, toby nam powiedział. Ale wtedy nie mielibyśmy tylu interesujących interpretacji. Jedne mówią na przykład o figach, bo idą prostym i logicznym tropem listków figowych. Inna, chyba ciekawsza, sugeruje, że to wcale nie był owoc, ale ziarno pszenicy, z którego pierwsi rodzice upieklili chleb. To symboliczny moment zarówno dla cywilizacji w ogóle, bo oznacza początek rewolucji

agrarnej, jak i dla rozwoju każdego pojedynczego człowieka, ponieważ chleb wprowadza się do diety w okolicach drugiego roku życia, czyli wtedy, gdy dziecko zaczyna mówić. Co w ciekawy sposób dodatkowo komplikuje symbolikę drzewa poznania dobra i zła.

To czym właściwie zajmuje się historia jedzenia?

Czasem, ale to bardzo rzadka sytuacja, uda się wykopać skamieniałe resztki pożywienia lub narzędzi służących do jego obróbki. Potrafią one bardzo dużo powiedzieć o życiu ludzi sprzed setek, czasem nawet tysięcy lat. Ale na co dzień próbuje na różne sposoby rekonstruować jedzenie starożytnego Izraela. W Biblii, ale też w wielu innych tekstach kultury, zachowało się wiele wzmianek o tym, co i jak kiedyś spożywano. Czasem trafiają się nawet gotowe przepisy!

Jakie?

Na przykład w Księdze Ezechiela Bóg polecił prorokowi, jak ma się odżywiać: „Weź sobie pszenicy i jęczmienia, bobu i soczewicy, prosa i orkisz: włóż je do tego samego naczynia i przygotuj sobie z tego chleb” (Ez 4, 9). Co ciekawe, przepis w pewnym sensie przetrwał do dziś jako chleb Ezechiela. Sprzedaje się go na całym świecie, uchodzi nawet za tzw. *superfood*. Doszło tu jednak do małego nieporozumienia. W czasie gdy powstawała ta księga, słowem „chleb” określano rodzaj potrawy jednogarnkowej i raczej tego dotyczyły boskie wskazówki. Jednak w mojej pracy nie chodzi tylko o jedzenie, lecz przede wszystkim o skomplikowane relacje między rolnictwem, klimatem a rozwojem cywilizacji, szczególnie izraelskiej.

Historia jedzenia jako historia tożsamości?

Trudno przecenić rolę jedzenia w budowaniu tożsamości – przez tysiąclecia niemalże każda aktywność człowieka nastawiona była na jego produkcję i przygotowywanie. Badając historię pożywienia i sposobów jego wytwarzania, badamy tak naprawdę całą strukturę funkcjonowania danej społeczności. Mówiąc inaczej – pokaż mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś. Weźmy choćby skomplikowaną historię macy, którą spożywa się podczas święta Paschy. Niezwykle proste danie, a tyle mówi o Izraelu i jego przeszłości. Niemalże każdy element naszego ży-

■ 29. FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ

w Krakowie odbędzie się pomiędzy 21 i 30 czerwca 2019 r. Tematem tegorocznej edycji będzie ziemia – jeden z żywiołów; miejsce budujące tożsamość, przechowujące pamięć i tworzące przyszłość.

Centrum tegorocznej edycji znajdzie się w specjalnie w tym celu postawionym Namiocie FKŻ, tuż obok synagogi Wysokiej. Będzie gościł festiwalowe wykłady, warsztaty, spotkania, część wydarzeń muzycznych – tam też działał będzie Cheder i festiwalowa strefa chill outu.

Więcej na www.jewishfestival.pl

■ TOVA DICKSTEIN będzie gościem tegorocznej edycji Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie.

24 czerwca o 17.00 w festiwalowym namiocie na rogu ulic Józefa i Wąskiej wygłosi wykład „Zapomniane symbole na talerzu” (wstęp wolny), a dzień później o godzinie 17.00 poprowadzi warsztaty „Zapomniane smaki izraelskiej ziemi” (obowiązują zapisy).

cia jest połączony z jedzeniem – zarówno dziś, jak i dawniej. Kiedyś Bóg obiecał Żydom na pustyni, że jeżeli będą posłuszni jego woli, nigdy nie zabraknie im chleba, oliwy i wina. Jak by nie patrzeć – te trzy artykuły spożywcze towarzyszą nam od bardzo dawna i są podstawą żydowskiej kuchni.

Ale jak stwierdzić, że jakieś danie przynależy do tej, a nie innej kultury?

Oczywiście bardzo trudno to jednoznacznie rozstrzygnąć. Na Bliskim Wschodzie istnieje masa roślin czy potraw, które do dziś pozostają, pod różnymi nazwami, wspólne dla wszystkich mieszkańców, niezależnie od ich narodowości, rasy czy religii. To oczywiste, bo przecież mieszkamy tu wszyscy razem. Bardzo często wykorzystuję tę wiedzę do nawiązywania porozumienia w trudnych relacjach. Niemniej w wielu przypadkach można prześledzić genezę i późniejszą historię tego czy innego rodzaju pożywienia. Z pomocą przychodzi odkrycia archeologiczne – zdarza się znaleźć resztki bardzo konkretnych posiłków, niektóre sprzed wielu

stuleci. Istnieje też szereg dokumentów, gdzie pojawiają się nazwy czy składniki dań – jeśli połączy się to wszystko w całość, można dojść do ciekawych, czasami wręcz zaskakujących wniosków.

Jak z hummusem, o który toczy się wiele sporów.

Hummus był bardzo ważny dla powojennej narracji tożsamościowej Izraela. Powszechnie uważano, że nasi przodkowie w starożytności się nim zjadali, dlatego był idealnym spoiwem między nowym i dawnym państwem. Stał się – i do dzisiaj jest – daniem narodowym Izraela. Prawda jednak okazała się bardziej skomplikowana – w czasach biblijnych hummus nie był zbyt popularny w Izraelu, upowszechnił się u nas dopiero w okresie wypraw krzyżowych. Wcześniej najpopularniejszym daniem na tych ziemiach była pasta z bobu, która z kolei dziś w niezmiennionej właściwie formie, tyle że pod nazwą „bissara”, jest ikoną kuchni egipskiej i marokańskiej. Fascynujące są tego typu przesunięcia.

Prowadzi Pani także bardzo popularne warsztaty kulinarne z tradycyjnej kuchni izraelskiej. Dlaczego tyle osób chce nagle gotować jak ich przodkowie przed wiekami?

Gotowanie w ogóle zrobiło się bardzo popularne, mamy setki programów kulinarnych, a kucharze stają się między narodowymi celebrytami. Jednak myślę, że brakuje w tym nawiązania do tradycji. Ludzie pragną odzyskać kontakt ze swoimi korzeniami, chcą poczuć łączność ze swoimi przodkami. Albo sięgnąć jeszcze dalej – spróbować tego, czym na co dzień żywił się król Dawid. Wielu Żydów musiało opuścić ojczyznę, więc po dwóch tysiącach lat ich potomkowie chcą się dowiedzieć, co ich ominęło. Bo o korzeniach trzeba nie tylko mówić i pamiętać – czasami warto je także zjeść.

© © Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



ARCHIWUM PRYWATNE

TOVA DICKSTEIN jest izraelską historyczką i archeologką, swoją rozprawę doktorską poświęciła historycznym przemianom kuchni żydowskiej czasów Drugiej Świątyni (VI-I wiek p.n.e.). Prowadzi warsztaty gotowania często zapominanych dziś dań z tradycji żydowskiej.

BYĆ! BYĆ!! BYĆ!!!

TERESA BUDZISZ-KRZYŻANOWSKA, AKTORKA:

Chodziłam niezgrabnie, lecz Holoubek uspokajał mnie,
że nie muszę się martwić, bo ludzie zwracają uwagę na ręce,
którymi wymachiwałam łapiąc równowagę.
Kule odkładałam za kulisami, na scenę wchodziłam jak na walkę byków.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Mama mówiła po kaszubsku?

TERESA BUDZISZ-KRZYŻANOWSKA: Mama mówiła piękną polszczyzną, ale знаła też język kaszubski. Brat jej matki, czyli mojej babci, był kaszubskim poetą – Hieronim Derdowski. To on jest autorem powiedzenia: „Nie ma Kaszëb bez Polonii, a bez Kaszëb Polëczy”. Derdowski napisał po kaszubsku poemat „O panu Czôrlinścim co do Pucka po sece jachôł” – z humorem opisujący sąsiedzkie życie Kaszubów i Polaków. W Wielu stoi jego pomnik – duma rodziny.

Mama czytała poemat Derdowskiego bezbłędnie, a jeszcze piękniej czytała po polsku „Pana Tadeusza”. Nie wiem, skąd wiedziała, gdzie trzeba postawić średniówkę i klauzulę.

Skąd to mogła wiedzieć?

Po prostu wiedziała, taka organiczna właściwość. Miała też poczucie rytmu, fantastycznie śpiewała. Chodziła na chór, gdzie pan organista uczył pieśni Moniuszki. W domu wyśpiewywała je rzewnym głosem. „Po nocnej rosie brzmij dźwięczny głosie / Niech się twe echo rozszerzy / Gdzie nasza chatka, gdzie stara matka / Krząta się koło wieczery...”. Największe wrażenie robiła na mnie pieśń o starym Cyganie, którego wyrzucono z karczmy, bo „wdzięczne piosneczki

z jego skrzypczki niegdyś bawiły / Dziś nie chce ich świat”. Wypchnięty za drzwi umarł gdzieś po płocie.

Słuchałam tego bawiąc się klockami i łzy kapąły mi ze wzruszenia.

Śpiewałyście razem?

Och nie, byłam zasłuchana. A mama krzając się w naszym domu w Tczewie, zawsze sobie coś nuciła. Ja też tak się zachowuję, co czasem śmieszy albo denerwuje moją córkę Anię.

Gdy idę ulicą i coś sobie nuce, rzeczywiście mogę wyglądać na świrniętą...

Jaka była mama? Dzielną. Ojciec zaginął w pierwszych dniach wojny. Sama została z trójką dzieci. Nie wiem, kiedy i jak udało się ustalić, że ojciec jest w Dachau. Mama go stamtąd wyciągnęła.

To nie była prosta sprawa: wyciągnąć kogoś z obozu.

Brat ojca ożenił się z Niemką. Mieszkali też w Tczewie, w pięknym mieszkaniu, byli zamożni, mieli koneksje. Mama poszła prosić o pomoc. Stryj, owszem, przyjął ją, lecz w holu. Jego bardzo niemiecka żona wołała zza zamkniętych drzwi: „Czy ta Polka już poszła?”. Dla mamy to upokorzenie musiało być trudnym doświadczeniem... Niemniej stryj stanął na wysokości zadania i ojciec wrócił, ale bardzo chory. Zmarł niedługo – w lutym 1942 r. Ja uro-

dziłam się we wrześniu, nie zobaczyliśmy się nigdy.

Mam w domu portret rodziców i jego zdjęcie. Przystojny mężczyzna. Ojciec był maszynistą kolejowym. Gdy szedł do pracy, mówił, że idzie na służbę.

To samo Pani mówiła, gdy grała Pani u Jerzego Grzegorzewskiego.

Bo bardzo mi się podoba to określenie. Jest w nim pokora, poczucie obowiązku i przyjemność. Służyłam, bo chciałam. A Grzegorzewski traktował aktorów jak kolor, który ma wypełnić reżyserską wizję.

To właśnie dla Grzegorzewskiego w 1983 r. przeniosta się Pani ze Starego Teatru w Krakowie



TERESA BUDZISZ-KRZYŻANOWSKA (ur. 1942) jest aktorką teatralną i filmową. W teatrze pracowała m.in. z Jerzym Jarockim, Andrzejem Wajdą i Jerzym Grzegorzewskim, w filmie – z Krzysztofem Kieślowskim, Wojciechem Marczewskim, Tadeuszem Konwickim. Ostatnio wystąpiła w „Papieżycy” (Teatr Ateneum) i „Wujaszku Wani” (Teatr Polski). W lutym 2019 r. odbył się w Filharmonii Krakowskiej koncert, z którego dochód został przeznaczony na leczenie i rehabilitację aktorki.



→ **do Teatru Studio w Warszawie, któremu on wtedy dyktował.**

Dałam mu się zbalać, bo wydawało mi się, że w Starym Teatrze już nic nowego mnie nie spotka. A Jurek wtedy pokazywał, że na scenie możliwy jest zupełnie inny język niż ten, do którego przywykłam. Wyrzucał mnóstwo tekstu, wydawało się, że nie ma roli, a przecież była. To, co istotne, działo się poza słowami; w gestach, spojrzeniach, ruchu, pauzach, ciszy. Praca z Jurkiem nie była łatwa – trzeba się było wsłuchiwać w to, czego nie mówił, jego świat wyobrażeń był często niedostępnym. Wpatrywałam się w niego, by coś zrozumieć. Robił miny.

Dużo miał tych min?

Marszczył brwi, poprawiał okulary, był bardzo skupiony i niepewny. Korygował natychmiast to, co powiedział przed chwilą: „A może nie tak, a może tak, a może jeszcze inaczej”. Z tych namysłów rodziły się sceny. Widzowie może nie zawsze wiedzieli, o co chodzi, ale było pięknie.

Czasem przed próbą prosił, byśmy usiedli na widowni i wpatrywali się w scenę, szukając natchnienia.

Długo?

Dla mnie to była wieczność. Wpatrywałam się w scenę i „niczego nie widziałam oczyma duszy swej”. Potem wchodziliśmy, by improwizować. Czasem Jurek wchodził na scenę, by coś pokazać, ale szybko z niej zmykał, z zażenowaniem mówiąc: „Przepraszam, przepraszam...”. Czarujący człowiek. Ale nie zagrałam u niego wielkich ról.

Jak to, a Pani Rollison w „Dziadach”, a Paganini w „Usta milczą”?

No tak, chyba mam kłopoty z pamięcią. Początkowo trudno było mi wejść w zespół, ale po udanej premierze „Opery za trzy grosze” zbliżyliśmy się wszyscy.

Pracowałam wyłącznie z Grzegorzewskim i zaczęłam marudzić. Mówiłam nie raz, że na scenie znowu są skrzydła samolotu, narty postawione jak parkan, pantografy tramwajowe, fortepiany odwrócone: „Cały czas operujesz tymi samymi rekwizytami”. On dawał mi się wygadać, a potem mówił: „Ale, przepraszam cię Teresa, jak idziesz na koncert Yehudi Menuhina, to za każdym razem się dziwisz, że on znowu gra na skrzypcach?”. Dostałam po nosie. Nikt nigdy bardziej taktownie



WOJCIECH PLEWIŃSKI

W czerwcu 1989 r., w Starym Teatrze w Krakowie miała miejsce premiera „Hamleta” w reżyserii Andrzeja Wajdy. Dramat Szekspira specjalnie na potrzeby tego spektaklu przetłumaczył Stanisław Barańczak. Tytułową rolę reżyser powierzył Teresie Budzisz-Krzyżanowskiej.

nie dał mi do zrozumienia, że mówię głupstwa. On w ten sposób stwarzał i meblował swój świat.

Jednak Pani miała dość tego świata.

Bo z czasem dziwnie się porobiło. Jurek – wydaje się, że niechący – został dyrektorem Teatru Narodowego i zabrał ze sobą część zespołu Studia. Ogromna widownia, ogromna scena i ogromne możliwości techniczne. Jurek bawił się nimi jak dziecko nową zabawką. Ja bałam się tej sceny, „za duży wiatr na moją welnę”. Ale dawałam radę.

Pamiętam dokładnie moje zachwyty na próbach „Pod wulkanem” Lowry’ego. Marek Walczewski grał Konsula, ja byłam Yvonne. W czasie tych prób zorientowa-

łam się, że Jurek ma kłopot z alkoholem. To było głęboko prawdziwe, przejmujące przedstawienie...

A Jurek zachowywał się czasem tak, jakby na naszych oczach próbował popełnić samobójstwo – tak samo jak Konsul. Odrzucał wszelką pomoc, nie mogłam na to patrzeć.

W 2003 r. wystawił „Studium o Hamlecie”. Byłam zachwycona. Kraków, Młoda Polska, Wyspiański, Szekspir, wszystko to, co lubię. Czytałam to jako studium o umieraniu. Po premierze podeszłam do Jurka, by mu podziękować i pogratulować. A on na to: „No co? Można reżyserować będąc po wódce!?” To było bardzo prowokacyjne i nieprzyjemne. Wiedziałam, że trudno już będzie z nim rozmawiać.

Przestaliśmy się ze sobą kontaktować. Umarł okropnie, na schodach, na kłtce schodowej. Znaleźli go sąsiedzi

A wcześniej wystawił „Duszyczkę”

– **rzecz o odchodzeniu ciała od duszy, przejściu od być do nie być.**

Zaadaptował do tego przedstawienia podziemie Teatru Narodowego, można to było czytać symbolicznie.

Po śmierci Jurka dyrektorem został Jan Englert. Wtedy Andrzej Seweryn wyreżyserował „Ryszarda II”. Olbrzymie widowisko, gigantyczna scenografia, mnóstwo ludzi na scenie. Na początku przedstawienia miałam jedną bardzo dramatyczną scenę z Ignacym Gogolewskim. Spektakl był dosyć rzadko grany. W „Ryszardzie II” do końca grali Krzysztof Kolberger i Gabrysia Kownacka. Obserwowałam Kolbergera, jak pod wpływem choroby się zmienia. On wiedział i myśmy wiedzieli, że powoli odchodzi. Siadał na uboczu i zmęczony przygotowywał się do swojej sceny, ale widziałam, że myślami jest już gdzie indziej. Kiedyś pojechałam z nim do Bydgoszczy na zaproszenie Filharmonii. W czasie podróży mówił mi o swojej lekarce z Krakowa, która codziennie dzwoni do niego, by mu przypomnieć o lekarstwach, i pyta, jak się czuje. Przed koncertem poprosił, bym agrałką spięła mu spodnie, tak schudł. Był słaby, ale na scenie – wielki. A potem umarła Gabrysia Kownacka.

Ja strasznie długo żyję, tylu kolegów już odeszło. Smutne.

Jak Pani to mówi, to myślę o Pani w roli Hamleta, który bardzo tęskni za niedawno zmarłym ojcem, a nawet rozmawia z jego duchem.

Też bardzo chciałam porozmawiać z ojcem, w dzieciństwie okropnie za nim tęskniłam. Pamiętam, jak kiedyś zalałam się łzami i zalałam się mamie, że inne dzieci mają tatusia, a ja swojego nie mogę zobaczyć. A potem w drodze ze szkoły do domu jego grób odwiedzałam niemal codziennie. Miałam obowiązek podlewać na nim kwiatki. Taka byłam cmentarna panienka.

Proszę jeszcze więcej opowiedzieć o tej służbie.

Wolę jednak mówić o zawodzie. Jest piękny. Miałam szczęście, los mi sprzyjał, grałam dużo ważnych ról w wspaniałych reżyserów. Kolegów pamiętam wszyst-

kich po tej i po tamtej stronie. Ta służba nie była uciążliwa. O trudach nie pamiętam.

Naprawdę?

Pamiętam dobrze zmaganie i przyjemność przy pracy nad tym „Hamletem”. Andrzej Wajda wstrzelił się z nim idealnie w czas: premiera odbyła się w czerwcu 1989 r. Zbiegły się sztuka i tocząca się obok historia – być albo nie być. W trakcie tego monologu otwierałam okno na plac Szczepański i mówiłam do ludzi: „Jaki ten świat okropny”. To było niesamowite, że w każdej scenie były podteksty.

W „Hamlecie” miałam być, a nie grać.

Jak to?

To historia na osobne opowiadanie. Lecieliśmy we czwórkę do Berlina: Wajda, Krysia Janda, Janek Nowicki i ja. Pan Andrzej wymyślił, że będzie reżyserował sceny z „Łagodnej” dla Niemców. Czekał na samolot i pan Andrzej siedząc naprzeciwko mnie nagle powiedział: „Powinnas zagrać Hamleta...”. Byłam zmęczona, zmartwiona, miałam mnóstwo osobistych problemów. Coś zabełkotałam, że to niemożliwe, że dziękuję, myślałam, że to bez sensu, bo tyle już razy kobieta grała faceta. Nie wierzyłam w ten pomysł.

Pani w ogóle jest ostrożna.

Chyba tak. Ale to była jednak kusząca propozycja. Przeczytałam na świeżo „Hamleta”. Mieszkiałam i pracowałam już w Warszawie, ale często wracałam do Krakowa, bo tu były moje kotwice. I z tęsknoty poszłam do Starego. Akurat odbywały się próby „Dybuka”. Koledzy na scenie, Wajda na widowni, ja usiadłam za nim. Rozmawialiśmy chwilę o tym, co słysząc; był dla mnie zawsze serdeczny. Wtedy zapytałam, co z tym Hamletem, bo ja już jestem strasznie głodna czegoś nowego. Okazało się, że też myślał o naszym Hamlecie. Zrozumiałam, że ma być to sztuka o teatrze i aktorach. „Będziesz mówiła monologi w swojej garderobie, która będzie tam za sceną i gdzie będą siedzieć widzowie. A na scenie tyłem do pustej widowni będzie się odbywała akcja sztuki” – powiedział. Spodobało mi się. Potem, gdy już przysłał mi monologi, specjalnie na tę okazję tłumaczone przez Barańczaka, wiedziałam, że to moje, że już nikomu tego nie oddam. Zaczęliśmy próbować w maju 1989 r.

Wajda fantastycznie mnie oswajał, mówił: „Jak się nie uda, to zrezygnujemy, ale poczytajmy, zobaczymy, co z tego wyniknie”. Na próbach zdarzało się, że byliśmy tylko we dwoje. Kiedyś zauważył: „Ty się wstydzisz, boisz się śmieszności, ale nie graj, wiem, że potrafisz, bądź sobą”. Musiałam się zastanowić, kim jestem.

I?

Dzięki Hamletowi stanęłam na nogi, inne problemy zeszły na plan drugi, wiedziałam, że mam ważne zadanie do wykonania. W „Hamlecie” każdy może przyręczyć się sobie – czasem jesteśmy śmieszni, czasem tragiczni. Takie życie. Ośmieliłam się być sobą na scenie; co za ulga.

Właśnie tego za bardzo nie rozumiem... Jak to jest być sobą w roli?

Gram na instrumencie, którym jestem ja sama: wyposażam postać w swoje emocje, choć to już nie moje, a moich postaci. Lubiłam scenę z przyjaciółmi... Już wiem, że nie są uczciwi. Wyrzucam Rosenkrantzowi flet mówiąc: „Chcesz grać na mnie jak na flecie? A grać na mnie nie potrafisz, bo jestem bardziej skomplikowanym instrumencie”. Potem z wściekłością wyrzucałam flet za kulisy. Kiedyś tak nim trzepnęłam, że się rozwalił; była we mnie nieprawdopodobna siła.

Trudno było mi w scenie Ofelii, którą grała Dorota Segda. Mówiłam jej: „Idź do klasztoru, bo świat jest okropny, a mężczyźni niegodni zaufania”. Wtedy też mówiłam jak kobieta do kobiety...

Samo życie.

Byłam przekonana, że to, co robię, ma sens – że coś ludziom daję, a dla mnie to było lekarstwo na moje roztkliwianie się. Ten zawód bywa terapeutyczny. Bo zazwyczaj to rzemiosło, a tylko czasem coś więcej, coś, czego nie doświadczaliśmy, a nawet nie przeżywaliśmy.

A z „Hamletem” od razu po pierwszym spektaklu pojechaliśmy na światowe tournée.

Ale bez Ewy Lassek, która jeszcze na premierze grała Królową.

Tak, bo w dzień premiery Ewa do teatru przyszła niedysponowana.

W garderobie po prostu spadała z krzesła. Rozgoryczona mówiła do mnie: „Ja ci tu tylko partneruję”. Nie wiedzieliśmy, co dalej będzie. Wajda rozważał jakieś karkołomne nagłe zastępstwo, a my →

→ wierzyliśmy, że Ewa da radę. Jurek Bińczycki, który grał Króla, wziął Królową pod pachę i weszli na scenę. Ewa mówiła pięknie, tylko nieco wolniej i dobitniej niż zazwyczaj. To była świetna aktorka. Ale drżałam, gdy zbliżała się scena rozmowy Hamleta z matką. Klęczałam przed nią, trzymałam mocno jej ręce i znowu jak kobieta do kobiety dobijałam się do niej i o nią: „Matko, zastanów się, co robisz, źle postępujesz”. Ta scena nigdy później nie miała już tylu prawdziwych emocji. Jednak Wajda nie chciał ryzykować, na tournée pojechała Dorota Pomykała z egzemplarzem w ręce – tekstu uczyła się w samolocie. Pani pyta, jak to Ewa zniosła? Rok później odeszła.

Mnóstwo w tym zawodzie niespełnionych ambicji i potłuczonych życiorysów.

I upokorzeń, i nieprzewidzianych sytuacji – sama tego doświadczałam.

W Narodowym był zaprogramowany na każdy miesiąc plan spektakli, wisiał na tablicy, przy wejściu. Terminarz weekendów był drukowany na szarym pasku. Przechodziłam obok tego codziennie i nie zauważyłam, że w niedzielę gram w „Ryszardzie II”. W tę samą niedzielę w Ateneum grany był „Edyp”. Spokojnie siedziałam w garderobie w Ateneum przygotowana do spektaklu i nagle telefon, inspicjent z Narodowego pyta, gdzie jestem. Zdziwiona myślę, że kto jak kto, ale on powinien wiedzieć, gdzie jestem o tej porze. Odpowiadam: „W teatrze”. Inspicjent: „A w którym? Bo my tu gramy »Ryszarda«”... Katastrofa. Spektakl odbył się beze mnie. Potem pytałam Kolbergera, jak poszło, a on na to: „Nawet lepiej, bo krócej”. To na szczęście była jedna scena na początku sztuki, nikt z widzów nie zauważył jej braku.

A w „Edypie” moja Jokasta tego wieczoru miała wielką dramatyczną siłę. Wszyscy grali pięknie, gratulowaliśmy sobie udanego spektaklu. Był z nami dyrektor Holoubek i dyrektor administracyjny, bardzo miły człowiek. Powiedziałam całemu zgromadzeniu, co zrobiłam, pytałam, co teraz będzie i jak mam postąpić. Ten miły dyrektor odpowiedział mi: „No cóż, wyleją panią i następnego dnia będzie pani już nareszcie u nas. Obiecuję, osobiście autem przywiozę panią do Ateneum”.

Następnego dnia posłam do dyrektora Englerta wyjaśnić całą sytuację. Miałam nadzieję, że skończy się na naganie z wpi-

Ten zawód bywa terapeutyczny.

Zazwyczaj to rzemiosło,
a tylko czasem
coś więcej, coś, czego
nie doświadczałyśmy, a nawet
nie przeczuwałyśmy.

saniem do akt w najgorszym przypadku. Dyrektor był bardzo zmartwiony, bardzo mu było przykro, ale nie miał za bardzo wyjścia i musiał mnie zwolnić w trosce o dyscyplinę zespołu i swój autorytet. Dał mi szansę. „Są dwa wyjścia – powiedział. – Ty sama złożysz podanie o rozwiązanie umowy albo ja cię zwolnię”. Naprawdę świetnie zagrał scenę zmartwionego dyrektora. Prosto z jego gabinetu posłam do inspicjenta. Pytam, jak to było, przecież spektakl odbył się, nie ma powodu, bym płaciła tak wysoką cenę. A on na to: „Ale dyrektor zrobił mi awanturę, że spektakl się odbył”. Gdy to usłyszałam, pomyślałam... Nie, nie powiem, co pomyślałam. Ale wiedziałam, że nie jestem tu mile widziana. Wróciłam do Englerta i poprosiłam o zwolnienie. Poczulałam się świetnie, byłam wolna.

Zdumiewające, że Pani o tym wszystkim opowiada z takim spokojem. To wypadek tak przewartościował Pani myślenie o kluczowych sprawach?

Chyba tak. To była połowa lat 90. Jechałam na festiwal klasyki polskiej, by zasiąść w jury – to ja prowadziłam auto. Później już pomyślałam, że ten wypadek nie zdarzył się bez przyczyny. Bóg mnie strzegł, że nie musiałam oceniać kolegów, bo to ryzykowne. Obudziłam się w szpitalu w Oleśnie pod Opolem. Leżałam po operacji na OIOM-ie, było mi strasznie zimno. Wydawało mi się, że umieram, bo już nie da się mnie ogrzać. Wtedy przyszedł młody lekarz, który mnie operował. Powiedział, że zrobił tyle, co umie, a umie jeszcze niewiele. Bezradnie rozkładał ręce, poradził, żebym szukała fachowca, bo ta operacja musi być powtórzona. Był w tym uczciwy.

Pamiętam jeszcze, jak wodziłam półprzytomnym wzrokiem i w pewnym momencie zobaczyłam przerażone twarze moich córek... Tak, to one mnie uratowały. Postanowiłam żyć. Chce, muszę – bo mam dla kogo.

Dzieci to największy doping do pokonywania trudności.

Potem wylądowałam na rehabilitacji w Konstancinie. I tam miałam dwa ważne spotkania. Pierwsze – z księdzem. Przychodził do chorych, rozmawiał. Mnie podarował „Rekolekcje ignacjańskie”. Czytałam, kontemplowałam, wyciszałam się, myślałam o Bogu i o tym, co mogą dać sytuacje kryzysowe. Nigdy wcześniej nie miałam tyle czasu do namysłu.

A drugie ważne spotkanie?

W Ateneum ze względu na mój wypadek trzeba było przerwać próby „Fantazego”, gdzie grałam Idalię. Kiedyś odwiedzili mnie trzej panowie, dyrektor Janusz Warmiński, Gustaw Holoubek i Andrzej Szczepkowski. Powiedzieli, że nie wolno mi się lenić, że oni czekają, bym się szybko zbierała, bo trzeba wznowić próby. I rzeczywiście próbowałam się mobilizować. Zdawało się, że już możemy próbować, ale okazało się, że jednak jestem za słaba. Więc czekali nadal – takie sytuacje naprawdę rzadko zdarzają się w teatrze, tym trzem panom jestem za to wdzięczna. Aż wreszcie doszło do premiery i to była dla mnie piękna przygoda. Rolą Idalii potrafiłam się bawić, właściwie rozmawiałam z widownią. Idalia może wszystko – ona kreuje siebie.

Prościej jest kreować życie sceniczne niż to prawdziwe?

Życie jest bardziej odpowiedzialne, tam nie umiem grać.

A „Fantazy” to był dla mnie powrót do życia. Holoubek uspokajał mnie, że nie muszę się martwić, że chodzę niezgrabnie, bo ludzie zwracają uwagę na ręce, którymi wymachiwałam bez przerwy łapiąc równowagę. Kule odkładałam za kulisami, na scenę wchodziłam jak na walkę byków. Swoje robiły adrenalina i prochy przeciwbólowe.

Z kulami można się zaprzyjaźnić?

Trzeba. Nie ma wyjścia. Kiedy jestem zmęczona, używam mercedesa, tak mówię na wózek. Mam też bagażówkę – wózek z koszykiem, do którego wkłada się rzeczy, by je móc przewieźć. A na kule mówię, że to kiję golfowe. W „Wujaszku Wani” grałam na wózku, w „Papieżycy” o kulach. Teraz nie daję rady grać, muszę się z tą sytuacją pogodzić. Trudno.



Monochrom – z widokiem na Góry Bystrzyckie

Nagrania na grani

JAN BŁASZCZAK

W odludnych Górach Bystrzyckich działa studio Monochrom, do którego pielgrzymują muzycy, niezależnie od swojej popularności i gatunku, który reprezentują. Czekają na nich Natalia Wakuła i Ignacy Gruszecki – akustycy, pionierzy, marzyciele.

NAGRYWANIE PŁYT JEST JEDNĄ Z TYCH nielicznych usług, które równie prężnie rozwijają się z dala od dużych ośrodków miejskich. Pracujący nad przyszłymi wydawnictwami muzycy chętnie szukają miejsc, które zapewnią im spokój i ucieczkę od rozpraszającej codzienności. Przez ten krótki okres niezbędny do zarejestrowania nowych utworów niedostępność staje się nagle atutem. Stąd wzięła się rola, jaką dla polskiej muzyki odegrały studia w Rogalowie, Niepołomicach czy Srebrnej Górze. Miejscowościach, z których nieznajomości nie trzeba się specjalnie tłumaczyć.

Powyższa uwaga nie zmienia faktu, że sam poczułem się mocno zawstydzony,

gdy po raz pierwszy usłyszałem o Monochrom Studio w Gniewoszowie w Górach Bystrzyckich. Opowiadał mi o nim z zachwytem spotkany w Warszawie saksofonista – Tomasz Gadecki. Mówił o pięknym widoku na dolinę, dzikich górach i obiadach, na które jego zespół schodził do wsi poniżej. Utrzymał przy tym, że studio znajduje się w Kotlinie Kłodzkiej. Regionie, w którym spędziłem ponad połowę swojego życia, więc uważałem, że znam je jak własną kieszeń. Nigdy jednak nie słyszałem ani o Monochromie, ani – co gorsza – o Gniewoszowie. Choć zdjęcia prezentowane przez muzyka dodawały wiarygodności jego opowieści, o istnieniu studia musiałem przekonać się na własne oczy.

Adres Gniewoszów 18a mówił niewiele nie tylko mnie. Z tego powodu prowadzący studio Natalia Wakuła i Ignacy Gruszecki na swojej stronie zdecydowali się podać jego współrzędne geograficzne. Zaopatrzony w te informacje oraz mapę pojechałem pociągiem do Domaszkowa, by stamtąd ruszyć w nieznane.

I rzeczywiście, tuż przed malowniczo położoną wsią Różanka droga odbiła mocno w górę i pięła się aż do położonego 600 m n.p.m. Gniewoszowa. Studio jest położone jeszcze wyżej. Po drodze mijalem ruiny zamku Szczerba, dom, w którym podczas swoich pieszych wędrówek nocował młody ksiądz Karol Wojtyła, oraz stada saren. Kiedy dotarłem na łagodną grań Gór Bystrzyckich, zobaczyłem szutrową drogę opadającą zboczem w stronę studia. Minimalistycznej czarnej stodoły, która zrobiłaby na mnie większe wrażenie, gdyby nie widok na dolinę, który ukazał się jednocześnie. Wspaniały pejzaż, jakim przede mną cieszyli się m.in. Jamal, Behemoth, Kuba Badach, Tęskno czy EABS.

Na tropie zamków

Kiedy Natalia i Ignacy wraz z dziećmi przeprowadzili się do Gniewoszowa, zwiększyli populację wsi o 8 procent. ➔

→ A przecież ich życie miało ułożyć się inaczej. Kiedy kończyli studia na Wydziale Fizyki, wielu podejrzewało, że zostaną w dużym mieście, gdzie będą pracować w wyuczonym zawodzie akustyków. Aby ułatwić start, rodzice przekazali im nawet pewną sumę na zakup małego mieszkania we Wrocławiu. Oni jednak postanowili wykorzystać tę kwotę inaczej.

– Podejrzewam, że każdy normalny człowiek przyjąłby takie wsparcie i po prostu by w tym Wrocławiu zamieszkał – przyznaje Ignacy. – Dla nas jednak to było jakieś takie za proste. Wybiegaliśmy marzeniami dalej.

Jeszcze na studiach, podczas wakacyjnego wypadu na Suwalszczyznę, Natalia i Ignacy usłyszeli historię o opuszczonych zamkach w Górach Izerskich, które można odkupić za bezcen i wyremontować za unijne pieniądze. Gdy tylko wrócili na Dolny Śląsk, od razu tam pojechali. Zabytkowych budowli jednak nie było. Co gorsza, okazało się, że na terenie Lasów Państwowych, nie mówiąc już o Parku Narodowym, nie można sobie ot tak kupić ziemi.

– Jejku, jak tego teraz słucham, to nie mogę uwierzyć, że byliśmy tacy naiwni – przerywa z uśmiechem Natalia. – Z drugiej strony Ignacy lubi powtarzać, że duże wyzwania udaje się zrealizować tym, którzy nie wiedzą, że się nie da. I my tak właśnie działaliśmy.

Przed wszystkim para szukała działki pod studio z godną podziwu wytrzymałością i determinacją. Gdy okazało się, że w Górach Izerskich zabrakło zamków, a Karłonosze są poza zasięgiem finansowym, usłyszeli o Kotlinie Kłodzkiej. Miejsu, gdzie nie brakuje na wpół opustoszałych wsi, a ceny działek są znacznie przystępniejsze.

– W ciągu trzech dni przejechaliśmy ponad 900 kilometrów po samej Kotlinie Kłodzkiej – wspomina Ignacy. – W tym czasie zwiedziliśmy najpewniej większość wyludnionych wiosek w tym rejonie.

Początkowo nic nie zapowiadało sukcesu. Kiedy udawało się znaleźć godną uwagi działkę, trudnością okazywało się nawiązanie kontaktu z miejscowymi.

– W Marcinkowie zamieszkane były jedynie dwa gospodarstwa – wspomina Ignacy. – Z okien pozostałych, popadających w ruinę domów wyglądały krowy. Obok ruin kościoła stał dom. Kiedy się zbliżyliśmy, wyszedł z niego człowiek w kombinezonie ociekającym krwią. Mie-



Ignacy Gruszecki i Natalia Wakula

liśmy wizję, że morduje wszystkich przyjezdnych pytających go o ziemię. Mimo to go zaczepiliśmy: „Czy nie chciałby pan mieć tutaj jakichś sąsiadów?”. A on tylko na nas popatrzył i odpowiedział stanowczo: „Nie”. Po czym jednak nas przeprosił, bo celiła mu się krowa. Odetchnęliśmy z ulgą.

Jeszcze tego samego dnia cierpliwość została nagrodzona. Para zatrzymała się na chwilę w Gniewoszowie, gdzie bardzo serdecznie przywitała ich ówczesna pani sołtys. Jej mąż zaparzył herbatę i wraz z sąsiadem zaczęli radzić, jak można by pomóc przyjezdnym. Nie minęła chwila, a – ku zdumieniu Ignacego i Natalii – miejscowi zaczęli im szukać działki. Od tego czasu odwiedzali Gniewoszków co tydzień, by śledzić postępy w poszukiwaniach.

– Pewnego dnia rozmawiano o kolejnej potencjalnej działce dla nas – wspomina Natalia. – Pamiętam, że sąsiad pani sołtys powiedział, że on nie może tam w ogóle chodzić, bo mu się płakać chce. Taka była piękna. I to była nasza działka.

Studio z widokiem

Samo położenie terenu mogłoby sugerować, że Natalia i Ignacy mają z górki. Prawdziwe wyzwania rozpoczęły się jednak dopiero po zakupie ziemi. Studio i dom zbudowane w stylu – dziś już całkiem popu-

larnej – nowoczesnej stodoły powstawało przez pięć długich lat. W tym czasie para musiała się zmierzyć z wieloma pionierskimi trudnościami: wytyczeniem drogi, doprowadzeniem prądu, zbudowaniem oczyszczalni ścieków. Pierwszej zimy zamieć śnieżna zamknęła ich na pięć dni w domu.

Nowością były też odległości: 7 km do najbliższego sklepu, 17 km do przedszkola (znajdującego się zresztą w Czechach). Problemy pojawiały się także na bardziej zaskakujących odcinkach, na przykład tym geodezyjnym.

– Nikt nie umiał zmierzyć naszej działki, a najbardziej precyzyjnymi mapami tego terenu okazywały się te poniemieckie – wspomina Ignacy. – Poradzili sobie z nimi dopiero lokalni fachowcy z Bystrzycy.

W takich momentach u właścicieli studia Monochrom pojawiały się wątpliwości. W tym czasie oboje pracowali już co prawda w zawodzie, ale koszty, które generowała przedłużająca się budowa, wymagały kreatywności i wytrzymałości w organizowaniu kolejnych źródeł finansowania. Dziś przyznają, że z każdą kolejną przeciwnością ich skóra robiła się grubsza. Nauczyli się, że po pierwszym, drugim i trzecim „nie” często pojawia się „tak”. Pomagały im także różnice charakteru.

– Ignacy jest człowiekiem, który idzie za swoimi ideami, natomiast ja mam bardziej przyziemne podejście i lepiej sprawdzam się w mrówczej, codziennej pracy – tłumaczy Natalia. – On zwalczał moje lęki, a ja dopracowywałam jego pomysły. I dzięki temu szliśmy do przodu.

Jednym z takich brawurowych pomysłów było nawiązanie kontaktu z Masami Toyoshimą – światowej sławy ekspertem w dziedzinie akustyki. Specjalistą, który na swoim koncie ma współpracę zarówno z największymi studiami nagraniowymi (w tym Abbey Road), jak i prywatnymi studiami Stinga, Ringo Starra czy Phila Collinsa. Natalia: – Oboje jesteśmy po akustyce, więc mieliśmy dość świadomości, by wiedzieć, ile jeszcze nie wiemy. We wszystkich książkach o projektowaniu studiów nagrań przewijało się nazwisko profesora. Pomyśleliśmy więc, że napiszemy do niego, czy nie przygotowałby nam takiego projektu. Tak z grubej rury. Nie mieliśmy nic do stracenia.

Toyoshima odpisał następnego dnia. Natalia i Ignacy mają świadomość, że podając kwotę, potraktował ulgowo parę studentów z Polski. Kiedy Japończyk odwiedził Gniewoszów po raz pierwszy, budowa jeszcze nie ruszyła. Toyoshima chciał jednak zobaczyć samo miejsce i poczuć jego aurę.

– To był maj, zieleniło się, ptaki śpiewały – wspomina Natalia. – Przez dziesięć minut nie powiedział ani słowa, tylko patrzył.

Przyglądał się nie bez powodu, bo walory wizualne odegrały znaczącą rolę w jego projekcie adaptacji studia. Toyoshima jest znany z wykorzystywania przeszkleń w swojej pracy. Jest to o tyle wyjątkowe podejście, że szkło to materiał

trudny pod kątem akustyki, bo mocno odbija dźwięk, prowadzi do nakładania się fal, do zakłóceń. A jednak potrafi współpracować, jeśli odpowiednio dobierze się jego grubość, wyliczy kąty rozstawienia szyb i weźmie pod uwagę wiele innych zmiennych. Japończyk w tym zakresie nie ma sobie równych.

– Monochrom stoi w tak pięknym miejscu, że ostatnie, czego chcieliśmy, to budowanie bunkra – tłumaczy Ignacy. – A studia często tak wyglądają, by odseparować się od miejskiego hałasu. U nas nie ma takiej potrzeby. Wykorzystanie szkła pozwoliło nam na świetne skomunikowanie sal, bo muzycy się po prostu widzą. A poza tym nagrywając, mogą patrzeć na dolinę. I to jest ekstra!

Błysk zza Czarnej Góry

Otwarcie studia było wielkim świętem, ale także momentem ostatecznego sprawdzianu. Dopiero po pięciu latach prac miało się okazać, czy pomysł chwyci.

– W pierwszym roku mieliśmy więcej wolnego czasu niż dni pracujących – wspomina Ignacy. – Na szczęście to się zmieniło. W ubiegłym roku bardzo docenialiśmy każdy dzień przerwy.

Popularności Monochromu z pewnością pomagają malownicze zdjęcia udostępniane przez odwiedzające Gniewoszów międzynarodowe gwiazdy (z Behemothem na czele), ale baza klientów studia rośnie głównie dzięki rekomendacjom przekazywanym dalej przez kolejnych gości.

W dużej mierze dzięki takim poleceniom w studiu przez ostatnie trzy lata zrealizowano już pomiędzy 150 a 200 sesji nagraniowych. Wśród nich były i tygodniowe, choć najczęściej zespoły zatrzy-

mywały się w Gniewoszowie na zaledwie dwa-trzy dni. Wszystko ze względu na specyfikę przeszklonego studia, w którym muzycy z jednej strony są odseparowani, ale z drugiej widzą się na tyle dobrze, że mogą nagrywać równocześnie.

– Stawiamy na interakcje w dobrych warunkach akustycznych – deklaruje Ignacy. – Kiedy nagrywasz każdego osobno, zależy ci przede wszystkim na najlepszym technicznie wykonaniu. Wtedy nie pojawia się jednak ta wartość dodana płynąca ze wspólnego grania. A nam ta chemia wydaje się najciekawsza.

Wśród planów na najbliższą przyszłość Natalia i Ignacy wymieniają przygotowanie pokoi dla muzyków. Miejsc noclegowych, które pozwolą ich gościom całkiem zanurzyć się w twórczej przestrzeni: – Przede wszystkim chodzi o zapewnienie naszym gościom doświadczenia, które będzie kompletne, całościowe. Chcemy, aby czas spędzany u nas nie ograniczał się do siedzenia w studiu. Aby można było wyjść rano na taras zobaczyć, jak słońce przebija się zza Czarnej Góry.

Obecnie goście studia nocują w Gniewoszowie i innych pobliskich wsiach. Wczorami w pensjonatach i agroturystykach zlokalizowanych w niedostępnych zakątkach Gór Bystrzyckich można się więc natknąć na jazzmanów i wschodzące gwiazdy popu, twórców metalu i muzyki chrześcijańskiej. W Monochromie nie ma bowiem preferowanych stylistyk. Dla Ignacego i Natalii najważniejszy jest błysk w oku ich gości. Radość i spełnienie towarzyszące rejestrującym swoje pomysły artystom. Muzykom, którzy decydują się wjechać tak wysoko, bo może stąd będzie im łatwiej wspiąć się na wyżyny.

© JAN BŁASZCZAK





Dzbanek z mlekiem, 1919 r.

Kolory chwili

JAN MARIA KŁOCZOWSKI

Z Bonnardem zawsze był jakiś kłopot. Albo nie udzielał się towarzysko, albo malował nie tak jak Picasso... A kiedy zmarła mu żona – podrobił jej testament.

URODZONY W 1867 R. PIERRE BONNARD, absolwent Akademii Juliena, wiąże się początkowo z nabistami, potem przerabia lekcję impresjonistów mając w gło-

wie *ligne abstraite* Gauguina, czerpie z Renoira, Moneta i Degasa, by wreszcie odkryć światło Południa i wejść na własną drogę niezrównanego kolorysty. Uzna-

niem cieszył się już za życia, choć rzeczywistość w pewnym momencie zaczął omijać miasto i tłumy. Kiedy umierał w wieku 89 lat, w styczniu 1947 r., gazety ograniczyły się do skąpych not i dopiero po jakimś czasie przyszła pora na głębszą refleksję. Jednym z tych, którzy ją podjęli, był Józef Czapski, który już w pierwszym numerze „Kultury” z czerwca 1947 r. zamieścił fundamentalny tekst o Bonnardzie, nadając mu znaczący tytuł – „Raj utracony”.

Faktycznie, niewiele brakowało, aby spuścizna po malarzu pozostała na długo w ukryciu, bowiem spadkobiercy Bonnarda – dzieci jego siostry i brata – utracili do niej prawo, gdy tylko wyszło na jaw, że Marthe Bonnard miała siostrę, ta zaś wy-

szła za pewnego Anglika i miała dzieci. Kilka rozpraw w sądzie, interwencja Daniela Wildensteina, syna George'a, który przyjaźnił się z Bonnardem i pokazywał jego obrazy w swojej nowojorskiej galerii, milion dolarów na stole i pod stołem – historia niemal jak z Balzaka. Wszystko to sprawiło, że dopiero w latach 60. zeszłego wieku można było zorganizować pierwsze większe ekspozycje dzieł artysty bez obawy o naruszenie praw autorskich i właścicielskich.

Wędrująca po Europie wystawa obrazów Pierre'a Bonnard, pokazywana teraz – od 6 czerwca – w Kopenhadze, potem w Wiedniu, nosi tytuł „Kolor pamięci”. Ale zaczęła swoją wędrowkę od Londynu, gdzie w 13 salach na drugim piętrze galerii Tate Modern wisiało około 90 płócien artysty oraz kilkanaście małych fotografii i szkiców – w układzie, który proponował nam Matthew Gale, znany kurator związany z Tate (w Kopenhadze współpracuje z nim jako kurator Anna Kærsgaard Gregersen). Wystawę warto obejrzeć choćby dlatego, że wiele eksponowanych na niej płócien pochodzi z prywatnych kolekcji i kolejnych okazji do ich obejrzenia nie będzie zapewne tak wiele.

EKSPOZYCJĘ OTWIERAJĄ DWA WAŻNE DLA MNIE OBRAZY: „Młode kobiety w ogrodzie” malowane w latach 1921-23 i następnie 1945-46 oraz „Mężczyzna i kobieta” z roku 1900, zakupiony wówczas przez Tadeusza Natansona. Obydwa dzieła nadają ton intymnej melodii, na którą tak uczuła Czapski, piszący w swoim esej: „Gdyby w owe czasy był na miejscu Bonnarda człowiek i malarz nie tej miary, mniej bystro wsłuchany we własną muzykę wewnętrzną, nie tak czujnie wpatrzony w to, co widział i przeżywał, mniej autentyczny i bezinteresowny poeta, starałby się na pewno »podciągnąć się« choć trochę do tego, co wówczas było modne, nowoczesne, »rewolucyjne«”.

Tytułowe młode kobiety to Marthe de Méigny i Renée Monchaty. Pierwszą spotkał na ulicy w 1893 r. Była jego kochanką, a potem żoną i wierną modelką aż do jej śmierci w 1942 r. Druga, również kochanka, zwana przez przyjaciół Chaty, popełniła samobójstwo ➔



Naga kobieta we wnętrzu, 1935 r.

GLYPOTO TEKET



GLYPOTOTEKET

Posiłek w ogrodzie, 1909 r.

→ na wieść o tym, że Pierre wybrał tę pierwszą. Marthe była zawsze blisko, pod ręką niemal, ale Chaty miała w pamięci Bonnarda miejsce osobne, połączył je zatem na obrazie, który ostateczny kształt przybrał na dwa lata przed jego śmiercią, a jednocześnie trzy lata po śmierci Marty.

„Mężczyzna i kobieta” to obraz dwóch światów, które połączyć może jedynie miłość, ale tej na drodze staje parawan... Czy to ich świat? Pierre’a i Marty? Co zobaczył w tym obrazie Natanson, który w tym czasie rozstaje się już powoli z Misią Sert?

SAM MALARZ POJAWIA SIĘ TYLKO NA DWÓCH ZNANYCH AUTOPORTRETACH: na jednym w pozie tragicznego boksera, na drugim – nieco wcześniejszym i jedynym datowanym (1930) – zatytułowanym „Portret artysty”. Malowany techniką gwaszu, powstał rok po tym, jak Bonnard obejrzał w Paryżu dużą wystawę Chardina, a na niej „Portrait au chevalier”...

A przecież na dobrą sprawę – i gdyby obraz miał być li tylko naśladowaniem fizycznego świata – mógłby się pojawić w lustrze, które wisi w łazience (1908) lub nad „Kominkiem” (1916). Tymczasem Bonnard usuwa się w cień, jakby chciał powtórzyć za Norwidem: „Cień zmieni

się, gdy ku mnie skiniesz ręką, / Bo on nie kłamie! / Nic od ciebie nie chcę, śliczna panielko, / usuwam ramię...” „Kominiek” to misterium odbić. Obraz ważny dla Bonnarda, pokazywał go bowiem na wystawie w Pittsburgu w roku 1924 i na Biennale w Wenecji dwa lata później. Jedno z odbić to kobieta (pozwalała tym razem nie Marthe, lecz Lucienne...) unosząca za głowę prawą rękę, wyglądająca jak rzeźba, drugie – to akt namalowany przez Maurice’a Denisa, należący długo do prywatnej kolekcji Bonnarda. Pion i poziom, pozorna cisza... I tylko para unosząca się z czerwonego naczynka mówi nam coś o temperaturze chwili.

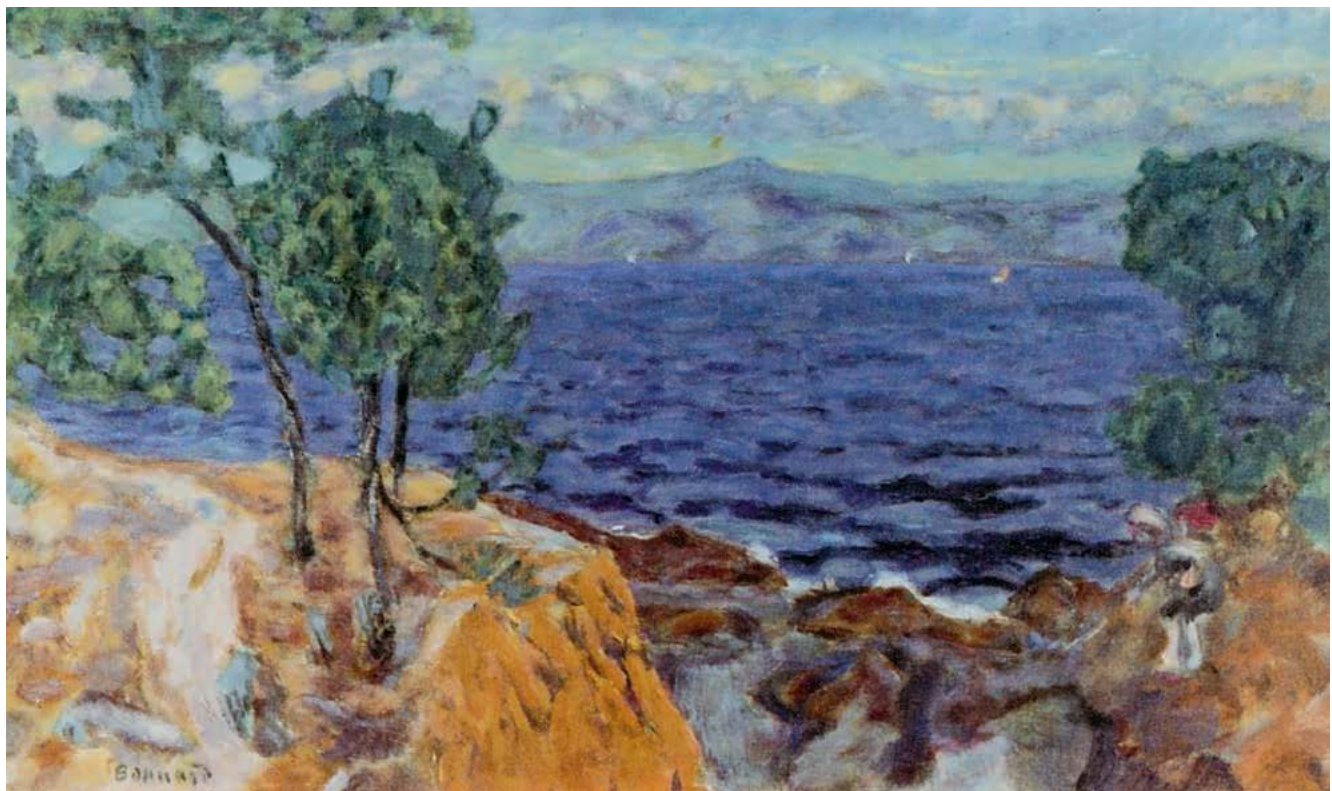
NO WŁAŚNIE, CHWILA... Ulotna, zatrzymywana jak w kadrze fotografii, których kilkanaście możemy tu obejrzeć. Są tak maleńkie, że powinno się je oglądać przez lupę. Bonnard lubił – jak byśmy to dzisiaj powiedzieli – gadzety. I jednym z pierwszych „kieszonkowych” kodaków robił zdjęcia, na kanwie których później powstawały obrazy, malowane już w pracowni. Chwila zatrzymana, w kolorze pamięci, w aurze muzyki serca.

Czapski pisał: „błyskawiczne ruchy postaci, urywki twarzy i ciał czy pejza-

żów, które nam daje rzucone spojrzenie z szybko jadącego auta czy pociągu, nieoczekiwane kompozycje, które układają się z uciętych fragmentów twarzy na ekranie filmu”. Na fotografiach pokazywanych w Londynie widzimy m.in. nagiego Bonnarda i nagą Marthe. Robili sobie te zdjęcia na zmianę...

Jadące szybko auto to kolejny z „gadzetów” artysty, który lubił przenosić się z miejsca na miejsce. Zasiadłszy za kierownicą renault II CV, a potem nowego ford, podróżował z Paryża do Vernon w Normandii, a stamtąd na lazurowe południe, gdzie osiadł ostatecznie w Le Cannet. Mapkę z zaznaczonymi miejscami dłuższych pobytów możemy obejrzeć w jednej z gablot. Bywał też Bonnard za granicą – w Hiszpanii, w Niemczech, w Londynie i w Stanach Zjednoczonych – ale także w Rzymie, z którego przywozi szkic do pokazywanego tutaj płótna „La Piazza del Popolo”. Widać na nim Renée (bo to z nią zwiedzał Wieczne Miasto w 1921 r.), a obok niej kobietą postać, która odważa na wadze pomarańczę lub cytrynę... Czy tyle ważył los kochanki?

W każdym z domów Bonnard musi mieć widok: a to na Sekwanę, a to na morze.



GLYPTOTEKET

Pejzaż z południowej Francji, 1920-1921, Carlsberg Glyptotek w Kopenhadze

I MALUJE NA PRZEMIAN WNĘTRZA I PEJZAŻE, ukazywane najczęściej przez okno lub balkon. W sali dziesiątej londyńskiej wystawy było tych pejzaży najwięcej. Bonnard pokazywał je w 1933 r. na wystawie w paryskiej galerii Bernheim-Jeune, z którą związany był od czasów pierwszego pokazu swoich prac w roku 1906. Krytycy pisali wówczas o malarzu, który w trudnych czasach obdarowuje szczęściem, na co Bonnard reagował zapisem w kalendarzu: „Nie zawsze jest szczęśliwy ten, który śpiewa”. Na „Pejzażu w Cannel” (1928) – dużym płótnie z akcentem bielonego oranżu, plamami zieleni i ciemnym błękitem horyzontu – namalował sam siebie w prawym dolnym rogu, jak nakazywała niegdysiejsza tradycja. Zdaje się nie słuchać drwin Picassa, który w tym samym czasie nazywa jego paletę „miksturą niezdecydowania”.

Nie potrzebuje przecież szybkich decyzji: maluje po kilka obrazów naraz, nigdy nie mocuje płótna na blejtramie, ale przybija je do ściany (na wystawie w Tate kilka płócien powieszono bez ram...), kilka pociągnąć pędzlem, parę kroków w tył, kilka następnych płaskich plam. Ten sam rytuał trwający miesiące, czasem i lata... A paleta? Celniej niż Picasso wypowiadał się o niej Czapski: „Z opowiadań wiem, że

nigdy nie mył swojej palety, tak że robiła się ciężka i bardzo gruba od zaschniętych farb. Te wysychające, wypadkowo pomieszane, nieraz zmieniające kolor, właśnie pod wpływem wysychania, farby na palecie dawały mu coraz nowe pomysły kombinacji. Odkrywał jakąś nową mieszaninę, z największą ostrożnością nożem przenosił na płótno i od tej nowej plamy nieraz prowadził nową, wywracającą uprzednią chromatykę barw”.

Malował w milczeniu, o czym zaświadcza z kolei pozująca mu po śmierci Marty i pochodząca z Kiszyniowa Dina Vierny, ta sama, która nagra później słynną płytę z piosenkami łagrowymi: „Po tygodniu milczenia pomyślałam sobie: »co ja tu robię«. Nie pamiętam już, jak to zrobiłam, ale chyba odezwałam się pierwsza... Dopiero wtedy zaczął mówić”.

CIERPLIWIE TWORZYŁ WŁASNY ŚWIAT, ożywając go na nowo za pomocą barwnej gamy, wsłuchany w wewnętrzną muzykę, coraz bardziej samotny. W czasie II wojny, podczas której nie ruszał się z Le Cannel, stracił nie tylko Marthe, ale także najbliższych przyjaciół – Vuillarda, Pankiewicza i innych. Korespondował z Matisse’em. Nie zgodził się na namalowanie portretu

Petain’a, podpisał list w obronie Bernheimów. Na londyńskiej wystawie możemy zobaczyć go na krótkim, trzyminutowym filmie, nakręconym tuż po wojnie. Widzimy go w towarzystwie jeszcze jednego przyjaciela – Aimégo Maeghta, który niebawem otworzy w Paryżu własną galerię. W 1946 r. odbędzie się tutaj ostatnia wystawa Bonnarda.

Dwa obrazy wieńczące londyńską opowieść o „Kolorze pamięci” to słynna „Pracownia z mimozą” (1939-46) i „Kwitnące drzewo migdałowe” (1946-47). Eksplozja wiosny w sercu samotnego artysty ma kolor żółci i bieli. Żółcień zwana neapolitanką to tajemnicza mikstura tlenku ołowiu i tlenku antymonu. Ten ostatni czyni ją nieśmiertelną. Czy nie dlatego jej plamkę naniósł Bonnard na swoje ostatnie płótno, prosząc o pomoc siostrzeńca, któremu szepnął po cichu: „*Ce vert ne va pas, il faut du jaune*”...

© JAN MARIA KŁOCZOWSKI

Pierre Bonnard, **THE COLOR OF MEMORY** – w Tate Modern (Londyn do 6 maja 2019), a następnie: Ny Carlsberg Glyptotek, Kopenhaga (6 czerwca – 22 września), oraz Bank Austria Kunstforum, Wiedeń (10 października 2019 – 12 stycznia 2020).

Gdzie diabeł nie może

ANITA PIOTROWSKA

„Kobieta idzie na wojnę” to film, któremu otwarcie patronuje nie byle kto, bo Mahatma Ghandi i Nelson Mandela – idealiści, których najpierw ignorowano, potem się z nich śmiano, później z nimi walczano, zanim ostatecznie wygrali.

NIEPOŚLUSZEŃSTWO OBYWATELSKIE CO-raz częściej przybiera postać dojrzałej kobiety – na przykład Janiny Duszejko z „Pokotu” Agnieszki Holland i Olgi Tokarczuk i jej różnej maści sióstr, nazywanych często wiedźmami, awanturkami, ekoterrorystkami. Islandzki reżyser Benedikt Erlingsson, twórca „O koniach i ludziach” (2013), w swoim najnowszym filmie również wysłała bohaterkę na samodzielne akcje sabotażu. Ich celem jest potężny koncern niszczący środowisko naturalne.

Już w prologu widzimy, jak ubrana w nordycki sweter i uzbrojona w łuk Halla zrywa gdzieś na górskim pustkowiu linie wysokiego napięcia. Powoduje awarię zasilania w hucie aluminium, strategicznej dla rozwoju krajowego przemysłu. Pod pseudonimem „Kobieta z Gór” niepozorna dyrygentka chóru z małego miasteczka staje się wrogiem publicznym numer jeden. Ma przeciwko sobie islandzkie państwo, które ogłasza właśnie gospodarcze „wstawanie z kolan”, sprowadzonych na wyspę agentów FBI, a nawet ideały demokracji, którymi próbuje się zagłuszyć dziarską wojowniczkę w średnim wieku. Halla nie zamierza się jednak poddawać

czy ujawniać swojej tożsamości. Jak daleko jest w stanie się posunąć?

W tej samotnej partyzantce bohaterka ma na szczęście po swojej stronie kilka życzliwych serc i pomocnych dłoni. Islandia okazuje się zresztą bardzo kameralnym krajem, gdzie co chwila wpada się na kogoś znajomego – a to na rzekomo spokrewnionego wieśniaka z psem, to znów na latynoskiego turystę, który z racji smętego odcienia skóry bez przerwy zbiera cięgi przeznaczone dla „terrorystki”, ściganej przez komandosów i ich drony.

Perypetiom towarzyszy także zjawiające się ni stąd ni zowąd oldskulowe muzyczne trio oraz... ukraiński chór zeński w strojach ludowych. Nie tylko dlatego, że Halla planuje adoptować kilkuletnią sierotkę z Donbasu. „Kobieta idzie na wojnę” to bowiem kino społecznej troski, lecz jakże odległe od szlachetnego humanizmu Kena Loacha czy braci Dardenne. Swoim zawadiackim humorem, wyrażanym najczęściej z kamienną twarzą i wspomnianymi już musicalowymi przerywnikami, buduje na ekranie zgoła teatralny efekt obcości, którego mistrzem stali się bliżsi i dalsi sąsiedzi: Szwed Roy



Andersson i fiński reżyser Aki Kaurismäki. Dlatego „Kobieta...” nie daje się zamknąć w ramach lewackiego czy „zielonego” manifestu, celuje bardziej w komedię absurdu, której otwarcie patronuje z góry nie byle kto, bo Mahatma Gandhi i Nelson Mandela – idealiści, których najpierw ignorowano, potem się z nich śmiano, później z nimi walczano, zanim ostatecznie wygrali.

TP

W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” ZNAJDĄ PAŃSTWO SPECJALNY DODATEK

o Bydgoskim Centrum Sztuki im. Stanisława Horno-Popławskiego, które powstało we współpracy z Sopotkim Domem Aukcyjnym i skupia swoje działania przede wszystkim na rzeźbie.

BYDGOSKIE
CENTRUM
SZTUKI

Do przeczytania między innymi rozmowa o skomplikowanych, ale jednocześnie fascynujących relacjach między światem sztuki i pieniądza z dyrektorką Martą Kardas, a także przegląd najciekawszych wydarzeń organizowanych ostatnio przez bydgoską instytucję. Zapraszamy do lektury!



M2 FILMS

Kadr z filmu „Kobieta idzie na wojnę”

O radykalnej zmianie świata dywaguje się u Erlingssona całkiem na poważnie i wprost, może nawet chwilami zbyt deklaratorywnie. Oto nieustraszona Halla okazuje się mieć siostrę bliźniaczkę, która również kontestuje rzeczywistość, ale na swój własny, trochę egoistyczny sposób, wybierając odosobnienie w indyjskim aśramie. Wszechstronna islandzka aktorka Halldóra Geirhardssdóttir wciela się brawurowo w obie te role, aktywistki i joginki, choć ów średniowieczny podział na *vita activa* i *vita contemplativa* okaże się z czasem mylnym tropem. Albo po prostu dwiema twarzami tego samego idealizmu. Tkwiący w owym rozdzieleniu aktorski potencjał zachwyił ponoć samą Jodie Foster, która zapowiada już wyreżyserowanie i prokobieję opowieści, oczywiście ze sobą samą w rolach głównych.

Oby amerykański remake zachował awanturniczego ducha oryginału i nie ograniczył się do ilustracji ludowego przysłowia „gdzie diabeł nie może, tam babę posłę”. Oby z tą samą szorstką czułością traktował dziką naturę, która nie-

jednokrotnie daje bohaterce schronienie i ukojenie, pozostając jednocześnie majestatyczna i groźna. Filmowi Erlingssona też, rzecz jasna, nie brakuje uproszczeń, choćby w obrazie ogarniętej wojną domową i mocno egzotycznej Ukrainy, gdzie czeka na Hallę adoptowana dziewczynka – symbol tak zwanych „kobiecych dylematów”. Albo w survivalowych scenach ucieczki przed aparatem władzy, mogących uchodzić za żywą parodię perypetii Leonarda DiCaprio w „Zjawie”. Jako się jednak rzekło, „Kobieta idzie na wojnę” to film bez aspiracji do wielkiego realizmu, za to niewstydzący się swojej naiwności i cierpkiego uroku. O ekologicznej katastrofie ostrzega bez dmuchania w apokaliptyczne trąby, a jedynie wybijając nerwowo rytm werblem. Czy to już tylko finałowe odliczanie czy jeszcze zachęta, by porzucić drugorzędne tematy i wyruszyć wraz z bohaterką na tę wojnę? ©

KOBIETA IDZIE NA WOJNĘ (*Kona fer í stríð*)
– reż. Benedikt Erlingsson. Prod. Islandia/
/Francja/Ukraina 2018. Dystryb. M2 Films.
W kinach od 21 czerwca.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [22 – 28 VI]

1. Zatrzyj ślady



Dramat, reż. Debra Granik, USA 2018, Cinemax, 23 VI, 20.00, 24 VI, 11.25, 25 VI, 20.00, 28 VI, 21.50

Po znakomitym debiucie

„Do szpiku kości” i dobrze przyjętym „Przybłędzie” jedna z najciekawszych reżyserek amerykańskich zastanawia się nad problemem indywidualnej wolności. Straumatyzowany weteran wojenny zaszywa się z nastoletnią córką w leśnej głuszy, co ściąga na nich interwencję opieki społecznej, próbującej przywrócić uciekinierów do życia w cywilizacji.

2. Przyszłość pracy



Dokumentalny, USA 2019, HBO, 27 VI, 21.50, HBO2, 28 VI, 23.30

W cyklu „Raport specjalny VICE’a” pod

dyskusję trafia temat zmian zachodzących na rynku pracy wraz z dynamicznym rozwojem technologii. W jaki sposób postępująca robotyzacja wpłynie na sytuację społeczno-ekonomiczną współczesnego człowieka? Zastanawiają się nad tym przedsiębiorcy, decydenci i zwykli pracownicy.

3. Faworyta

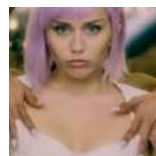


Komediodramat, reż. Jorgos Lantimos, Irlandia/Wielka Brytania 2018, vod.pl, CHILI

Współtwórca greckiej

Nowej Fali nakręcił film o dworze brytyjskiej królowej Anny. To jednak tylko efektowny XVIII-wieczny kostium, pod którym reżyser „Kłta” snuje tragicomiczną opowieść o związkach seksu i władzy, pełną psychologicznych wolt i filmowych nawiązań, z fenomenalnymi rolami Olivii Colman, Rachel Weisz i Emmy Stone.

4. Black Mirror 5



Serial, Wielka Brytania 2019, sezon 5, Netflix

W kolejnej odsłonie antologii science fiction jej twórca Charlie

Brooker z wdziękiem pożera własny ogon. Bohaterowie trzech nowych odcinków uprawiają wirtualną miłość, nadużywają mediów społecznościowych i korzystają z dośrodków sztucznej inteligencji, tym razem zakłętej w laleczkę wzorowaną na gwiazdce popu (gra ją Miley Cyrus).

JAN

Klata: Nawyki



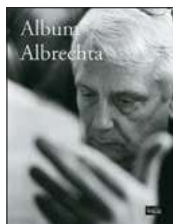
„ZA KAWĘ KAŻĄ PŁACIĆ DZIESIĘĆ. DZIESIĘĆ albo więcej. Za kawę. Dużo chcą pieniędzy”.

Robert Piernikowski miał rację dwa lata temu, i ma rację teraz, zwłaszcza że już nie dziesięć, ale kilkanaście. Wiem, że piszę jako przedstawiciel „młodych (?), wykształconych, z wielkich miast” o problemach pierwszego świata, przeszczepianych do naszego – nie pierwszego przecież jednak świata – na fali podnoszącego na duchu syndromu kompleksu imitacji. Co za satysfakcja, że w Gdańsku, Wrocławiu, Poznaniu, Krakowie czy Warszawie płacimy za kawę jak w Berlinie czy innym Londynie, a nawet New Yorku! Wreszcie! Po to sześć lat prowadziliśmy wojnę (drugą), wszyscy jak jeden mąż walczyliśmy z komuną, przeżyliśmy szokową reformę Balcerowicza, cierpieliśmy kolejne klęski w konkursie Eurowizji – żeby mieć satysfakcję przepłacając za kawę! Aspirujemy, aspirujemy.

Możemy następnie obnosić ów kubek-puchar po mieście (wiem, wiem, to nie w Krakowie, akurat tam się siedzi) jako widomy i niechybny znak życiowego sukcesu. Barista nas obsłużył, było nas stać, to sobie nosimy, z rzadka sącząc. A statystycznie rzecz biorąc, jedna kawa dziennie „na mieście” to miliony za lat czterdzieści. Mam oczywiście na myśli miliony złotych, nie kaw – co mi po milionach kaw przed dziewięćdziesiątką, przecież się w nich nie będę kąpał. Miliony złotych zaoszczędzone przez powtarzalny akt zaciśnięcia zębów na widok barysty. Statystyka. Magia procentu składanego. Nie dociera? Ech, wyobcowane wielkomiejskie elity – wyginiemy, szczytnie z kubkiem w dłoni, wygryzą nas ci, co oszczędzają ziarno do ziarnka, robią kanapki, piją piwo uprzednio zakupione w sklepie wielkopowierzchniowym, każdą wolną chwilę inwestując w dzieci. W najgorszym wypadku można sobie uwarzyć kwas. Chlebowy.

Wakacje od kawy, nawet mrożonej? Mini-mini-mini asceza? Męczennicy oszczędzania oczywiście porzucą nałóg dusigroszenia, gdy tylko uświadomią sobie, że się uzależnili od skąpstwa i poczucia wyższości nad przepłacającym wielkomiejskim plebem, wpadającym we wnyki nawykowej konsumpcji. Terapia uzależnień od wszystkiego – oto fenomenalny plan na wakacje. Tylko nie zapomnijmy oddychać. I trwajmy. Trwanie może potencjalnie zaprocentować, choć wygląda na to, że w dającej się przewidzieć przyszłości nad Wisłą raczej niekoniecznie. ©

Lektor: Przyjaciel, którego brakuje



■ **ALBUM ALBRECHTA**
*Publicystyka.
Wspomnienia.
Zarty
Biblioteka „Więzi”,
Warszawa 2019,
ss. 190 + ilustracje.*

ALBRECHT LEMPP (1953–2012). Tłumacz naszej literatury na język niemiecki, jej znawca i sojusznik, obdarzony wielką wrażliwością i dyskretnym, nieco sarkastycznym poczuciem humoru. Absolwent slawistyki na uniwersytecie monachijskim, studiował też w Sofii i Krakowie. Współpracownik Karla Dedeciusa w darmsztadzkim Deutsches Polen-Institut. Świetny organizator, twórca Zespołu Literackiego przy

krakowskiej Willi Decjusza, z którym przygotował program na Międzynarodowe Targi Książki we Frankfurcie nad Menem w roku 2000, kiedy byliśmy tam gościem honorowym. „Jeszcze żaden kraj nie zaprezentował się tak dobrze jak Polska w tym roku” – napisała wtedy „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Potem Lempp pracował dalej nad prezentacjami literatury polskiej na zagranicznych targach, a w roku 2003 został dyrek-

torem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Jego przedwczesna śmierć stworzyła lukę niedającą się zapłacić, wbrew głupiemu porzekadłu, wedle którego nie ma ludzi niezastąpionych. Owszem, bywają. To jest album, więc zacznę od zdjęć – ich autorką jest Elżbieta Lempp, fotografka znakomita i żona Albrechta. Seria portretów, od długowłosego trzydziestolatka w swetrze z grubej wełny po siwego pana, który przegląda coś w smartfonie. Dwa zdjęcia mnie uderzyły. Na jednym są Dedecius z Günterem Grassem, Lempp trzyma się nieco z tyłu, na drugim kolacja w domu sławnego wydawcy Siegfrieda Unselda z okazji wręczenia Wisławie Szymborskiej Nagrody Miasta Frankfurt – i znów Lempp przy końcu stołu, w cieniu. Bo też nigdy nie pchał się na pierwszy plan, naprawdę chodziło mu o literaturę, nie o zaszczyty.

„Album Albrechta” powstał dzięki Elżbiecie i przyjacielom, wśród których znaleźli się Małgorzata Łukasiewicz, Jacek St. Buras, Jakub Ekier, Krzysztof Jachimczak, Andrzej Kopacki i Ryszard Wojnakowski. Są tu przede wszystkim teksty samego Lemppa, w tym niepublikowane notatki i listy wymieniane z Januszem Głowackim i Stanisławem Lemem. Jest przejmująca elegia, jaką tłumaczowi „Innych rozkoszy” i „Pod mocnym aniołem” poświęcił w „Drugim dzienniku” Jerzy Pilch, jest wspomnienie Wojciecha Bonowicza. W sumie – wielostronny portret pięknego człowieka. A do jego wypowiedzi na temat Polski naprawdę warto wracać. Był bowiem emocjonalnie zaangażowanym i życzliwym, ale też przenikliwie krytycznym obserwatorem dwóch pierwszych dekad naszej wolności. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Chłodzenie



DWA KILO DZIESIĘĆ DEKO. TYLE WAŻY CEGŁA „Wierszy wszystkich” Czesława Miłosza. Gdym zdobył to wydanie, zamarłem ze zdumienia – jak u licha edytorzy sobie wyobrażali, że można z niego korzystać? Przy stole w czytelni może, w trybie wypisywania cy-

tatów do referatu. Bo w kuchni przy kawie to już raczej niemożliwe – za duży ten buch, żeby się wygodnie zmieścić między filiżanką a talerzem z croissantem, próba sięgnięcia nożem do słoika z konfiturą grozi upakowaniem kartek. Aż wreszcie przez przypadek pojąłem, że za tą inicjatywą wydawnictwa kryje się przebiegły zamysł. Wiersze Miłosza to nie przelotna znajomość na moment, jak jakiś tani kryminal w miękkiej oprawie, którego miętosi się przez parę wieczorów w dowolnej pozycji i porzuca. Jak z Czesławem, to tylko do łóżka i na długo! Trzeba usiąść prosto, rozłożyć wygodnie przed sobą na pościeli, zamiast tacy ze śniadaniem, otworzyć i czytać strona po stronie.

Śniadaniowe porównanie jest absolutnie na miejscu, bo ostatnio jem właściwie samą poezję, za dnia mi to zupełnie wystarcza, czasem z dodatkiem powiewu jaśminu i lip, rozgrzanych do perfumeryjnej wręcz intensywności przez upał. Wiele osób pyta mnie ostatnio, co i jak jem w ten gorąc, co polecam od siebie – i cóż ja mam im odrzec? Mamrocę więc pod nosem sakramentalne rady, żeby zamiast jeść, dużo pić. I od razu dodaję ze szczerym entuzjazmem, żeby korzystać z wyjątkowej, jedynej takiej w Europie sytuacji, iż łatwo i tanio możemy mieć na zawołanie świetne wody w pełni godne nazwy „mineralna”, z Muszynianką i Piwniczanką na czele, w dobrym towarzystwie Wielkiej Pieniawy (dobra na kaca, tak przynajmniej pisała), Słotwinki (bogatej w lit; o tym, jaki jest ważny, powie wam neurolog lub psychiatra... a może lepiej pijcie jej dużo, to do nich nie traficie), Staropolanki i wianuszka innych źródłanych panien. Radzę więc pić, najlepiej lekko podgrzaną do temperatury ciała, wtedy żołądek się nie kurczy w odruchu obronnym i można jej wciągnąć nawet na pusty brzuch z pół litra. Przy czym, żeby nie zmarnować zdrowotnego kapitału, nie należy stosować sposobu mojego kolegi, który po prostu wlewa Muszyniankę do czajnika i włącza go na kilkanaście sekund.

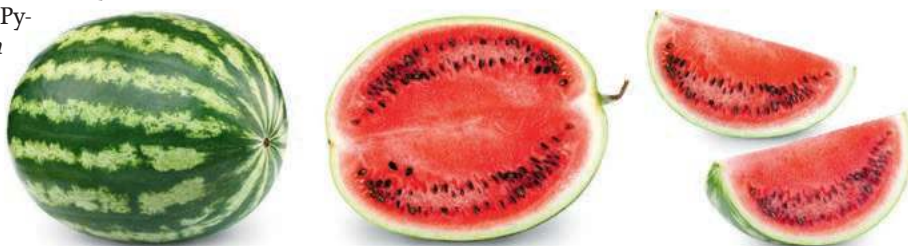
Zdrowie zdrowiem, przecież jednak reakcja obronna w upale rozgrywa się nie tylko na skórze poprzez zbawienne wydzielanie potu, ale przede wszystkim w pamięci, skąd czerpiemy najważniejsze emocjonalnie dodatnie jony orzeźwienia wyniesione z pierwszych doświadczeń dzieciństwa. Pytam więc każdego, jaki jest dla niego ten *noumen* ochłody, i radzę, żeby sobie zreplikował to intymne doznanie. Zsiadłe mleko – „takie krojone nożem” – jest zaskakująco wysoko na liście, szkoda że przy okazji jest to jednocześnie lista strat kultury polskiej, bo tego nowoczesny zakład mleczarski stosujący standardy bezpieczeństwa

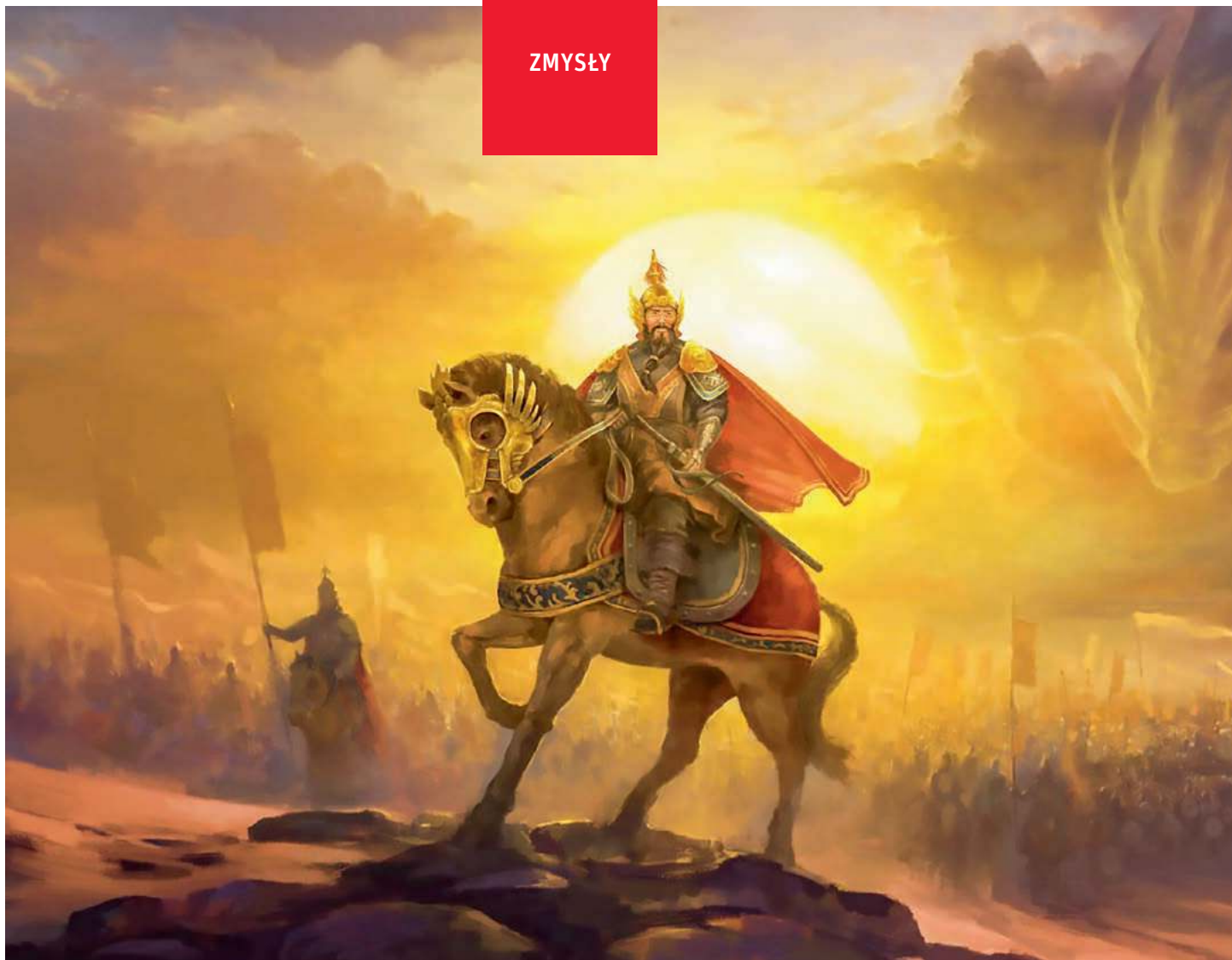
bakteriologicznego nie wyczaruje. Woda gazowana z sokiem malinowym, dla pokolenia 50+ w wersji z saturatora – co dodawało dreszczyk ryzyka złapania mikroba z niedomytej szklanki. Lemoniady albo kompot u babci. Herbata pół na pół z miętą, niegdyś *must-have* w bukłaczku turysty idącego czerwonym szlakiem beskidzkim. Zimna coca-cola z plastrem cytryny – przy całej niechęci do koncernu i tej przesłodzonej cieczy, muszę przyznać, że skutkuje, chociaż trzeba dodać, że czeska Kofola dzięki zawartości lukrecji cuci jeszcze skuteczniej.

Dla mnie to prażróżło letniej ulgi wiąże się z podróżą w samochodzie rozgrzanym jak prozjiz na kółkach po włoskich bocznych drogach i wypatrywaniem lichego straganu z arbuzami, zanurzonymi w gigantycznej balii podpiętej do płynącego obok strumienia. Długi stół z ceratą pokrytą muchami zlizującymi sok, na nim tęga jejmość stawia ciwartkę świeżego rozciętego arbuza z nożem wbitym w środek. I te kęsy odkrawane łapczywie, ta banalna słodycz, tandetny różowy kolor i krystaliczny chłód na podniebieniu z rozgniatanej namiętnej struktury miąższu.

Kiedy urządzam sobie arbuzowe sesje w domu, do pełni szczęścia brakuje nie dobrego owocu, ale otoczek: już żadna cerata nie będzie nigdy taka lepka, a muchy w mieście są nieliczne i nienatarczywe. Ale od czego mam wyobraźnię, organ człowieka prawdziwie służący płodzeniu. Moc ducha wyrażona w języku pozostanie źródłem najtreściwszego pokarmu, przynajmniej dopóki będą poeci. Miłosz tuż po masakrze powstania warszawskiego potrafił usiąść w dworku w Goszycach i napisać pod adresem kipiącej na zielono natury pogrózkę: „Dachau koników polnych! Mrówek Oświęcimie! / Próżno zbrodnie maskujesz zieloną peruką. / Kiedy nasz ludzki sztandar glob ziemski owinie / Nic nie będzie Naturą – wszystko będzie sztuką”. ©P

*Kiedy już wam się znudzi arbuz pałaszowany łapczywie rękoma, możecie spróbować pobawić się z nim albo melonem przy wariantach hiszpańskiego chłodnika gazpacho. Są to w istocie owocowo-warzywne smoothies, tyle że sprytnie zagęszczone miększym chlebem i doprawione oliwą oraz pieprzem. Na przykład: bierzemy 400 g miąższu **arbuza**, dwa duże **pomidory** obrane ze skóry, pokrojone w kostkę i odsączone z nadmiaru wody na sicie, małą posiekaną **szalotkę** lub delikatną **czerwoną cebulę**, solidną garść miększego **białego chleba** lekko namoczonego w roztworze **octu i wody** (1:1), miksujemy blenderem, dolewając ciekłą strużką dwie łyżki **oliwy**, solimy, dodajemy pieprzu. Chłodzimy w lodówce. Na wydaniu dajemy parę kosteczek **fety**. Albo: miksujemy w równej proporcji miąższ **melona i truskawki**, do tego trochę cebuli, oliwa, garść zakwaszonego miększego chleba, solimy i dodajemy pieprzu. Na wydaniu można ozdobić cieniutkimi pasczkami **fenkułu**, który wcześniej posoliliśmy i zmacerowaliśmy w soku z **pomarańczy**. Z powodu obecności surowej cebuli nie można tych zup przechowywać w lodówce zbyt długo (np. na drugi dzień).*





KRWAWE ŻĄDZE

Zdarza mi się robić rzeczy moralnie odrażające. Kiedyś nawet usiekłem bratanka i wykastrowałem kuzyna. Czuje się z tym okropnie, mimo że dzieje się to tylko w grach komputerowych.

ŁUKASZ KWIATEK

W 2009 r. FIRMA ACTIVISION MUSIAŁA SIĘ ZDROWO TŁUMACZYĆ. W wydanej przez tego producenta grze „Call of Duty: Modern Warfare 2” znalazła się misja, w której gracz brał udział w zamachu terrorystycznym. Mógł bezkarnie strzelać do przerażonych cywilów na lotnisku w Moskwie.

Teoretycznie nie musiał tego robić – mógł jedynie przypatrywać się masakrze dokonywanej przez zaprogramowanych towa-

rzyszy. Kontrolowany przez niego bohater nie był zresztą terrorystą, tylko agentem CIA działającym pod przykrywką. Ale graczom i publicystom nie bardzo spodobała się sama możliwość wymordowania Boga ducha winnych komputerowych postaci.

Krytykę, która spadła na Activision, firma w dużej mierze zawnioskowała oszłamiającej jakości wykonania „CoD: MW2”. Dzięki niemal filmowej oprawie graficznej gracz naprawdę



MATERIAŁY PRASOWE

Ilustracja z gry „Crusader Kings 2”

mogli poczuć się jak na współczesnej wojnie – albo podczas zamachu terrorystycznego. W misji na moskiewskim lotnisku zakrwawieni cywile krzyczeli i kulili się ze strachu, próbowali się chować gdzie popadnie, wśród odłamków tłuczonego szkła i porzrzuconych bagaży, a ranni czołgali się po posadzce – czekając na ostatnią kulę. Masakra trwała kilka minut, zostały po niej setki trupów. Koszmarny widok. Dopiero w końcowej fazie pojawiały się oddziały antyterrorystów i rozgrywka zaczęła przypominać tę „normalną”, znaną ze wszystkich innych misji – efektowną wymianę ognia z uzbrojonymi przeciwnikami. Choć w głowach wielu graczy nadal kołatała się myśl, że tym razem „ci dobrzy” walczą po drugiej stronie...

Kwestia perspektywy

Przemocy w grach komputerowych poświęcono tysiące publikacji. Najwięcej z nich traktuje o ryzyku przenoszenia przemocy z ekranu do świata rzeczywistego oraz wpływie brutalnych gier komputerowych na rozwój umysłu najmłodszych graczy. To tematy, które chyba nigdy się nie zdezaktualizują, ponieważ na przemocy opierają się całe gatunki gier, a nowe tytuły z roku na rok oferują coraz bardziej realistyczną grafikę

i coraz bardziej naturalne zachowania wirtualnych postaci, które oddychają, patrzą nam w oczy i zdradzają wewnętrzne przeżycia w mimice i tonie głosu.

Jako klasyczne przykłady gier społecznie niebezpiecznych przywołuje się pierwszoosobowe strzelanki, w których monitor jest niejako oczami postaci kierowanej przez gracza, takie jak właśnie seria „Call of Duty”, albo trzecioosobowe (gracz widzi całą postać, którą steruje) symulatory przestępczego świata. Wyznacznikiem dla tego z kolei gatunku jest seria GTA, w której kradzież samochodu – od czego pochodzi tytuł – to bodaj najbardziej niewinna czynność, jakiej można się dopuścić. Ta seria zasługuje na swoją złą sławę – za całą sekwencję „tytułowego” zachowania: zatrzymanie na ulicy przejeżdżającego samochodu, otwarcie drzwi, pobicie i wyrzucenie kierowcy oraz zajęcie jego miejsca – odpowiada w niej jeden klawisz. Zupełnie jakby to była najbardziej naturalna czynność na świecie, taka jak wykonanie podskoku albo przykucnięcie.

Znacznie rzadziej w dyskusjach o komputerowej przemocy przywołuje się gry strategiczne, zwłaszcza tzw. Grand Strategies, w których gracz kieruje całym państwem, rozbudowuje gospodarkę i przesuwa armie z jednej prowincji do drugiej. Takie gry bywają złośliwie nazywane symulatorami malowania mapy – wraz z podbojami gracza mapa polityczna świata przybiera bowiem kolor kontrolowanego przez niego imperium. Cała komputerowa przemoc sprowadza się w nich najczęściej do niewinnych animacji kilku modeli żołnierzyków okładających się halabardami albo mierzących do siebie z karabinów i komunikatu o liczbie ofiar. Gracz nie rozgrywa bitew na mapie taktycznej, nie obserwuje poszczególnych żołnierzy w akcji. Brutalności w tym tyle, ile w szachach.

Są jednak wyjątki – w niektórych grach tego gatunku naprawdę można poczuć się jak najgorszy zbrodniarz. W ich produkcji produkuje szwedzka firma Paradox Interactive.

Symulator wypraw krzyżowych

W „Crusader Kings 2”, oryginalnie wydanej w 2012 r., ale rozwijanej przez twórców do dzisiaj, możemy wcielić się w postać średniowiecznego władcy. Rozgrywka toczy się równolegle na mapie i na dworach władców, a mechanika pozwala na wchodzenie w rozmaite interakcje z wieloma postaciami (urzędnikami, damami dworu, innymi koronowanymi głowami – i licznymi członkami ich rodzin).

Postacie mają cechy, które umożliwiają określone zachowania i odblokowują różne decyzje (szalony i okrutny król po wygraniu wojny domowej postąpi inaczej niż władca szczodry i łagodny). Konkretnie decyzje wpływają na ewolucję cech samej naszej postaci, a także na gromadzenie różnych „walut”, mających reprezentować pozycję i postrzeganie władcy w świecie – prestiżu i pobożności. I tak, wydanie córki za następcę tronu Cesarstwa Bizantyjskiego przyniesie nam sporo prestiżu (potrzebnego np. do starań o utworzenie nowego królestwa), a udział w krucjacie – pobożności (którą można spożytkować, np. wynajmując rycerzy bractwa zakonnego do walki z poganami albo... prosząc papieża o zgodę na rozwód). Gra dopuszcza również cały szereg mało chlubnych działań, które mogą zrujnować naszą reputację (choć efekt zależy od naszej kultury i religii), ale mają sens ze strategicznego punktu widzenia.

Zdarzyło mi się więc chociażby wyrzucić z pałacu pierworodnego syna, który zachorował na dżumę – ale powiedzmy sobie →

→ szczerze, i tak miał niewielkie szanse na przeżycie, a mógł zarazić resztę rodziny. Gorsze było to, że jego choroba była mi na rękę – był garbaty i niezmiernie głupi. Wolę nie myśleć, co stałoby się z moim królestwem pod jego panowaniem. Tymczasem, po śmierci dotychczasowego władcy, kontynuujemy rozgrywkę jego spadkobiercą. Co więcej, taki „wadliwy” dziedzic może zrujnować całą swoją linię dynastyczną, ponieważ gra symuluje dziedzinę cech wrodzonych (każda postać ma swoje DNA).

Ale robiłem też rzeczy znacznie gorsze. Usiekłem bratanka w pojedynku, by odziedziczyć jego ziemię. Otrułem żonę, która miała problem z zajściem w ciążę – niestety wymarcie dynastii oznacza koniec rozgrywki. Wykastrowałem kuzyna, który brał udział w spisku na moje życie. Jako pogański władca plądrowałem zamki porządnych chrześcijan nie tylko dla zdobywania skarbów, ale też nałożnic, najlepiej mądrych i urodziwych księżniczek.

Głupio tylko przyznać mi się na tych łamach do schwytania i trzymania w lochu papieża, ale naprawdę nie musiał mnie ekskomunikować. Oczywiście, nie każda z tych historii skończyła się dobrze dla moich postaci, prześladowani przeze mnie – lub ich krewni – nieraz brali odwet, czasem nawet udany.

Diabelski kult

Z podejmowanych przez gracza decyzji i działań oraz reakcji otoczenia układają się całe fascynujące opowieści, co zresztą przesądziło o komercyjnym sukcesie gry. Opowieści o władcach okrutnych, pijakach, rozpustnikach czy paranoikach, którzy zamknęli się w ukrytej komnacie, a po latach osamotnienia stracili rozum i nakazali oślepić wszystkich dworzan albo uczynili doradcą swojego konia. Ale też o ludziach szlachetnych i pobożnych, którzy dożyli swoich lat, nie plamiąc się żadnym haniebnym występkiem. Respektowali sojusze, heretyków i cudzołożników wypuszczali z lochów w jednym kawałku, a dni i noce spędzali na studioowaniu starożytnych ksiąg albo obserwacjach nieba. Zmarli w opinii świętości, po latach zostali wyniesieni na ołtarze, jeszcze po śmierci przynosząc korzyści członkom swojego rodu.

Katalog możliwych decyzji, zachowań i całych scenariuszy życiowych jest w „CK2” naprawdę ogromny, ale nie tylko o swobodę działania, odwzorowanie klimatu średniowiecza i dynamicznie reagujące otoczenie tutaj chodzi. Dla mnie najbardziej fascynującym aspektem tej gry są wybory moralne i towarzyszące im rzeczywiste odczucia. Sama mechanika motywuje do najgorszych czynów.

Najlepsze wyniki pozwala osiągnąć zarządzanie państwem – jak mawiają gracze – „w trybie Korei Północnej”: przetrzymywanie wasali i ich dzieci w więzieniu oraz mordowanie członków własnego rodu, by ograniczyć ryzyko wojny o sukcesję. Dlatego tym większą satysfakcję daje bycie przyzwoitym – przestrzeganie narzuconych przez samego siebie reguł, nawet za cenę niepowodzeń w rozgrywce. Nagrodą jest poczucie moralnej wyższości.

Ta wewnętrzna walka ze złem oczywiście nie zawsze się udaje – jesteśmy wszak tylko ludźmi. Są jednak granice, których nie przekroczyłem. W grze istnieje możliwość dołączenia do tajnego kultu satanistów, składania w ofierze dziewic i sprowadzenia na

W grach komputerowych jesteśmy głównymi aktorami.

Dlatego mogą oddziaływać na nasze emocje moralne silniej niż filmy czy książki.

świat wcielonemu demona. Nigdy się na to nie odważyłem. Aby wyjaśnić czemu, muszę chyba przywołać eksperyment psychologa Jonathana Haidta, w ramach którego nawet ateści odmawiali podpisania cytografu, mimo że dokument, którego sygnatariusz zobowiązywał się oddać duszę w posiadanie badaczy w zamian za prawdziwe wynagrodzenie, po chwili miał być komisyjnie zniszczony.

Jakoś nie czuli się z tym komfortowo.

Wojna na niebie

W innej grze tego samego studia – „Stellaris” (pierwsze wydanie w 2016 r.) – można zakosztować życia dyktatora całej galaktyki. Zaczyna się niewinnie – od eksploracji i kolonizacji sąsiednich układów planetarnych, lecz po chwili w naszych międzygwiazdnych wyprawach natkniemy się na obcą cywilizację. Od tego, jakimi kierujemy się etykami, zależą nasze możliwości: jeśli przewodzisz miłującym pokój ksenofilom, nic nie stoi na przeszkodzie, by zaprzyjaźnić się z kosmitami i założyć wspólną federację, zaprosić ich na wasze planety i rozkoszować się kosmopolityzmem podniesionym do drugiej potęgi. Ale jeśli twój lud woli podboje i zamierza „oczyścić” galaktykę z ras niezasługujących na istnienie, możesz realizować swoje zbrodnicze marzenia na wiele sposobów.

Możesz zniewalać całe inteligentne gatunki obcych, by pracowały w twoich kopalniach. Możesz siać zagładę przy pomocy „niszczycieli światów” – broni tak potężnej, że jest w stanie rozbijać na kawałki całe (zamieszkałe!) globy. W kosmosie nie obowiązują żadne tabu – możesz nawet przez całe wieki hodować kosmitów jak bydło i karmić nimi swoją populację (a wcześniej przymusem zmodyfikować ich genetycznie, by stali się... smaczniejsi).

„Stellaris” przyciąga rozbudowaną rozgrywką ekonomiczną, gwarantującą niespodzianki eksploracją, nawiązaniami do klasyki literatury *science fiction* i możliwością personalizacji swojego imperium (nie musisz grać ludźmi ani nawet gatunkiem humanoidów, możesz stworzyć państwo inteligentnych maszyn albo biologiczną świadomość roju – krwiożerczą kosmiczną szarańczę). Ale znowu – nie tylko o podboje i rozwój kosmicznego imperium tutaj chodzi. Chodzi także o moralność. O to dziwaczne uczucie niepokoju, towarzyszące decyzji o zbombardowaniu planety prymitywnego gatunku, który żyje własnym tempem w zapomnianym przez wszystkich skrawku kosmosu i nie opuścił jeszcze nawet epoki kamienia. A także o poczucie spełnionego moralnego obowiązku, gdy wyzwalasz rasę zniewoloną przez obce, agresywne imperium.

Oczywiście wszystkie cierpienia, które można zadać wirtualnym kosmitom, na ekranie reprezentowane są abstrakcyjnie, przy pomocy rozmaitych ikonek, ale nawet w takich okolicznościach u części graczy pojawiają się stłumione emocje moralne. Namiastka odrzy, chęci zemsty, poczucia sprawiedliwości, wstydu, wyrzutów sumienia.

Co na to nauka

Istnieje kilka sposobów reagowania na dylematy moralne w grach komputerowych. W ankiecie przeprowadzonej przez

Piotra Prósinińskiego z Uniwersytetu Gdańskiego większość osób wskazała odgrywanie roli jako najistotniejszy czynnik podejmowanych decyzji. Jeśli więc wcielasz się w postać szlachetnego superbohatera – zachowujesz się przyzwoicie. Jeśli jesteś czarnym charakterem, możesz wyścielić sobie drogę do finału rozgrywki trupami niewinnych ofiar.

Jest jednak sporo i takich graczy, którzy narzucają sobie inne ograniczenia – po prostu kierują się tą samą moralnością, którą kierują się w życiu. W „GTA” nie rozjechaliby celowo przypadkowego przechodnia, w „CK2” nie skazaliby dziecka na śmierć, a w „Stellaris” nie przetwarzali całych inteligentnych gatunków na paszę. Oczywiście są i tacy, dla których liczy się tylko sukces w rozgrywce – dla nich kategorie moralne pozostają w mocy jedynie w prawdziwym świecie.

Każdy z tych typów graczy na poziomie intelektualnym oczywiście odróżnia cierpienia rzeczywiste od fikcyjnych. Ale część z nich nie może na to nic poradzić – rozgrywka automatycznie pobudza ich moralne emocje, zupełnie tak samo, jak robi to kino, teatr czy literatura. Świadomość fikcyjności światów przedstawionych w książkach czy filmach nie przeszkadza nam przecież przeżywać silnych emocji i prowadzić zaciętych dyskusji o wyborach dokonanych przez bohaterów. Z grami komputerowymi może być podobnie, zwłaszcza przy spełnieniu kilku warunków.

Osoby uczestniczące w jednym z eksperymentów przeprowadzonych przez zespół Tila Hartmanna z Uniwersytetu w Amsterdamie grały w strzelankę, której akcja toczy się w obozie koncentracyjnym. Część badanych wcielała się w postać żołnierza oddziału przybywającego jeńcom na ratunek, druga część – w jednego z oprawców. Badacze mierzyli poziom empatii graczy, a także pytali ich o wzbudzone przez rozgrywkę poczucie winy. I tak, gracze, którzy strzelali do oprawców, raportowali znacznie niższe poczucie winy od graczy, którzy strzelali do wyzwolicieli. Dotyczyło to jednak wyłącznie graczy o wysokim poziomie empatii. Tym mniej empatycznym nie robiło różnicy, po której stronie walczyli.

W innych eksperymentach tej samej grupy badaczy okazało się, że gracze łatwiej znoszą strzelanie do postaci, których twarzy nie dostrzegają, a także do bohaterów dla nich anonimowych. Strzelanie do postaci, z których życiorysem można się było zapoznać chwilę wcześniej, wzbudzało większe poczucie winy. Jeśli jednak przemoc była uzasadniona – strzelano do terrorystów lub innych zwyrodnialców – poczucie winy graczy ulatniało się całkowicie.

Poznaj samego siebie

O tym, że gry komputerowe ujawniają prawidłowości znane badaczom poznania społecznego i moralności, najlepiej świadczy eksperyment przeprowadzony przez Josha Corrella i współpracowników. Posadzili uczestników przed grą komputerową, w której pojawiały się uzbrojone lub nieuzbrojone postaci białych bądź czarnoskórych mężczyzn. Zadaniem graczy było strzelanie do uzbrojonych postaci i powstrzymanie się od strzelania do postaci nieuzbrojonych. Okazało się, że biali gracze szybciej strzelali do czarnoskórych postaci i łatwiej powstrzymywali się przed zabiciem białego. Analogiczny efekt zresztą zmierzono u graczy pochodzenia afroamerykańskiego.

Tego typu badania oraz relacje samych graczy pokazują, jak głęboko osadzone są w nas moralne intuicje – a także, niestety,

rasowe uprzedzenia. Wystarczą specyficzne wskazówki wizualne albo po prostu dobra opowieść, by decyzje podejmowane w grach komputerowych poruszały nasze moralne struny. Gry komputerowe mogą na nas oddziaływać tym silniej, że inaczej niż w książkach czy filmach, nie jesteśmy w nich jedynie biernymi świadkami zdarzeń, ale głównymi aktorami.

Producenci zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, że moralne przeżycia mogą przyciągać graczy równie silnie jak wartka akcja czy odwzorowane z rozmachem bitwy. W tytułach wydanych przez studio Telltale Games rozgrywka sprowadza się właściwie do rozstrzygania dylematów moralnych. Z kolei w grze „This War of Mine” polskiego 11 bit studios – symulatorze życia cywilów w oblężonym mieście, przez wielu uznawanym za arcydzieło – twórcy stworzyli tak ciężki klimat, przesycony moralnymi emocjami, że rozgrywka wręcz wykańcza psychicznie wrażliwszych graczy.

Jak dotąd nie spotkałem traktatu filozoficznego rozpoczynającego się od opisu gry komputerowej, ale nie powinniśmy odrzucać myśli, że gry komputerowe mogą przybliżać nas do poznania samych siebie. Dają też nadzieję na poprawę losu studentów psychologii amerykańskich uczelni, czyli typowych uczestników eksperymentów psychologicznych. Dotąd musieli oni najczęściej rozwiązywać nudne i często zupełnie nieżyłowe dylematy moralne. W przyszłości badacze zapewne będą ich prosić, by pograli chwilę w „Crusader Kings” lub „Stellaris”. Gorąco polecam, dla dobra nauki.

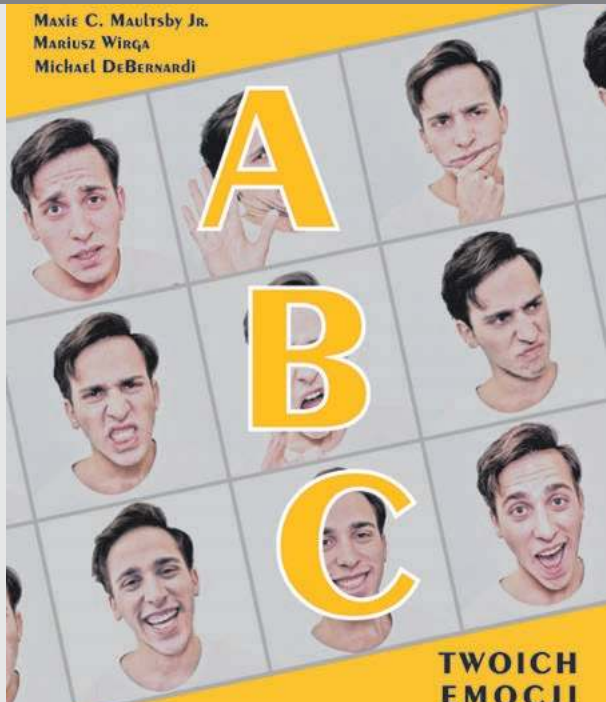
© P ŁUKASZ KWIATEK

REKLAMA



WYDAWNICTWO DOMINIKA KSIĘSKIEGO WULKAN POLECA:

MAXIE C. MAULSBY JR.
MARIUSZ WIRGA
MICHAEL DEBERNARDI



TWOICH EMOCJI

STANISŁAW

Mancewicz: Ciarki



DUŻO PRACUJEMY OSTATNIO NAD NOWYMI DEFINICJAMI CNÓT KARDYNALNYCH. Mniemamy, że owe stare zdiadziały i zaszyły sadzą. Weźmy takie umiarkowanie. Umiarkowanie kompletnie wypadło z użycia, z każdej sfery. Nic już nie jest umiarkowane i niemal

nikt nie jest umiarkowany. Ludzie umiarkowani siedzą w jakichś zapyziałych rezerwatach, co i tak nie jest dla nich gwarancją umiarkowanego trwania. Co rusz na te ogrodzone tereny wpadają rozegzaltowane hordy, polujące na umiarkowanych, jak na – za przeproszeniem – płocie drzemiące w toni. Te płocie w oczach nieumiarkowanych rzesz są co prawda stadami piranii, chcącymi rozszarpać Polskę na krwawe kęski, bądź – co nie lepiej – zmasturbować do imentu polską młodzież.

Otóż określenie dziś kogokolwiek umiarkowanym jest jego końcem, podlega ów więc natychmiastowej reedukacji, w licznych uniwersytetach nieumiarkowania. Kto dziś próbuje być umiarkowanym – jako się rzekło – jest nikiem, taka jest prawda, może nieoryginalna, ale trzeba to zanotować.

Idźmy chyżo, zanim kometa uderzy w planetę i zanim opadniemy na jej szerniałą powierzchnię w postaci świecącej żelatyny. Weźmy teraz na tapetę męstwo. Termin ów się zdeformował i od tej deformacji ciarki nam chodzą po otłuszczonym ciecie. Najświeższym przykładem dzisiejszego męstwa są listy owego Falenty choćby. Pomijając wszelkie, powszechnie omawiane detale tych niezwykłych prób rękopiśmiennych, warto zwrócić uwagę na liczne wyznania będące dowodem na niesłychane bohaterstwo. Oba pisma, do prezydenta i do Gospodarza, są *de facto* wnioskami o nadanie *Virtuti Militari*. Mamy wrażenie, że *Virtuti* oczywiście Falenta dostanie, albo co najmniej order Lenina,

co mu się bodaj bez dyskusji należy. Podobnie ściska się gardło i łyzy płyną, gdy ogląda się relację z posiedzenia rady gminy Wola Krzysztoporska pod Łodzią. Debatowano tam – przyznać trzeba, krótko, stanowczo i nieskomplikowanie – o obecności flagi Unii Europejskiej w sali obrad. Jeżeli coś się z tym historycznie kojarzy, jakieś obrazy się wyświetlają, to jest to naturalnie sławne przejście odwachu na Rynku Głównym w Krakowie w październiku 1918 r., będące w tym mieście symbolem odzyskania niepodległości. Obcy Europejczycy w swej moralnej zgniliźnie opłacili tej gminie – mającej w swej nazwie zobowiązujące słowo „wola” – budowę kanalizacji, czym lud tamtejszy zniewolono do wachania luksusu. Niedziwne zatem, że teraz podjął on próbę irredenty.

O sprawiedliwości, cnotie szalenie stareńkiej, dużo by mówić. Główną sprawiedliwością jest dziś prawo do łżenia każdego, kto wykonał dowolny wysiłek, edukacyjny czy zawodowy, kto podjął próbę realizacji swych ambitnych aspiracji i ma dobre, choć niemodne teraz prawo, by z tego żyć, być dumnym i ową dumę okazywać. Jak się okazuje, wszystko to ma być dziś w imię sprawiedliwości powodem do wstydu i poczucia winy wobec tych, którzy nie kiwnęli palcem. Modnie jest też mówić, że komuś „się udało”. Wysiłek w realizowaniu aspiracji jest proszeniem się o oskarżenie o złodziejstwo i zerowanie na maluczkich. Sprawiedliwym stało się powszechne sądzenie, że ktokolwiek, kto ma od nas lepiej, jest bandziorem, idealną figurą, którą trzeba odsunąć od koryta. Zważyć należy, że jest to tzw. sprawiedliwość rewolucyjna, która to zbitka była, jest i zawsze będzie oksymorem.

Na koniec – roztropność. Jej staroświecki brak okazał właśnie jeden z najwyższych urzędników państwa, nawołując do jedzenia bobrów. Apetyt motywował potrzebą wzwodu, nieuzasadnioną doprawdy niczym rozropnym. Tak, jest to brak rozropności w starym stylu, mówiąc delikatnie, a w nowym? Z rozczuleniem przyglądamy się działaniom w kulturze. Cztery lata temu za pomocą dyrektyw politycznych uruchomiono starania, by zamienić ją w kostnicę. W prawdziwych kostnicach elementarną kwalifikacją jest zdolność odróżniania żywego od truposza. W zarządzaniu kulturą ta rozropna umiejętność jest teraz zbędna. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



Po polsku rzeczywistość tworzą rzeczy.
Ale w angielszczyźnie mamy nie tylko reality
(od łac. res, rzecz), lecz także actuality
(od łac. actio, czynność). Tę
dwuznaczność zna też język
niemiecki. Realität idzie
po linii tacińskiej, ale
Wirklichkeit odsyła do
czasownika wirken, działać.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

MAGAZYN
CONRAD 01

„TP” 25/2019

Niektórzy myślą więc
o rzeczywistości jako
zbiorze rzeczy. Dla
innych jest ona
efektem działania.

W pierwszym przypadku
gotowa już rzeczywistość
działa na człowieka, w drugim
– to człowiek wytwarza
rzeczywistość. Jak?
Mówiąc i pisząc.

rze**C**zywistości
ONRADFESTIVAL



IDEA FESTIWALU

Z rzeczywistością
co zrobimy?

Chwytać i szukać

„Czym jest ten zagadkowy impuls, który nie pozwala zadomowić się w tym, co dokonane, skończone? Myślę, że jest to poszukiwanie rzeczywistości. Słowu temu nadaję znaczenie naiwne i dostojne, nie mające nic wspólnego z filozoficznymi sporami ostatnich stuleci”.

Tak Czesław Miłosz wyłożył swoje rozumienie rzeczywistości w wykładzie noblowskim z 1980 r. Gdyby szukać jednego, jedyne go autora – nie tylko w Polsce, ale też na świecie – który z pasowania się z rzeczywistością uczynił swoje powołanie, byłby nim z pewnością Miłosz. Mylą się jednak krytycy, którzy piszą o Miłoszowym „uchwytywaniu” rzeczywistości, a nie „poszukiwaniu”. Uchwycić można to, co jest, co daje się jakoś złapać i zatrzymać, poszukiwać zaś można tylko tego, czego w danej chwili nie mamy. Proust nie napisał powieści o uchwytywaniu utraconego czasu, lecz o jego poszukiwaniu, bo czas, jak rzeczywistość, wciąż odmienia swoje kształty. Łudzą się ci, co mówią, że go w swe sidła złapali.

Miłosz nigdy tak nie twierdził. W „Nieobjętej ziemi” znajdujemy taki oto fragment: „Od młodości starałem się uchwycić słowami rzeczywistość, taką, o jakiej myślałem, chodząc ulicami ludzkiego miasta, i nigdy się to nie udawało, dlatego każdy mój wiersz uważam za zadatek niespełnionego dzieła. Wcześniej odkryłem nieprzyleganie języka do tego, czym naprawdę jesteśmy, jakieś wielkie na niby podtrzymywane przez książki i stronicę gazetowego druku. I każda moja próba powiedzenia czegoś rzeczywistego kończyła się tak samo, zagnaniem mnie z powrotem w opłotki formy, niby owcy odbijającej od stada”.

Znana to rzecz, choć raczej nie młodym poetom, którzy marząc o oryginalności, wpadają w gotowe klisze. Język nie przylega do rzeczywistości, bo słowa to ani grudki ziemi, ani strużki światła, lecz wynalazek, który powstał z ludzkiej potrzeby odcięcia się od ziemi i światła i zamieszkiwania wyłącznie wśród ludzi. Można mówić do drzewa, ale drzewo nie odpowie, choć niektórym wydaje się, że słyszą jego szept. Mamy wybór: rozmawiać z ludźmi i godzić się na to, że język jest tylko ludzki, czy też od ludzi stronić i szukać tego, co mieści się poza kręgiem ludzkich spraw. Miłosz zdaje się nie mieć wątpliwości: „Naprawdę, co chciałem im powiedzieć?



DONALD CHAN / REUTERS / FORUM

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

Literatura przekonuje nas, że rzeczywistość jest tym, co stawia się nam przed oczami, co się za pomocą słów wystawia na pokaz, co bez słów pozostałoby niezauważone.

→ „Że trudziłem się, / dążąc do wykroczenia poza moje miejsce i poza mój czas, / szukając tego, co jest Rzeczywiste”.

Serce rzeczy

„Rzeczywiste” i „rzeczywistość” nie są tym samym. Według francuskiej psychoanalizy i według polskiej wzniosłej poezji Rzeczywiste jest czymś znacznie głębszym niż sama rzeczywistość, której trywialność musi boleć wysublimowane dusze. Jeżeli Miłosz chce Rzeczywistego, to jednocześnie wcale rzeczywistości nie hołubi, bo traktuje ją jako nazbyt błahą, zbyt ludzką i społeczną. Zbyt nieociosaną i zbyt dojmującą, żeby w ogóle się nią zajmować. Oczywiście Miłosz może deklarować, że nie interesują go spory filozoficzne na temat rzeczywistości, jednak natychmiast dodaje, że to nie rzeczy go interesują, lecz coś innego, co tylko na pozór mieści się pod ich skórą, tak naprawdę zaś tkwi w głowie patrzącego.

Poezja, jeśli odróżnić ją od zwykłej ludzkiej krzątaniny, potrzebuje nie rzeczywistości samej, lecz „wiary w nią”. W eseju o poezji niezrozumiałej Miłosz twierdzi, że wiersz „musi dążyć do serca rzeczy, z poczuciem nigdy nie pokonanego dystansu. Jest [on] też zawsze po stronie *mythos*”. Czym jest to „serce rzeczy”, do którego poezja wprawdzie dąży, lecz nigdy go nie osiąga? Esencja, istota, coś, co sprawia, że dana rzecz jest tą rzeczą, a nie inną. A gdzie ona jest, ta esencja? W rzeczy? Pokrój gałąź na drobne wiórki, a nie znajdziesz tam esencji. Przebij się wzrokiem przez chmurę, a nie złapiesz jej istoty. Serce rzeczy nie bije w rzeczy, lecz w głowie, która szuka istoty. Kto szuka istoty rzeczy, nie patrzy wcale na same rzeczy, rzeczom samym nie wierzy i domaga się od nich więcej, niż mogą mu one dać. Jeśli ktoś szuka Rzeczywistego, to jak najszybciej chce od rzeczywistości uciec, chce rzeczywistości odebrać jej zwykłość, przemienić jej szarą tkankę w czysty blask, znaleźć się po stronie mitu, świętej opowieści o porządku kosmosu, który stworzyli bogowie.

W wierszu pt. „Wieczór” czytamy: „Masi, peruki, koturny, przybywajcie! / Odmieńcie mnie, zabierzcie na jaskrawą scenę, / Żeby na chwilę mógł wierzyć, że jestem!”. A w „Piesku przydrożnym” Miłosz pisze tak: „Papuga skrzeczy. Wentylatory pracują. Iguana idzie pionowo w górę pnieniem palmy. Połyskliwa fala oceanu kładzie się pianą na plaży. Kiedy byłem młody, doprowadzała mnie do rozpacz na wakacjach nuda oczywistych rzeczy. W starości, znalazłszy się w tropikalnym kraju, już wiedziałem, że zawsze szukałem lekarstwa na tę ohydę, która tym trwa, że nic nie znaczy. Nadać sens, jakikolwiek, byle nie ta krowa, doskonałe obojętne, bezwładne rzeczywistość, bez celów, dążeń, afirmacji, negacji, niby ucieleśniona nicość. Religie! Ideologie! Pragnienia! Nienawiści! Przybywajcie, żeby zakryć waszą wzorzystą tkaniną to ślepe, które nawet nie ma nazwy”.

Teraz wiadomo, w czym rzecz, a raczej – w czym Rzeczywiste. Nie róbmy z Miłosza kogoś, kto chciałby naprawdę zamieszkać w krowiej rzeczywistości, bo nigdy nie miał takiego zamiaru. Sama w sobie rzeczywistość jest dla niego nudna, ohydna, pozbawiona sensu, trzeba jej przykryć twarzą gazetą, żeby wytrzymać jakiś kontakt z nią. Trzeba ją przemienić, przeobrazić, bo inaczej nie da się żyć poetycko, a tylko tak warto żyć.

Oczywistość rzeczy, przekonuje Miłosz, jest nie do wytrzymania, dlatego trzeba je zmusić, by znaczyły inaczej, lepiej, wzniosłej. Inaczej przyjdzie nam się nudzić, a prawdziwe życie przeplynie wysoko ponad, zostawiając nas, wyrobników codzienności, w tyle.

Rzeczywistości należy szukać, ale nie można jej znaleźć. Kto ją znajdzie, ten trup w kaloszach. Poezja takiego kogoś się brzydzi i obchodzi go z daleka.

Dwuznaczna wspaniałość mowy

Wykład czwarty z cyklu „Sześciu wykładów wierszem” Miłosz zaczyna znajomo: „Z rzeczywistością co zrobimy? W słowach gdzie ona? / Ledwo mignie, już znika”. Oczywiście, rzeczywistości w słowach nie ma. Nie ma jej także bez słów. Poeta wspomina o tym w wykładzie pierwszym: „Jakże wam opowiedzieć? Do jakich odesłać was kronik?”. Opowiadanie bez odwołania do już powiedzianego nie ma żadnego sensu. Mówimy, bo ktoś już coś powiedział, i bez tego odesłania do kronik, do zasobów

naszej kultury, do archiwów mowy, musielibyśmy milczeć. Owszem, mowa nas degraduje, bo strąca w przyziemność i od Platona wszyscy poeci świata łączyli się we wspólnym wysiłku oszukiwania rzeczywistości. Zarazem jednak mowa czyni z nas ludzi, wyodrębnia nas spośród innych gatunków, które mają swe kody komunikacyjne, ale nie pozostawiają po sobie kronik.

Jeśli z tej dwuznacznej wspaniałości mowy płynie jakokolwiek dla nas nauka, to taka, że z jednej strony człowiek staje się człowiekiem, z drugiej zaś za pomocą mowy próbuje ze swej kondycji uciec. Mowa zakorzenia nas w rzeczywistości, a zarazem wyrывa nam z rzeczywistości korzenie. Zakorzenia, bo tylko dzięki niej wiemy, kim jesteśmy, co nas otacza i jak sobie radzić z życiem. Ale i korzenie te podcina, gdyż związek słów z rzeczami, który dowodzi naszego zdomowienia w rzeczywistości, czyni mniej oczywistym. Nie da się tej dwuznaczności uniknąć.

Rzeczowniki zrobione są z innej materii niż rzeczy, czasowniki z innej materii niż czas, a jednak ludzie zakładają, że rzeczowniki adekwatnie opisują stany rzeczy, czasowniki zaś – bieg czasu. Gdyby jakiś czasownik zmienił nagle swój sens (np. „dziergać” zaczęło oznaczać „pruć”, a nie „splatać”), ludzkie do-

■ Jeśli ktoś szuka Rzeczywistego, to jak najszybciej chce od rzeczywistości uciec, chce rzeczywistości odebrać jej zwykłość, przemienić jej szarą tkankę w czysty blask, znaleźć się po stronie mitu, świętej opowieści o porządku kosmosu, który stworzyli bogowie.

świadczanie obróciłoby się w nieprawdopodobny chaos. Nasza rzeczywistość wygląda tak jak słowa, którymi ją opisujemy. Konwencjonalność mowy sprawia, że ludzka rodzina trzyma się razem, a narodowe języki cementują ją na tysiąc odrębnych sposobów. To, że istnieje tłumaczenie, dowodzi potrzeby kulturowego transferu. Ktoś, kto chce przełożyć swoje doświadczenie rzeczywistości na inny język, wierzy, że jest to możliwe. Przekonuje, że łączy nas wszystkich to samo pragnienie pochwycenia świata w siatkę słów.

Rzeczywistość to właśnie ta siatka rozpięta nad bulgocącym chaosem świata. Zdejmij ją, a wpadniesz w wir, z którego nie da się wyswobodzić.

■ Nasza rzeczywistość wygląda tak jak słowa, którymi ją opisujemy. Konwencjonalność mowy sprawia, że ludzka rodzina trzyma się razem, a narodowe języki cementują ją na tysiąc odrębnych sposobów.

mina to po łacinie nazwa, za pomocą której mówi się o rzeczywistości. Nie chodzi o to, że słowa odłączone od rzeczy to igraszki, a literatura to spektakl, w którym zdania dziwią się sobie nawzajem. Nie chodzi o to, że rzeczywistości nie ma, bo całkiem przesłonięta została „wzorzystą tkaniną”. W antyrealistycznym obozie twierdzi się raczej, że jeśli zmieni się słowa, to również rzeczy będą wyglądać inaczej. Jeśli chcemy zmiany (w) rzeczywistości, to bez zmiany języka – czyli sposobu przedstawiania – się nie obejdzie.

Realizm mówi: zmiana w rzeczywistości pociągnie zmianę w języku. Nominalizm odpowiada: nie ludźmy się, dopóki nie zmienimy naszych słów i pojęć, dopóty będziemy więźniami zabetonowanej rzeczywistości. Realisci są zwolennikami *status quo*: rzeczywistość jaka była, taka będzie, zadaniem pisarza jest zaś jej przybliżenie za pomocą znanych konwencji. Nominaliści twierdzą coś przeciwnego: kształt rzeczywistości zależy od tego, jakim językiem o niej rozprawiamy.

Realizm i nominalizm

Co robi literatura z rzeczywistością? Przedstawia ją. Podtytuł biblii realistów, czyli „Mimesis” niemiecko-żydowskiego filologa Ericha Auerbacha, dobitnie tego dowodzi: „Rzeczywistość przedstawiona w literaturze Zachodu”. Ale co to znaczy, że rzeczywistość została przedstawiona w literaturze? Że nie jest dana wprost, że każde dzieło w jakiś sposób nam ją pokazuje. Literatura przekonuje nas, że rzeczywistość jest tym, co stawia się nam przed oczami, co się za pomocą słów wystawia na pokaz, co bez słów pozostałoby niezauważone. Jednak z faktu, że miarą rzeczywistości jest jej przedstawialność, wynikają dwie odmienne strategie literackie.

Literatura w swym, powiedzmy, realistycznym oporządzeniu i obrządku podtrzymuje nasze przekonanie, że rzeczywistość przedstawiona jest powszechnie zrozumiała, że można ją pojąć bez większego wysiłku, że jest łatwo przekładalna na inne języki, jest naszym wspólnym domem. Tak rozumiana literatura podtrzymuje *common sense*, czyli wspólny zmysł: przeświadczenie, że wszyscy w ten sam sposób percypujemy rzeczywistość. Bez niego nie sposób myśleć o zawiązaniu wokół literatury jakiegokolwiek wspólnoty. W tym sensie literatura nie tyle zmienia rzeczywistość, ile jest rzeczywistością. Splata się z nią swoimi nazwami, odwołując się do naszych trwałych – przez nią samą podsuniętych – wyobrażeń. Realizm, owszem, to pewien styl, ale styl, który nie chce mieszać nam w głowach. Przeciwnie: zależy mu na tym, by nie zburzyć naszych przyzwyczajeń, by zachować strukturę upowszechnionej opowieści o świecie. Realista wierzy, że jego słowa wiernie podążają za tym, co się wydarza. Jego misją jest oddanie sprawiedliwości widzialnemu światu. Literatura jest realistyczna wtedy, gdy zakłada, że dzięki przedstawieniu rzeczywistość pokazuje się w swej najprawdziwszej postaci.

Istnieje jednak także inny sposób myślenia o literaturze. Zakłada on, że skoro słowa i pojęcia ze słów zrobione nie są od zarania świata przypisane do rzeczy, to znaczy, że można tą relacją pokierować. Można mieć nadzieję, że zmiana w porządku słów przyniesie także zmianę w porządku rzeczywistości. Zwykle nazywa się taki pogląd nominalizmem. *No-*

Jak jest i jak mogłoby być

Miłosz nie był ani realistą, ani nominalistą. Byłby realistą, gdyby wierzył, że rzeczywistość jako taka warta była literackiego wysiłku. Szukając Rzeczywistego, odskakiwał jak oparzony od rzeczywistości, która nie miała dla niego żadnego powabu. Nominalistą byłby natomiast wtedy, gdyby wierzył, że zadaniem literatury jest splecenie na nowo relacji między słowami i rzeczami. Ale myślał inaczej. Wybierał „dostojność” mowy przeciwko nowym sposobom jej użycia. W dziedzinie polskiej poezji wielkim realistą był Różewicz, zaś wielkim nominalistą Białoszewski. Nic dziwnego, że wobec obydwu Miłosz odczuwał uzasadnioną niepewność.

Realisci mówią nam, jak jest. Nominaliści – jak mogłoby być. Ani jedni, ani drudzy nie uciekają od rzeczywistości, lecz na różne sposoby się do niej garną. Realisci budują swój kapitał na społecznym zaufaniu. Nominaliści nie wierzą w to proste przyporządkowanie, co jednak nie znaczy, że chcieliby wywrócić na nice wszystkie nasze językowe przyzwyczajenia. Wiedzą, że jakiegokolwiek efekty można osiągnąć wyłącznie metodą małych kroków, gdyż człowiek z przykrością porzuca swoje nawyki. Wiedzą jednak także, że gdyby całkiem uwierzyć w to, że rzeczywistość nie zmienia się wraz z użyciem słów, świat na zawsze pozostałby w epoce kamienia łupanego.

Kim jesteś, czytelniku? Realistą? Nominalistą? A może w ogóle nie mieścisz się w tych ramach? Czy wiesz, czy nie, przyjeżdż w październiku 2019 r. na Festiwal Conrada, by podyskutować z zaproszonymi przez nas gośćmi o tym, co wszystkich nas dotyczy i dotyka najbardziej, czyli o rzeczywistości.

© MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

Poniedziałek, 21 X

RZECZY

10.30 Lekcja czytania z Olgą Drendą

Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.00 Literatura innych rzeczywiścieści

Dyskusja z udziałem Elizy Kąckiej, Jakuba Kornhausera i Tomasza Wiśniewskiego

Prowadzenie: Michałina Kmiciek
Miejsce: Pałac Czeczotki

14.30 Mitologie domowe

Dyskusja z udziałem Olgi Drendy i Marcina Napiórkowskiego
Prowadzenie: Bogna Świątkowska
Miejsce: Pałac Czeczotki

16.00 Kondensacja

Spotkanie z Weroniką Murek
Prowadzenie: Justyna Nowicka
Miejsce: Pałac Czeczotki

17.30 Kafka wiecznie żywy

Spotkanie z Gáborem T. Szántó
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
Miejsce: Pałac Czeczotki

19.00 Wszystkie rzeczy, które spaliłem

Spotkanie z Billem Gastonem
Prowadzenie: Krzysztof Majer
Miejsce: Pałac Czeczotki

20.30 W oku cyklonu

Spotkanie z Almudeną Grandes
Prowadzenie: Marta Eloy Cichocka
Miejsce: Pałac Czeczotki

Wtorek, 22 X

SŁOWA

11.30 Lekcja czytania z Aleksandrą Hudymač

Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.00 Książki do pisania

Dyskusja z udziałem Elżbiety Jogałły, Wojciecha Ornata i Adama Wodnickiego
Prowadzenie: Krzysztof Żwirski
Miejsce: Pałac Czeczotki

14.30 Podzwonne dla pisma

Spotkanie z Jackiem Dukajem
Prowadzenie: Maciej Jakubowiak
Miejsce: Pałac Czeczotki

16.00 W różnych rolach głównych

Spotkanie z Zytą Rudzką
Prowadzenie: Michał Sowiński
Miejsce: Pałac Czeczotki

17.30 Do kogo należą Franz Kafka?

Spotkanie z Benjaminem Balintem
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
Miejsce: Pałac Czeczotki

19.00 Wojny nowoczesnych plemion

Spotkanie z Michałem Pawłem Markowskim
Prowadzenie: Ryszard Koziołek
Miejsce: Pałac Czeczotki

20.30 Ortografia i polityka

Spotkanie z Dmitrijem Bykowem
Prowadzenie: Małgorzata Nocuń
Miejsce: Pałac Czeczotki

Środa, 23 X

OBRAZY

11.30 Lekcja czytania obrazów z Kubą Woynarowskim

Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.00 Piękne litery

Dyskusja z udziałem Barbary Bodziony i Ewy Landowskiej
Prowadzenie: Przemek Dębowski
Miejsce: Pałac Czeczotki

14.30 Infobrazy

Dyskusja z udziałem Mai Starakiewicz i Kuby Woynarowskiego
Prowadzenie: Michał Kuźmiński
Miejsce: Pałac Czeczotki

16.00 Życie w zwykłym mieście

Dyskusja z udziałem Anny Cieplak i Żanny Słoniowskiej
Prowadzenie: Katarzyna Trzeciak
Miejsce: Pałac Czeczotki

17.30 Poleć ze mną na księżyc

Dyskusja z udziałem Veroniki Janatkovej i Andrew Smitha

Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
Miejsce: Pałac Czeczotki

19.00 Obrazy wojny

Dyskusja z udziałem Olesi Jaremczuk i Serhija Żadana
Prowadzenie: Paweł Pieniążek
Miejsce: Pałac Czeczotki

20.30 Z dziejów radości

Spotkanie z Radką Denemarkową
Prowadzenie: Mariusz Szczygiel
Miejsce: Pałac Czeczotki

Czwartek, 24 X

IDEE

11.30 Lekcja czytania z Anną Cieplak

Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.00 Różewicz w teatrze

Dyskusja z udziałem Grzegorza Niziołka, Marty Streker i Agnieszki Wolny-Hamkała
Prowadzenie: Marcin Kościelniak
Miejsce: Pałac Czeczotki

14.30 Metafizyka granicy

Dyskusja z udziałem Magdaleny Barbaruk i Dariusza Czai
Prowadzenie: Łukasz Bat
Miejsce: Pałac Czeczotki

16.00 Dowody na nieprzezroczystość przestrzeni

Dyskusja z udziałem Krzysztofa Środy i Urszuli Zajączkowskiej
Prowadzenie: Adam Pluszka
Miejsce: Pałac Czeczotki

17.30 The Annual Joseph Conrad Lecture

Wykład Ryszarda Koziołka
Miejsce: Pałac Czeczotki

19.00 Siedzimy w tych wierszach stale

Dyskusja z udziałem Ryszarda Krynickiego, Michała Rusinka i Piotra Śliwińskiego
Prowadzenie: Magda Heydel
Miejsce: Pałac Czeczotki

20.30 Nie ma, które jest

Spotkanie z Mariuszem Szczygłem
Prowadzenie: Zofia Król
Miejsce: Pałac Czeczotki

Piątek, 25 X

■ RELACJE

**11.30 Lekcja czytania
z Zofią Król**

Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.00 Kafka nieznany

Dyskusja z udziałem Remigiusza Grzeli i Łukasza Musiała
Prowadzenie: Justyna Sobolewska
Miejsce: Pałac Czeczotki

14.30 Po awangardzie

Dyskusja z udziałem Anny Kałuży i Piotra Rypsona
Prowadzenie: Jakub Kornhauser
Miejsce: Pałac Czeczotki

16.00 Żydowski uciekinierzy

Dyskusja z udziałem Kerstin Decker i Holgera Teschke
Prowadzenie: Aleksandra Bednarowska
Miejsce: Pałac Czeczotki

17.30 Lolita w Berlinie

Spotkanie z Michaelem Maarem
Prowadzenie: Jan Balbierz
Miejsce: Pałac Czeczotki

19.00 Przemoc na co dzień

Spotkanie z Moną Chollet
Prowadzenie: Kazimiera Szczuka
Miejsce: Pałac Czeczotki

20.30 Buntowniczk

Spotkanie z Charlotte Gordon
Prowadzenie: Anna Dziewit-Meller
Miejsce: Pałac Czeczotki

Sobota, 26 X

■ MIEJSCA

12.00 Szkoła czytania

Temat warsztatów: Czytanie litery
Prowadzenie: Ewa Landowska
Miejsce: Pawilon Wyspiańskiego

13.00 Pisanie na barykadzie

Spotkanie z Ingą Iwasiów
Prowadzenie: Dorota Kozicka
Miejsce: Pałac Czeczotki

14.30 Berlin/Babilon

Dyskusja z udziałem Arnego Jyscha i Anny Kierejewskiej
Prowadzenie: Iwona Luba
Miejsce: Pałac Czeczotki

16.00 Osobno razem gdzieś

Dyskusja z udziałem Marty Dzido i Jakuba Małeckiego
Prowadzenie: Artur Madaliński
Miejsce: Pałac Czeczotki

**17.30 Rzeczywistość
jako strefa cyrkowa**

Spotkanie z Jáchymem Topolem
Prowadzenie: Aleksandra Hudymač
Miejsce: Pałac Czeczotki

19.00 Powrót do źródeł wykluczenia

Spotkanie z Didierem Eribonem
Prowadzenie: Tomasz Swoboda
Miejsce: Pałac Czeczotki

20.30 O wolności w literaturze

Spotkanie z Chimamandą Ngozi Adichie
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
Miejsce: Pałac Czeczotki

Niedziela, 27 X

■ POSTACI

12.00 Spotkajmy się w jidysz

Dyskusja z udziałem Joanny Lisek i Belli Szwarcman-Czarnoty
Prowadzenie: Magdalena Kicińska
Miejsce: Pałac Czeczotki

13.30 Patrząc z ukosa

Spotkanie z Leszkiem Libeą
Prowadzenie: Sława Lisiecka
Miejsce: Pałac Czeczotki

15.00 Nagroda Conrada

Dyskusja z udziałem nominowanych do Nagrody Conrada
Prowadzenie: Michał Sowiński
Miejsce: Pałac Czeczotki

16.30 Powszechna historia intymności

Dyskusja z udziałem Marka Bieńczyka i Wojciecha Nowickiego
Prowadzenie: Piotr Śliwiński
Miejsce: Pałac Czeczotki

18.00 Nieobecni

Spotkanie z Moniką Sznajderman
Prowadzenie: Michał Okoński
Miejsce: Pałac Czeczotki

20.30 Gala Nagrody Conrada

Wykład Mistrzowski
Chimamandy Ngozi Adichie
Miejsce: Centrum Kongresowe ICE

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do zmian w programie. Aktualne informacje znajdują się na naszej stronie internetowej:
www.conradfestival.com

Redakcja Grzegorz Jankowicz

Okładka Marek Zalejski

// Getty Images / Bettmann

Skład Artur Strzelecki

Fotoedycja Grażyna Makara,
Edward Augustyn



Organizatorzy:



Dyrektor artystyczny
Michał Paweł Markowski



Dyrektor programowy
Grzegorz Jankowicz



Menedżer Festiwalu
Urszula Chwalba

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Pasma rzeczywistości

GRZEGORZ JANKOWICZ

Tytuły poszczególnych dni Festiwalu – Rzeczy, Słowa, Obrazy, Idee, Relacje, Miejsca i Postaci – odnoszą się do najważniejszych według nas elementów rzeczywistości. Myślimy o nich również jako o pasmach, które przenikają i łączą ze sobą różne przestrzenie.

Zamysł kryjący się za programem tegorocznej edycji Festiwalu Conrada można wytłumaczyć za pomocą dwóch zdań stanowiących skrajne punkty osi, po której będziemy się poruszać w trakcie październikowych dyskusji.

„Mamy różne poglądy na rzeczywistość”.

„Istnieje wiele rzeczywistości”.

Pierwsze z nich zakłada, że przedstawiamy sobie rzeczywistość na różne sposoby. Każda i każdy z nas myśli o niej trochę inaczej, wydaje o niej inny sąd. Nie można tych wyobrażeń zsumować, nie sposób spiąć ich wszystkich jedną klamrą. Możemy jedynie negocjować między sobą, tłumaczyć swoje wizje na język zrozumiały dla innych, uzgadniać stanowiska, wskazywać miejsca wspólne, mając przy tym nadzieję, że wyjściowa różnica nie okaże się nieprzezwycięzalną przeszkodą. Zgodnie z drugim nie ma jednej rzeczywistości, do której w ten czy inny sposób się odnosimy, lecz istnieje wiele odmiennych rzeczywistości. Do niektórych mamy łatwy dostęp. Granice pozostałych są dla nas (tymczasowo lub trwale) zamknięte.

Literatura robi użytek z obu wspomnianych myśli. Z jednej strony nieustannie przedstawia nam rzeczywistość, pokazuje ją z różnych punktów widzenia, zwraca naszą uwagę na najrozmaitsze jej aspekty. Wiersze, powieści, opowiadania czy eseje nie tylko podsuwają nam coraz to nowe poglądy na temat rzeczywistości, ale tworzą również przestrzeń, w której podejmujemy wspomniane wcześniej negocjacje. Można powiedzieć, że literatura różnicuje, a zarazem stara się różnicę pokonać, dzieli, ale też próbuje pojednać, rozdziela tkankę rzeczywistości na drobne kawałki, a następnie pieczołowicie ją zszywa.

Z drugiej strony każda powieść jest przecież podróżą w stronę jakiejś społecznej, politycznej, ekonomicznej, religijnej czy jeszcze innej krainy. Podczas wędrówki liczy się nie tylko różnica poglądów, języków, stylów i gatunków, lecz przede wszystkim wielość samych rzeczywistości. Czy dotarlibyśmy do nich w inny sposób, bez udziału wiersza lub opowiadania? Być może. Ale literatura nie pozostaje neutralnym medium, dzięki któremu możemy wejść do jednej z wielu przestrzeni. Jej przewaga polega na tym, że te przestrzenie również stwarza. Nigdy do końca nie wiadomo, czy czytana przez nas w danej chwili powieść wskazuje nam drogę do realnego miejsca, czy też to miejsce, jak i prowadzącą do niego ścieżkę wyczarowuje na naszych oczach.

Tytuły poszczególnych dni Festiwalu – Rzeczy, Słowa, Obrazy, Idee, Relacje, Miejsca i Postaci – odnoszą się do najważniejszych według nas elementów rzeczywistości. Myślimy o nich również jako o pasmach, które przenikają i dlatego łączą ze sobą różne przestrzenie. Rzeczy rozumiemy jako materialną podstawę świata, ale też jako sedno naszego doświadczenia emocjonalnego, a wreszcie wytwory języka, za pomocą którego mówimy i snujemy opowieści. Słowa są dla nas narzędziem poznania i zarazem instrumentem służącym do kreacji światów. Obrazy dają nam wgląd w rzeczywistość, a zarazem przyciągają wzrok patrzącego do swojej powierzchni – w ten sposób wciągają nas do gry zwierciadlanych odbić, których zwielokrotnienie odrealnia dookolną przestrzeń. Idee to koncepty i koncepcje determinujące nasze poglądy na rzeczywistość. Relacje definiujemy jako zależności i pokrewieństwa, stosunki między słowami, rzeczami i innymi istnieniami, a także narzędzia służące do porządkowania świata i odsyłania pewnych bytów do określonych miejsc. Pod pojęciem miejsca

rozumiemy pewne punkty w rzeczywistości, ale też toposy literackie. Natomiast postaci to dla nas formy prezentacji, podmioty zamieszkujące różne rzeczywistości oraz bohaterowie literaccy.

Uczestnicy poszczególnych dyskusji będą krążyć wokół tych pojęć, ale nie będą się do nich ograniczać. Kilka przykładów. Z **OLGĄ DRENDĄ** oraz **MARCINEM NAPIÓRKOWSKIM** porozmawiamy o mitologiach domowych. Słowo „mit” posiada kilka znaczeń. Zgodnie z najważniejszą dla nas definicją mit to fałszywa opowieść na temat kogoś lub czegoś, która posiada charakter opinii i jako taka krąży wśród osób należących do jakiejś społeczności, w dużej mierze determinując jej sposób funkcjonowania. Jakie mity wpływają dziś na nasze myślenie, formy działania oraz indywidualne i zbiorowe życie?

ALMUDENA GRANDES opowie o swych bohaterach, którzy żyją w czasach kryzysu. Na pozór nic im nie zagraża. Wierzą, że uda im się uniknąć zderzenia z wielką historią, ukryć się przed jej niszczycielskim walcem w jednym z zacisznych domów na przedmieściach. Spokój, który panuje w oku cyklonu, łatwo pomylić z bezpieczeństwem, wystarczy jednak, by tornado historii zmieniło kierunek, a wszystko ulegnie zniszczeniu. Jak sobie z taką rzeczywistością poradzić?

MONÉ CHOLLET będziemy pytać o przemoc, do której można się przyzwyczaić, nawet wtedy, gdy przyjmuje ekstremalne formy. Nie wystarczy ją wskazać i potępić, bo nawet zdemaskowana i poddana krytyce może powrócić, odrodzić się w nowych formach, zaatakować w miejscu, w którym nie spodziewaliśmy się jej spotkać. Jak z nią walczyć? Co zrobić, jakie środki przedsięwziąć, jakich słów przeciwko niej użyć, by nam nigdy nie spowodowała?

CHIMAMANDA NGOZI ADICHIE podejmie refleksję na temat zakresu wolności, jaką



Magdalena Barbaruk podczas Festiwalu Conrada prowadzi „Lekcję...” wokół „Biegunów” Olgi Tokarczuk, październik 2018 r.

Czytanie bez końca

Kończy się rok szkolny, a wraz z nim zamykamy cykl „Lekcji czytania”. Ale tylko na wakacje! Od września szykujcie się na nowe wyzwania czytelnicze.

Po raz kolejny, dzięki naszym partnerom, mecenasom i darczyńcom oraz wszystkim czytelnikom „TP”, którzy przekazali nam 1% podatku, w dobiegającym końcu roku szkolnym 2018/19 odbyło się w sumie ponad 40 spotkań; ostatnie z nich miało miejsce 12 czerwca w Wyszku. „Lekcję...” z udziałem uczniów wyszkowskiego I LO poprowadziła Barbara Klicka. Pretekstem do rozmowy o utopii i antyutopii była „Opowieść podręcznej” Margaret Atwood.

W ciągu roku szkolnego uczestniczyliśmy m.in. po raz kolejny w jeleniogórskim Międzynarodowym Festiwalu Teatrów i Kultury Awangardowej PESTKA, w 11. Shalom Śrem – Śremskich Dniach Judaizmu oraz w Tyskim Festiwalu Słowa LOGOS FEST Edycja: Przybora, a także, tradycyjnie już, w krakowskim Festiwalu Copernicus i Festiwalu Conrada. W Nowym Targu czytaliśmy i rozmawialiśmy po angielsku o „The death of the moth” Virginii Woolf z młodzieżą biorącą udział w inicjatywie Booktrailer Film Festival. Pojechaliśmy poprowadzić „Lekcję...” na odbywających się co roku Warsztatach Humanistycznych LABIRYNT w Rybniku oraz na Dniach Tischnerowskich w Opolu. „Lekcja czytania” odbyła się w ramach obchodów Święta Wolności i Solidarności w Gdańsku. Są miasta, jak Chojnice czy Zgierz, z którymi jesteśmy już literacko związani od kilku lat. I mamy nadzieję, że to się nie zmieni!

Poza tym odwiedziliśmy m.in. Mikołów, Czempień, Brzesko, Warszawę, Łochów, Szadek, Zapolice, Lubaczów, Maszkiernice, Porąbkę Uszewską, Rypin, Żuromin, Bydgoszcz, Szczepanów, Grajewo, Zduńską Wolę.

Powoli ruszamy także z cyklem „Lekcji...” odbywających się w ramach projektu „Wielkie pytania na nowo”, możliwego dzięki wsparciu Templeton Religion Trust. Spotkania te, prowadzone przez młodych naukowców, mają na celu zainteresowanie młodzieży tekstami popularnonaukowymi.

Tegoroczni uczestnicy czytali i dyskutowali utwory: Andrzeja Bursy, Daniela Dennetta, Leo Lipskiego, Stanisława Lema, Maxa Blechera, Olgi Tokarczuk, Michała Zoszczeni, Michaela Tomassello, Zbigniewa Herberta, Zofii i Kazimierza Moczarskich, Lewisa Carrolla, George’a Orwella, Andrzeja Stasiuka, Mirona Białoszewskiego, Józefa Tischnera, Marcina Świetlickiego, Angeliki Kuźniak, Elfriede Jelinek, Saula Bellowa, Dona DeLillo, Lawrence’a Durrella, Jeremiego Przybory, Izy Klementowskiej, Jerzego Bralczyka, Jorge Luisa Borgesa, Charlesa Taylora, Václava Havla i wspomnianej wyżej Margaret Atwood.

Zaproszenie do spotkań z młodzieżą w ramach „Lekcji...” przyjęli Magdalena Barbaruk, Wojciech Bonowicz, Kamila Czaja, Andrzej Franaszek, Agnieszka Gajewska, Grzegorz Jankowicz, Barbara Klicka, Agnieszka Kłos, Jakub Kornhauser, Ryszard Koziół, Katarzyna Kubisiowska, Łukasz Kwiatek, Michał Lachman, Jacek Leociak, Łukasz Lamża, Michał Paweł Markowski, Monika Ochędowska, Michał Olszewski, Michał Rusinek, Michał Sowiński, Maciej Szklarczyk, Małgorzata Szpakowska, Piotr Śliwiński, Bogna Świątkowska, Agnieszka Taborska, Łukasz Tischner, Marcin Wicha, Agnieszka Wolny-Hamkało i Marcin Żyła.

Dziękujemy Uniwersytetowi Łódzkiemu, który od lat jest naszym partnerem i mecenasem. Wyrazy wdzięczności kierujemy także do drukarni Quad Graphics, do Grzegorza Błażewicza – założyciela i prezesa firmy SALESmanago oraz do wszystkich osób i instytucji zaangażowanych w pozyskanie środków i organizację „Lekcji czytania”.

Dziękujemy organizatorom wspaniałych imprez kulturalnych – tych dużych i tych małych – którzy w ramach swoich inicjatyw umożliwili młodym ludziom spotkanie z literaturą.

Najbardziej jednak jesteśmy wdzięczni uczestnikom – za to, że chcecie czytać, pytać i rozmawiać, za to, że jesteście krytyczni i zainteresowani, za to, że wierzyacie, iż dzięki czytaniu można zmieniać otaczającą rzeczywistość. „Lekcje...” wracają w nowym roku szkolnym!



Spotkania w roku szkolnym 2018/2019 odbywały się mimo odmowy finansowego wsparcia ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wciąż wiele instytucji zgłasza się z prośbą o zorganizowanie „Lekcji czytania” u siebie. Dlatego nieodmiennie zachęcamy do kontaktu z Fundacją Tygodnika Powszechnego (fundacja@tygodnik.com.pl) osoby, które chciałyby wesprzeć naszą akcję spoteczną.

Chcesz zorganizować „Lekcje czytania”? Napisz na lekjeczytania@tygodnik.com.pl



PREMIERA na 30-lecie nowej Polski!

Malarz hodujący kury, zakonnica adoptująca niepełnosprawnego chłopca, blogerka kulinarna, chłopak zjeżdżający na nartach z K2, były więzień i była prezydentowa oraz matematyczka-kwakierka.

Poznajcie dowody na wolność – rozmowy, reportaże, spotkania, czyli najlepsze opowieści o nowej Polsce.



weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności” **JUŻ W SPRZEDAŻY** w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą. Więcej informacji powszech.net/smakwolnosci

WSPÓŁWYDAWCA



PARTNERZY WYDANIA



 **Kraków**

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA



REKLAMA

 **ONRAD FESTIVAL**

rzeczywistości

**21–27.10.2019 pałac czeczotka
międzynarodowy festiwal literacki**

www.conradfestival.com

znajdź nas: #conradfestival   

partner strategiczny: 23 międzynarodowe targi książki w krakowie
www.ksiazka.krakow.pl

Organizatorzy:



Partner dla Krakowa:



Wsparcie:



dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

